



30

SEKUND

SYLWIA KUBRYŃSKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

30
SEKUND

30
SEKUND
SYLWIA KUBRYŃSKA

Copyright © Sylwia Kubryńska, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Katarzyna Gwincińska

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-675-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Dorosłość dźwigałam na rowerze
Jadąc slalomem gigantem
Między moją małą mamą
A maleńkim tatą*

*W szklanych butelkach
Po mleku i wódce
Niesionych do skupu
Na rogu ulicy*

*W niezrobionych kanapkach do szkoły
Gdzie małe, jak moi rodzice, dzieciaki
Dukały czytanki
I to był ich jedyny problem*

*W tornistrze pełnym zgniecionych butów
Którymi rzucał tato
I niedopałków papierosów
spalonych przez mamę*

*W końcu ją zgubiłam
Nawet nie wiem, gdzie szukać
Nazywam się Dorosłe Dziecko
Niedorosłych Rodziców*

CZEŚĆ I. MARIA

Ciemna ulica, zupełnie opustoszała. Idę sama, skulona, trzynastoletnia. Towarzyszy mi jedynie strach, który pojawia się z niczego, z mroku, z ciszy, z opowieści, z niesłyszanego jeszcze, nie wybrzmiałego o poniszczony chodnik, ale w każdej chwili możliwego: złowieszczonego stukotu. Znasz ten lęk. Te przerażające, przyśpieszone, dudniące za tobą kroki. Te wieczorne powroty, pełne ryzyka, jakby była wojna i w każdej chwili ukryty w mroku snajper chciał cię zastrzelić. I mnie, trzynastoletnią dziewczynkę też mogą zastrzelić. Mogę zaraz, przy kolejnej bramie, nie przeżyć. Albo na tej krzyżówce, gdzie na poprzecznej ulicy, za rogiem czai się morderca. Wchodzę na przejście dla pieszych, pokonuję chodnik, mijam narożną kamienicę, słyszę, jak wali mi serce, ale słyszę tylko przez moment, bo właśnie moje tętno zagłuszają kroki. Kroki za plecami, zwiastun śmierci.

Nie. To nie jest zwykła wojna. Wojny zaczynają się i kończą. Ta wojna nie kończy się nigdy. Ona trwa, jak tradycja, część kultury homo sapiens, przekazywana z pokolenia na pokolenie opowieść o niej nie niesie za sobą wcale żadnych nadziei na zakończenie.

To wojna, gdzie jesteś ofiarą tylko dlatego, że jesteś kobietą.

PIERWSZY RAZ

Olsztyn, 1993 rok

7 stycznia 1993 roku została uchwalona przez polski Sejm ustawa o planowaniu rodziny. Wejście w życie *Ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży* (Dz. U. z 1993 r. Nr 17, poz. 78) ograniczyło dostęp do zabiegów przerywania ciąży – odtąd można dokonywać legalnej aborcji, jeśli zaistnieje jedna z określonych przesłanek:

1. Ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej (bez ograniczeń ze względu na wiek płodu); wystąpienie tej okoliczności stwierdza lekarz inny niż dokonujący przerwania ciąży, chyba że ciąża zagraża bezpośrednio życiu kobiety.

2. Badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu (do chwili osiągnięcia przez płód zdolności do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej); wystąpienie tej okoliczności stwierdza

lekarz inny niż dokonujący przerwania ciąży.

3. Zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (do 12 tygodni od poczęcia); wystąpienie tej okoliczności stwierdza prokurator.

Trzy miesiące później nadeszła wiosna, wyjątkowo gorąca w tym roku. Początek kwietnia zachęcał do spacerów i, jak to mówią, sprzyjał zakochanym.

o o o

Jedna chustka. Druga chustka, trzecia chustka. Koszule. Koszula w kratkę, w prążki, błękitna koszula. Biała do białych. Biała poszewka, poszwa na kołdrę, prześcieradło. Najpierw pranie, potem krochmal, na końcu prasowanie. Stos prasowania, do późnej godziny, do wieczora, gdy przychodzi ojciec, lekko zawiany, zwała poukładaną bieliznę na podłogę i depcze w zabłoconych butach.

Ale na razie jest pranie. Mama układa stosiki według koloru. Jest pedantyczna, dba, żeby było wszystko świeże, czyste. Wciąż pucuje mieszkanie. Tak pedantycznie, do przesady. To potem przejdzie na mnie. To natręctwo sprzątanania. Wiele rzeczy robię jak ona. Oczywiście nie chcę tego robić, ale czasem się na tym łapię, że właśnie zrobiłam dokładnie tak samo, tak samo się zachowałam, to samo powiedziałam, tak samo jak ona machnęłam ręką. Jak ja się wtedy wściekam na siebie samą!

Kurwa.

Na stos z prześcieradłem i poszwą trafia biała piżama. Moja piżama. Moje spodnie od piżamy.

– Maria!

Biegnę do łazienki, może coś trzeba pomóc, ale nie. Matka trzyma z obrzydzeniem moje spodnie i pyta, dlaczego one są

takie poplamione. Nie wiem, odpowiadam, choć przecież wiem. Ale co mam powiedzieć? Tego właśnie nie wiem.

– Jutro idziemy do lekarza.

o o o

Kaśka mówi, że kalendarzyk. To znaczy, jak się to zrobi tuż przed okresem, to spoko. Ale potem może być różnie. Podobno są jakieś globulki, nie pamiętam, jak się nazywają, chyba na „p”. Ale kosztują jakieś trzysta tysięcy albo lepiej. Ja myślę, że dobra byłaby prezerwatywa, ale mój chłopak nie chce o tym słyszeć. On mówi, że najlepsza jest wstrzemięźliwość. Ale nie, że nic, tylko że on wytrzyma.

o o o

I co? To już wszystko?

Całe to wielkie zamieszanie, ta dławiąca sprawa, tysiące razy przegadana w licealnych toaletach, wymyślona na dziesiątki sposobów, nastrojów, okoliczności, to to?! To właśnie tak? Ile to trwało? Minutę? Pół?

Maria jechała autobusem do szkoły. W autobusie kulila się jak jeź, cała napięta i czujna, żeby nikogo znajomego nie spotkać, żeby nikt nawet słowem nie zaburzył jej samotności, jedyne bezpiecznego stanu, w jakim może znaleźć się młoda kobieta. „Chcę być sama” – powtarzała w duchu, wbijając wymownie wzrok w okno, a raczej gdzieś poza nie, gdzieś wysoko, ponad lasem, nad chmurami. Często tak było, choć nigdy aż tak. Często uciekała od przypadkowych spotkań, od nic nieznaczących gadek w stylu: co słyszeć, niezręcznej wymiany zdań lub – co najgorsze – niekończących się wynurzeń napotkanej osoby,

które ją nudziły, kłopotowały, a przede wszystkim zabierały cenne minuty samotności. Tym razem to nie było zwykle unikanie spotkań. To była paniczna, rozpaczliwa ucieczka od świata, od konfrontacji z ludźmi żywymi, nie daj Boże szczęśliwymi, ich ekstrawertycznej potrzeby opowiadania o sobie, swoich WIELKICH sprawach, co u ciotki, co u Werki, co w szkole. Kto co powiedział, komu doniósł, kto jest świnią, kto jest spoko. Nie miała siły, nie miała słów, nie miała oddechu. W ustach suchy piach, pragnienie wody, zanurzenia się, utopienia. Głowa ją bolała od rana, a raczej od tamtej chwili, pieprzonych trzydziestu sekund.

– Śpisz? – spytała go po chwili, gdy znieruchomiał.

Spał. Odleciał. Odkleił się od niej i przewrócił na plecy. Plask! Koniec zabawy. A ona leżała jeszcze długo, patrząc w czarny od rozczarowań sufit, dławiąc się łzami, obrzydzeniem i lękiem. To wszystko? Serio? Nagle cała miłość prysła, została po niej tylko śmierdząca maź między nogami i pęknięta szyba w piersiach. Tak właśnie czuła, te dwie rzeczy i nic więcej. Smród i kłucie. Aha, i jeszcze ogromną potrzebę zniknięcia spod tej kołdry, oddalenia się od tego śpiącego chłopca, któremu postanowiła na tyle zaufać, żeby ofiarować siebie. Do zera. Do pierwszej krwi.

– Śpisz? – powtórzyła w mrok, ale już nie do niego. Zapytała jakąś istotę na górze, na chmurach, między wersami wszystkich romantycznych poetów, którymi karmiła się przez całą dotychczasową młodość, do których uciekała przed bolesną prozą życia. – Śpisz, do cholery? Czy ciebie nie ma?!

I z tą złością, że zniknął jej bóg, prysły wyobrażenia, zniknęła nadzieja, wszystko szlag trafił, teraz będzie już tylko zaliczoną pindzią tego typu, do którego po trzydziestu sekundach uniesień czuje zupełnie co innego niż miłość – z tą złością spędzi kilka godzin zimnej nocy w jego pokoju, żeby z nadejściem pierwszych promieni świtu wyskoczyć jak

z procy i pobiec na swój bezpieczny, codzienny, niewinny – autobus.

Tak bardzo pragnęła niewinności. Jedyne czego chciała od zawsze, od dziecka, to bycie dzieckiem. Bycie smarkulą, niedojrzałą, niewinną i zupełnie zieloną w „tych sprawach”. Ale niewinność gdzieś uleciała dawno temu, a dziś pozostał po niej lej, czarna i błotnista dziura wypełniona pustką. I ona w tej pustce, taka żadna, przezroczysta i bezwolna bujałaby się z chęcią niczym duch, gdyby nie to, że miała to cholerne ciało. Ciało jest zawsze przekleństwem kobiety. Ciało broczy, śmierdzi, kusi, wabi, staje niezgodą między porozumieniem dusz, które przecież jest tak ważne, tak ważne, a takie nie do zdobycia. Kobieta jest wartością bez ciała, a jednocześnie, paradoksalnie, jej wartość określa ciało. Maria chciała zostać ideą, myślą, umysłem, zwłaszcza wtedy, gdy siedziała na polskim i zwijała się z bólu menstruacyjnego, a profesor od polskiego, wysoki, umny, wzniosły, jest gdzieś ponad ciałem, ponad mazią, ponad wszystkim, co przyziemne, tak straszliwie przyziemne, jak ona z tym okresem, z podpaską, z wypchanymi majtkami. Gdzie do jego wielkiego intelektu z tą ciężącą jej kobiecością? Jak można próbować o sobie myśleć wierszami, gdy nabrzmiewają piersi? Ciało jest jej więzieniem, kulą u zbyt grubej nogi, ciężarem mierzonym w zbyt wielu niutonach.

Gdyby nie ciało, już dawno byłaby wolna. Gdyby nie ciało, nikt nie zdołałby zniszczyć jej uczucia, jej wrażliwości nikt by nie roztrzaskał. Wciąż znaczyłaby wiele, jak wiele znaczy każda nieosiągalna, wyobrażona kobieta. Jak idealna żona cesarza Akbara Wielkiego, kobieta doskonała i jednocześnie niewidzialna. Albo może lepiej jak jej imienniczka, Maria, Matka Boska, niepokalana, niedotknięta, niecielesna, żywcem do Nieba wzięta. Nigdy nie dałoby się jej przestać kochać, nigdy nie dałoby się jej zniszczyć. Tymczasem to więzienie krwawi co miesiąc,

wydziela jakiś zapach, zapach wabiący i zdradziecki, jak ślad dla drapieżnika.

Drapieżnik ją tropi, węszy, znajduje i rozdziera na strzępki krwawych fragmentów przeraźliwie wstydliviego profanum.

o o o

Jeszcze jej się siku chciało! Jakie to przyziemne i upokarzające, zamiast zalec w płatkach róż, zamiast latać na puchatej chmurze, zwijała się żałośnie na dywanie, bo łóżko za mocno skrzypiało. Nie mogła wyjść do łazienki, bo w chacie byli jego starzy, był jego ojciec i matka, zwykli, szarzy, dumni od tej zwykłości i szarości, podczas gdy ona cała nabrzmiała, różowa, czerwona, kobieca – po kryjomu chowała się, chciała zniknąć, przepaść pod łóżkiem, podnóżkiem. Boże, jak to się stało, że ona się zgodziła? Tak wiele spodziewała się w nagrodę za to, że się będzie przemycać i kryć. Oho. Podniebne podróże i wrota rozkoszy! Szósty czakram otwarty! Tętent serc! Żar oddechów! Wrzenie krwi! Czy to krew? Czy oddech? Czy serca? To oni jeszcze serca mają? To oni mają dusze? To oni, zatraceni w nocy, bez wstydu, bez ustanku – jedno ciało, jeden oddech, jedno serce, jedna krew? Jedność zanurzona w mroku... Tak sobie to KIEDYŚ (Boże, kiedy to było? Zdaje się, że minęła dekada, wiek! Od tamtego idiotycznego „kiedyś”) wyobrażała. Tymczasem gównno. Jedno gównno. Żadnego wrzenia krwi, żadnego nawet krwi podgrzania. Lód, mróz, gnój. Upokorzenie.

Zamknęła oczy, próbowała się wczuć, nie myśleć o niczym, o niczym takim... on już był po. Był po i od razu PO zrobił ten kategoriyczny manewr, uniósł się i walnął na plecy. A ona musiała leżeć cicho, nieruchomo z tymi sikami

w pęcherzu, aż starzy pójdą do pracy. A ona ucieknie do szkoły.

Jedź dziewczynko, jedź. Nie zwracaj uwagi na życie. Zobacz, nie masz szczęścia, nigdy nie masz szczęścia, właśnie do autobusu wchodzą chłopaki z klasy, Michał z Andrzejem, zaraz dołączy Darek. Śmieją się, żartują z wczorajszej imprezy. Byli nad jeziorem, chlapali się w zimnej jeszcze wodzie. Czemu wy z Mariuszem nie dołączyliście do nich? Dlaczego nie kąpałaś się w jeziorze Krzywym? Zajebicie. Właśnie tego ci trzeba. Dlaczego nie kąpałaś się w Krzywym, dziewczynko?

Gównno. Gównno. Gównno. Jesteś po uszy w gównie, nie w żadnym Krzywym. I tak już zostaniesz. Ale dziś jeszcze tego nie wiesz. Dziś jeszcze szukasz w panice jednej nieuwalanej myśli natchnionej, że może następnym razem będzie lepiej? Dziś, złamana rozczarowaniem, wstępujesz właśnie do zastępów nie-świętych męczennic, które każdym kolejnym upokorzeniem będą udowadniać światu, że może kiedyś przyjdzie taki czas, że będzie lepiej? Autobus zarzuca na zakręcie, zarzuca Marią, zarzuca jej ciałem. „Chciałabym nie mieć ciała” – myśli znów to samo i zwija się w kłębek na siedzeniu. Nie może patrzeć, jak chłopaki się śmieją, nie może znieść zazdrości tej beztroski, którą mają, tej dziecięcej, chłopięcej beztroski, której ona nie miała nigdy. Tak strasznie jej wstyd, że jest już kobietą, że w ogóle już nie jest dziewczynką, że ani trochę nie jest chłopcem. Że po jej udach spływa biała maź, której wszystko – zapach, konsystencja, ładunek agresywnych istot, które mogą zburzyć w pył jej przyszłość – napawa ją obrzydzeniem do samej siebie. I teraz cokolwiek się wydarzy, będzie miało na początku zdania te upokarzające słowa: sama chciałaś.

Czy chciała? Nie chciała. Boże, jak nie chciała. Zresztą nie. Nie myślała. Starła się CHCIEĆ. Dopasować się, nie sprawiać problemu z tym swoim „nie”. Ale gdzieś w głębi

duszy nie chciała tego. Po prostu coś w niej krzyczało, że nie. Że to nie jest dobre, że to jej niepotrzebne do niczego, że gdzieś w środku, w głęboko ukrytej podświadomości ona się tego po prostu brzydzi, tak jak brzydzi się siebie.

Może chciała raczej sobie to wyobrazić, chciała do tego dojrzewać, pomału, razem z wierszami i piersiami, których rozmiar nie był jeszcze nawet trochę kobiecy. Tylko jakoś nie umiała odmówić. Nie wiedziała, jak się wykręcić, jak powiedzieć to coś, co jest jej wola. Jej wola? Jest coś takiego? Nie, kiedy, jaka jej wola? To bezbarwne „nie”, po którym Mariusz przejechał się walcem swojego ciała? To nieme kręcenie głową storpedowane jego „Chcę!”.

– Ale ja chcę! Ja chcę. A jak ja tak chcę, to ty też musisz chcieć. Zobaczysz, będzie cudownie.

– Nie, Mariusz, jeszcze nie...

– JA chcę! Przecież cię kocham. Jak możesz mi ciągle odmawiać?

– Ale...

Sama chciałaś.

o o o

Cudownie. No wprost bajka. Ból i odrzucenie. Trzydzieści sekund. I co? Ciężar lęku na głowie. Co dalej? Co dalej z tym, że mówił, że wytrzyma? Co dalej z tym, że...?

– Nie interesuje mnie dziewczyna, która nie jest dziewicą.

To zdanie powtarzał wiele razy i teraz znów to powiedział. Przedtem, zanim to się stało, miotała się w panice, co będzie, gdy się okaże, że ona się tego dziewictwa jakoś pozbyła przez przypadek, na przykład tamponem, czy wtedy, gdy jako dziecko trafiła do ginekologa, matka siedziała obok i patrzyła w okno, a ta baba wsadziła jej długi patyk z wacikiem na końcu, żeby pobrać do badania coś, co z niej

wyciekało i napawało wstrętem i przerażeniem.

Czy wtedy mogła przestać być dziewicą?

Mdlała na samą myśl, gdy słyszała słowa Mariusza, bo tak strasznie chciała przed nim wypaść uczciwie, niewinnie, romantycznie, pięknie, ale jednocześnie odsuwała tamto, jakby tego nigdy w jej życiu nie było. Wyparła samą siebie, swój kawałek, którego tak nienawidziła, za który chciała umrzeć. Wydawało się jej to tak strasznie niedorzeczne, że uznała, że to był sen, sen za snem. Jakby się nigdy nie zdarzyło, nigdy w życiu. Bo jakżeby mogła inaczej żyć? Człowiek, który uczestniczy w czymś tak absurdalnym, nie może przecież wierzyć, że to się działo naprawdę, boby zwariował. Dlatego odsuwa, niszczy w sobie wspomnienia, zniekształca świadomość. To strasznie trudna praca, walka z samym sobą, z własną pamięcią. To codzienne, żmudne zaprzeczanie i codzienna akrobacja umysłu, żeby o tym NIE MYŚLEĆ. Dlatego teraz ona rozmyśla o tamponach i wizycie u lekarza sprzed lat, a on znów mówi te słowa i patrzy tym swoim wzrokiem dyktatora, władcy rozliczającego ją z niewinności.

– Dziewczyna, która nie jest dziewicą, w ogóle mnie nie interesuje.

– To ja ciebie już nie interesuję?

– A co, masz coś na sumieniu?

ZESZYTY

Polskie prawo dopuszcza aktywność seksualną osób w wieku 15-18 lat, ale ich dostęp do lekarza, a tym samym do wykonywania badań na obecność chorób przenoszonych drogą płciową oraz do środków antykoncepcyjnych jest utrudniony. W Polsce nastolatki do 18. roku życia są pozbawione opieki ginekologicznej i urologicznej – chyba że ich prawny opiekun zdecyduje się z nimi przyjść.

Edukacja seksualna w szkołach ma formę luźnej godziny dyrektorskiej i od zarządzającego zależy, czy odbędzie się, czy nie. Równolegle w szkołach zostaje wprowadzona katecheza w wymiarze dwóch godzin tygodniowo.

W domach nie rozmawia się z dziećmi o seksie w ogóle.

Panuje przekonanie, że zapłodnienie następuje w chwili po stosunku. Fakty są jednak inne. Zapłodnienie to długotrwały i skomplikowany proces, którego przebieg warunkuje obecność hormonów i enzymów w ciele kobiety.

Po stosunku bez zabezpieczenia, w organizmie kobiety pojawia się ejakulat, ale ani nie jest on zdolny do zapłodnienia, ani nie jest w odpowiednim miejscu do zapłodnienia. Zanim plemniki dotrą do jajowodów, gdzie mają szansę na spotkanie komórki jajowej – musi minąć

kilka godzin. Po tej wędrówce plemniki nadal nie są zdolne do połączenia z komórką rozrodczą kobiety. Muszą przejść tak zwaną kapacytację. Jest to pozbycie się błony lipidowo-białkowej z główki plemnika, dzięki czemu odsłania się receptor, który otwiera szczelnie zamkniętą ścianę komórki jajowej. Bez tego procesu nie ma mowy o „nowym życiu”. Proces kapacytacji trwa około siedmiu godzin i możliwy jest dzięki enzymom wydzielanym przez śluzówkę macicy, a te sterowane są przez hormon z podwzgórza przysadki mózgowej kobiety – progesteron. Ten sam hormon uwalnia komórkę jajową z jajnika kobiety.

Plemniki bez udziału hormonów kobiecych nie mają żadnych szans w jej ciele. Hormony decydują o zasadowym środowisku pH, umożliwiają plemnikom przeżycie i dalsze działanie. W 2007 roku pojawiła się na światowym rynku pigułka, która umożliwi zahamowanie wydzielania progesteronu w tym strategicznym czasie. Przyjęta zaraz po stosunku nie pozwoli na uwolnienie komórki jajowej i cały proces przygotowawczy do zapłodnienia. Będzie nazywana „antykoncepcją awaryjną”. Niestety, w Polsce zostanie potępiona przez Kościół i rząd, nawet w przypadku gwałtów czy kazirodztwa.

W walce z życiem kobiety zwyciężą plemniki.

o o o

Ta lekarka. Wyparłam to z pamięci. Wszystko mnie bolało, strasznie bolało, strasznie było mi wstyd. Mama siedziała na kozetce i patrzyła w okno. Widziałam, że kompletnie nie wie, co robić, jak się zachować. Myślę, że fajnie by było, gdyby podeszła do mnie i mnie wzięła za rękę. Ale siedziała jak obca, kosmitka, tam daleko pod ścianą i patrzyła w okno.

A ja pojękiwałam z bólu na tym dziwnym fotelu.

Potem się ubrałam i wyszłam, i czekałam na korytarzu. A one tam rozmawiały. Nie wiem, co ta lekarka powiedziała mamie, ale gdy mama wyszła, nie odezwała się do mnie ani słowem. Niczego się nie dowiedziałam. A przecież musiała coś wiedzieć.

Coś tam przecież usłyszała.

o o o

Darek woła, że po lekcjach jadą nad jezioro. Można ognisko rozpalić, jakieś piwo kupić. Tego roku jest naprawdę gorąca wiosna, w marcu dziewczyny opalały się na boisku. Wczoraj podobno Michał zgubił klucze do chaty, wbiegł w spodenkach do tej lodowatej wody, a w spodenkach klucze. Cała trójka, skręcając się ze śmiechu, łowiła patykami zgubę przez kolejną godzinę. Znaleźli! Ale Michała skostniałego trzeba było przy ogniu godzinę trzymać. Maria wychyliła się na moment ze swojego kokonu, słuchając niechętnie tej opowieści. Zrobiła to tylko dlatego, żeby ich nie zawieść, bo przecież jak ona mogłaby zawieść kogokolwiek? Andrzej jak zwykle, z tym swoim miłym, nienarzucającym się uśmiechem i dobrocią w oczach – patrzył na nią, jakby chciał ją pocieszyć, przytulić.

– Jedziesz z nami? – spytał cicho, pochylając się nad nią.

Podniosła wzrok ze swojego fotela, wyłoniła się ze swojego zawiniątka jak szczenię. Chciała coś powiedzieć, zupełnie nie wiedziała co, bo na żadną dobroć nie była przygotowana tego ranka, ba! ona na dobroć nie była w ogóle przygotowana w życiu, więc skąd miała wiedzieć, co się odpowiada na miły uśmiech, na miękki głos zadane zwykle pytanie: Czy z nami jedziesz? No pewnie, wiedziałyby, co odpowiedzieć na rozkaz, na focha, na polecenie. Ale tak? Kto jej powie, co się z tym robi? Może Mariusz kiedyś tak do

niej mówił, może, ale ona już nie pamięta, ona nie pamięta, czy ktoś tak do niej mówił w ogóle kiedykolwiek, ojciec, matka? No błagam. Jedziesz i koniec. Albo: nie jedziesz. Amen, zero pytań: chcesz, nie chcesz. Milczy więc, miotając się między resztkami niechęci do tego spotkania a zdumieniem, a nawet lekką złością, bo co się do cholery robi z takim „sratu-tatu”?

A on patrzy na nią i widzi, jaka jest mała. Ona jest jeszcze mała! – Coś mu krzyczy w głowie i każe się zaopiekować. Ale nie obejmuje, tylko tak stoi chwiejnie, jak się stoi w autobusie, jedną ręką trzymając uchwyt, drugą – w kieszeni.

– Jakby co, będę cię łowił. Na pewno łatwiej cię znaleźć niż Michała klucze.

To nawet zabawne, może nie takie „sratu-tatu”, myśli Maria i zaraz wpada w skrajnie inny stan, w stan rozmarzenia: jakby to było cudownie, gdyby mogła mu powiedzieć, co się stało, jakby było cudownie powiedzieć mu, jak ona się teraz czuje. Po prostu wyrzucić to z siebie i popłakać się w jego przyjacielskie ramię. Czemu ona zabrnęła w to wszystko? Czemu nie wystarczyły jej zabawy z licealistami i wyjazdy nad jezioro? Czemu musiała wpieprzyć się w to niby dorosłe życie? Zamiast zabawnej młodości przechodzić udręki „miłości”, kurwa, ZWIĄZKU. Po co jej ten związek? Po co młodej dziewczynie związek? Ktoś wie w ogóle? Na jaką cholere wszystkie nastolatki brną w to bagno, w to udawanie, że jest się prawie żoną ze swoim prawie mężem? Po co dają się zamykać w ramach lojalności wobec jakiegoś, pozał się Boże, adoratora, któremu jeszcze pryszcz nie zeszły, a już chce dyrygować ich życiem, już zamyka je w klatce, już izoluje od świata, już coś każe, czegoś wymaga, czegoś OCZEKUJE. I tym oczekiwaniem wywiera presję, że ona musi być jakaś, że ma się jemu tłumaczyć, czemu nie jest taka, że ona ma chcieć tego, co

on chce. Po co jej wieczne przekonywanie siebie, że to coś jest czegoś warte? A teraz jedzie autobusem z chłopakami, którzy przecież są zabawni, przyjacielscy i tacy nieznośnie weseli, podczas gdy jej myśli zaprzęta upokorzenie, rozczarowanie i obrzydzenie sobą? Tak bardzo zapragnęła być wśród tych „kujonów”, z których się jeszcze niedawno podśmiewała, wśród tych gówniarzy, którzy emocjonują się muzyką zamiast dziewczynami. I tak bardzo potrzebuje komuś to powiedzieć, komuś się przyznać. Kurwa, zobacz, źle się stało, źle, ja nie chcę, ja tego naprawdę nie chcę, ja chcę być gówniarą i kujonką, ja chcę mieć kanapki do szkoły i dziecięce pasje, ja chcę rzucić fajki i obłożyć zeszyty, ja chcę przegrywać z wami kasety, ja chcę zjeżdżać na zjeżdżalni.

Ale przecież nic nie powie, w życiu się nie przyzna, prędzej się powiesi, prędzej się pochlasta, prędzej się utopi. I ta ostatnia myśl wybuchła jej w ustach zaskakująco skwapliwym, wręcz żarłocznym:

– Tak!

o o o

Taki bałagan, taki bałagan, że nawet nie wiadomo, co się myśli, co się czuje, czego się chce! Siedziała na lekcji biologii i obserwowała tę wojnę w swojej głowie, wojnę, która dawno temu wybuchła, ale skrywana za żelazną kurtyną, dawała się jakoś okiełznać do tej pory, a dziś pierdolnęła bombą w samym środku mózgu i zostawiła zgliszcza i chaos.

Maria przygotowywała się do matury z biologii, którą zresztą bardzo lubiła. Dziś jednak nie potrafiła się skupić, mieszało jej się w głowie, kim jest, czym jest, czy jest jeszcze dzieckiem, czy jest już dorosła, co to znaczy w ogóle być dzieckiem i czy w ogóle ona kiedyś nim była? Tu książki,

zeszyty, tam noc nieprzespana, od kiedy pamięta, tak mało śpi, że miesza jej się jawa ze snem, fikcja z rzeczywistością, myśli ze słowami, marzenia ze zdarzeniami. O czym ona marzy? Czego chce? Nie ma pojęcia. Gniew z poranku gdzieś zniknął, stłumiony jak zawsze, rozmyty przez dzień. Nie ma miejsca na gniew, nie ma dla niego przestrzeni. Złość piękności szkodzi. Nie wolno tego czuć. Cholerny świat nastolatek, które muszą być papuśne i posłuszne, świat za dużych dzieci, które już dawno przestały być rozkoszne, a nadal głosu nie mają. Maria nie ma głosu. Wszystko tłumi w głowie, zgniata w milczeniu, aż powstaje gęsta papka myśli chaotycznie poplątanych i zmiążdżonych czasem, wstydem, lękiem.

Ciągle w lęku, w niepokoju, że ktoś ją wyrwie z letargu, każe coś robić, każe coś mówić, każe być taką, jaką ona nie umie być. Jej gniew więc wprasował się w inne gniewy, stał się płaski, martwy, bez pierwotnej energii, bez realnego buntu. Kiedyś to się wyleje, kiedyś to wszystko wybuchnie, ale dziś jest: bezsilność i pokora – te dwie śmierci osobowości, dwie porcje cyjanku potasu, dwa sposoby na nieżyście. Tak się to wszystko wyrównało do jednostajnej leniwej żadności, cała ona – Marysia przezroczyta, Marysia pokorna, Marysia nijaka – wróciła i siedziała ciężko z całą tą swoją przekłętą kobiecością w szkolnej ławce. Pragnienie uwolnienia się, ucieczki zaczęło maleć, kurczyć się, jakby samo siebie się przestraszyło.

Może powinna iść z chłopakami nad jezioro? Może tamta myśl o marnowaniu życia była słuszna? Ta noc i ten poranek to był taki *flashback* najgorszych doświadczeń, coś od czego trzeba uciec, co trzeba przekreślić, upchnąć, zmiążdżyć, żeby móc dalej żyć.

Czy uda się i to upchnąć i zmiążdżyć? Ile jeszcze będzie trzeba upychać i miażdżyć? Może jeśli pójdzie nad jezioro, to wtedy będzie łatwiej. Ale jak ona by mogła pójść nad jezioro,

jeśli nie może? Jeśli się nie da? Jeśli to nie takie łatwe?

W życiu nastolatek nic nie jest łatwe, a to przecież dopiero początek komplikacji, to dopiero preludium życia! To nie takie proste, mówią kobiety w poradniach uzależnień, lecząc się ze współuzależnienia od alkoholu. To nie takie łatwe, powtarzają maltretowane żony sadystów. To nie tak jak się wydaje, wy go nie znacie, to nie jest proste, tłumaczą znajomym gniew mężów.

To nie takie proste, pójść nad jezioro, gdy się ma osiemnaście lat i zazdrosnego chłopaka.

KWIATY

To nie takie proste, wyjść, pójść w swoją stronę, zacząć żyć swoim życiem. Zawsze towarzyszy ci strach. Ja się bałam od kiedy pamiętam. Bałam się ruszyć z miejsca, bałam się wyjść z domu, ale jeszcze bardziej bałam się do tego domu wrócić. Bałam się powrotów do domu z wielu powodów. Jeden to był mój sąsiad, który śledził, kiedy szłam, by dopaść mnie w klatce schodowej i wymacać. Miałam w gardle taką kulę z kolcami, nie mogłam oddychać, modliłam się, żeby nie dziś, nie dziś, żeby tylko go nie było. Ale prawie zawsze był, a ja nic nie mogłam zrobić. Wymyślałam, że będę wracać inną drogą, o innych porach, ale jakoś zazwyczaj potrafił mnie dopaść. Potem bałam się, że posunie się dalej, że może mi zrobić krzywdę...

Człowiek na wojnie wie, że jego strach nie jest iluzją.

o o o

Oczywiście, że by poszła. Poszłaby w cholere nad jezioro z chłopakami i w nim zmyła z siebie wstyd i upokorzenie, które ją ciągle drażyły przez cały ten cholerny dzień. W dodatku tak gorąco, nieprzyjemne strużki potu zlewały się

po jej nieumytych po nocy plecach. Jeszcze tylko miesiąc do matury, a jej głowa zupełnie gdzie indziej, gdzieś między łóżkiem Mariusza a plażą nad Krzywym, wiecznie wkurzoną starą i uciekaniem przed ojcem. Plemniki, o których wiedziała z biologii to i tamto, i jej ciało, którego nie znosiła najbardziej na świecie, które stanowiło dla niej zagrożenie, które było jej wrogiem produkującym właśnie zniechęcające hormony, rozpuszczające ją do galarety, napęczniałej tkanki nasiąkającej sperma.

Niedaleko szkoły rosły krzaki, zawsze kwitły właśnie o tej porze roku i czuć było od nich ten zapach. Chłopaki i dziewczyny przechodzili obok i niektórzy się uśmiechali znacząco, a ona zawsze udawała, że nie wie, o co chodzi, o kurwa, jak ona pragnęła nie wiedzieć, o co chodzi! A teraz ten zapach ją oblepiał z podwójną mocą i ten upał, który, zdawało się, zasuszał na niej warstwę potu i spermy, i jeszcze czegoś, czegoś, czego nie mogła ze strachu nawet wymówić. Tak bardzo pragnęła wskoczyć do zimnego jeziora, zanurzyć się i nigdy już nie wypłynąć.

o o o

Przyszedł z kwiatami. Stał przed bramą szkoły, cały jakiś taki uroczyście i gniewny. Maria wyszła ze szkoły chwilowo wolna, jednak niemal natychmiast zauważyła Mariusza i uśmiech zniknął z jej twarzy. Poczowała lęk, stres, jak na egzaminie. Jak się teraz zachować? Przyniósł kwiaty. Wcześniej nie przynosił. To coś znaczy. Jakieś oczekiwania. Ale może też coś więcej? Może jednak się zmienił? Ta noc go zmieniła? Poranek? Jakaś myśl mu się zagnieżdżyła, przełamana go z tego cynicznego egoisty, którego w nim niedawno odkryła, na powrót we wrażliwego człowieka, który ma jedynie tatę w policji, a wcześniej w milicji. On sam

w sobie jest dobry, kochany, życzliwy i przede wszystkim: kocha ją? Jasne, kocha aż do bólu, ale jej bólu. Zawsze taka miłość do bólu boli najbardziej ukochaną. On ją kocha do bólu. Dlatego podchodzi do niej i zamiast pocałunku, dzień dobry, czegokolwiek miłego, trzyma te kwiaty na bezpieczną odległość, żeby jeszcze nie były jej. Wyciąga papierosa, choć wie, że ona chętnie też by zapaliła, ale tu przed budą nie może. Maria czuje już to upokorzenie, tę bezsilność i pokorę, co zawsze, ale nie wie jeszcze, co ją czeka, jak wielkie upokorzenie, jak wielka bezsilność i jak olbrzymia pokora. Próbuje mu pokazać wzrokiem, żeby gdzieś stąd poszli, bo patrzą nauczyciele i znajomi, ale on stoi jak posąg, pewnym wzrokiem ją świdruje i, paląc papierosa, wydmuchuje dym w jej twarz. I wreszcie, po niekończących się minutach tego przedstawienia zadaje pytanie:

– Czy ja byłem pierwszy? Kto był pierwszy?!

Boże, Boże. Ten chłopiec był tak skupiony na sobie, że nie wie, nie pamięta, nie zauważył? I teraz, przypomniawszy sobie o tym, że to było NAJWAŻNIEJSZE – wraca i robi scenę z kwiatami. Dałbym Ci, ale nie wiem, czy zasłużyłaś. Ale Maria odpycha tę myśl, omija cisnące się do głowy odpowiedzi na jego pytania, nie obraża się, nie ucieka.

Nie rzuca się biegiem przed siebie, jak te wyzwolone, zbuntowane i kapryśne dziewczyny na amerykańskich filmach. Nie odpycha Mariusza, nie wyrywa mu kwiatów z dłoni i nie rzuca nimi o szkolny płot. Stoi nieruchomo, potem spuszcza głowę i odpowiada cicho:

– Nikt.

A potem powolnym krokiem oddala się od dziedzińca szkolnego, idąc w kierunku domu. Obok, nadając rytm jej krokom, nadając jej tempo, bo przecież ona nie może do cholery pójść swoim tempem, jakaś niewidzialna lina trzyma ją w jego pobliżu, więc on idzie obok z tymi cholernymi kwiatami. Mariusz. Jej pierwsza miłość. Jej narkotyk. Jej

zguba. Kiedyś ona przeczyta taką książkę o kobietach, które kochają za mocno i będzie płakać w poduszkę przez całą samotną noc. A teraz patrzy na niego spod rzęs i błaga w myślach, żeby to się już JAKOŚ skończyło. Jakkolwiek.

A on idzie i zastanawia się, jak by tu się najlepiej obrazić, jak wywołać w niej poczucie winy i późniejsze wielogodzinne przeprosiny. Wreszcie rzuca kwiaty w uliczny kosz i wybucha:

– To ja jestem dla ciebie nikt?! Serio? Nie wiem, czy to wszystko ma sens, obawiam się, że nie! Tyle się staram, a tymczasem tylko kombinujesz, jak się urwać z chłopakami nad jezioro! Myślisz, że nie wiem? Przecież widzę, razem wyszliście ze szkoły! Ledwo się rozstaliśmy, a ty już masz inne sprawy. Znów się umalowałaś? Jezu, nawet nie wiem, kiedy. W szkole? Ty się w szkole malujesz, kiedy ja nie widzę, żeby się przypodobać chłopakom. Nie mogę ci zaufać! Ja nie wiem, nie jestem pewien, nie mogę być ciebie pewien. Nie jestem pewien, czy byłem pierwszy! Cały dzień o tym myślałem! Gdybyś nie dawała mi powodów, byłbym przecież pewien!

Chwila ciszy, Maria idzie ze zwieszoną głową, po cichu łyka łyka. Bardzo by chciała, żeby Mariusz przestał mówić, żeby po prostu zamilkł. Szkoda, tak strasznie szkoda było jej tych kwiatów, że chciała w pierwszej chwili wyjąć je ze śmietnika. A teraz idzie i ciągle tylko myśli, żeby wrócić po nie. Takie ładne były, delikatne. Świeże, słoneczne, jasne. A teraz w tym koszu się pogniotły, płatki im się załamały, liście pokruszyły.

– Nic tu po mnie – stwierdza Mariusz. – To koniec. Nie mam już siły. Muszę iść. – Skręca nagle w inną stronę i szybkim krokiem oddala się.

Maria w tym momencie jakby dostała nowe życie. Woła:
– Mariusz! – I biegnie ku niemu. Łapie go za rękę, którą on natychmiast wyszarpuje. – Mariusz, nie możesz!

Jeszcze przed chwilą jezioro, pomysły, a teraz znów pustynia i ta panika, przerażenie, znów to samo, ale teraz tak brutalnie, tak strasznie, ona tego nie przeżyje. Ona się powiesi, umrze, skona, tu na ulicy, zwinie się w gałgan na chodniku i zdechnie z żalu. Już widzi siebie jako kawałek szmaty, nic nieznaczący, nieoddychający, nieżywy. Ona się udusi, ta gula zawsze jej towarzysząca, przez całe życie dusząca tak bardzo, że nie można mówić, nie można nic powiedzieć, nie można się odezwać – teraz ją po prostu zadusi jak kociaka. No nic, Marysiu, mała Marysiu, to było życie i nagle się skończyło. Nie nadajesz się do życia, nie zasługujesz. Cokolwiek się stanie, zawsze wszystko spieprzysz. To właściwie przez ciebie te trzydzieści sekund, co niby facet ma zrobić, skoro jesteś taka beznadziejna?

Więc co? Bezsilność i pokora. Niech on zdecyduje. Proszę bardzo. Niech zdecyduje, co z nią będzie, co z nią zrobi, bo ona nie ma siły. Ona jest obecnie strzępem flaków, pogniatanym kawałkiem ciała i rozpaczy, że zostanie zupełnie sama.

To nie takie proste!!!

Nic, zero myśli, pustka w głowie, nie ma jeziora, nie ma Andrzeja i jego miękkiego głosu, jest tylko nóż sprężynowy w głosie Mariusza, jest tylko odrzucenie, pięć tysięcy sto dwudzieste odrzucenie, które teraz ona będzie próbowała przebłagać.

On idzie obok w milczeniu, zdecydowanym krokiem, cały w chmurze, nieprzejednany, obrażony, ba! – urażony. Urażony do żywego czymś, co się samo jakoś zadziało, co się zadziało bez żadnego działania, a już przecież na pewno bez działania Marii, bo przecież ona nawet nie zdążyła nigdzie z tymi chłopakami pójść, nie zdążyła nic nawet powiedzieć, po prostu stało się, nie wiadomo kiedy. Mało tego, nie tylko zadziało się nie wiadomo kiedy, ale też nie wiadomo, jak się toto nazywało, jak to można określić, a jednak stało się.

I tak go dotknęło. Czyżby same myśli wystarczyły? Myśl o tym, że Maryśka czegoś nie chciała, że coś ją rozczarowało, że jakoś się poczuła, a może raczej: nie poczuła? – Już to wystarczyło, aby dotknąć Mariusza do żywego, złamać w nim pewność o jej lojalności?

Nagle zalała ją fala wyrzutów sumienia, paniki i żalu, że taka jest głupia i bezmyślna, że tylko o sobie myśli, że tylko było jej szkoda samej siebie, a nie na przykład Mariusza, bo co on czuje, co on myśli? Jak sam przez cały dzień bił się z myślami, jak się bał jej powrotu do szkoły, do innych ludzi, do chłopaków, podczas gdy on przecież został z tym bez nikogo, bo może z chłopakami na fajce, ale poza tym bez nikogo i z tymi myślami... Sam fakt, że jednak cały dzień myślał o tym, co się stało, myślał o niej, a ona – trzeba przyznać – myślała o wyskoku nad jezioro z Andrzejem. I aż się skuliła z lęku przed konsekwencjami swojego postępowania, a raczej: swoich myśli. Poczowała, że została słusznie rozliczona z nielojalności, ze swojej pychy, że ona niby jest najważniejsza, że jej brak satysfakcji ma tu jakieś znaczenie, że w ogóle sobie myślała, jaki on jest, jak on od niej wymaga tego dziewictwa, a sam przecież opowiadał, jak się rznął w namiocie z Beatą Pyszot.

Ale przecież, mój Boże! – jak sam zauważył – mógł jej tego nie mówić. A uczciwie powiedział.

Jaka ona jest niewdzięczna! Jaka głupia i zadufana w sobie! I teraz on odchodzi, idzie takim strasznym kategoriycznym krokiem, kiedy ona za nim biegnie, łapie za rękaw i błaga, żeby jej nie odrzucał, żeby nie zostawiał, bo ona się zabije. Myśl, że Mariusz może ją porzucić, nagle otwiera w niej jakieś straszliwe rany, czeluść rozpacz, paniki, a wręcz szału ze strachu.

– Nie przeżyję tego! – woła przez łzy i łapie go za rękę, a on ją brutalnie odtrąca ramieniem, ona się chwieje i leci na ścianę kamienicy.

Nikt ich nie widzi, a może raczej nikt nie chce widzieć, nikt nie reaguje, nikt nic nie mówi, tylko Marysia, ta zmieniona w ciągu paru minut z prawie dorosłej Marii w małą Marysię, która zapragnęła być po prostu nastolatką i nie martwić się o nic prócz zeszytów i matury, ta sama Marysia krzyczy teraz na całą ulicę, tuż pod szkołą, krzyczy bez wstydu, a raczej ze straszliwym wstydem, który musi pokonać, bo właśnie musi ocalić siebie od śmierci, od tak dobrze znanej śmierci z odrzucenia:

– Mariusz, błagam, nie zostawiaj mnie!

AGNIESZKA

Proszę mi wybaczyć, panie Adamie, że ja tak bez ładu i składu mówię.... Ale nie umiem nawet ubierać tego wszystkiego w jakieś ładne zdania i słowa.

Odkąd zaczęłam panu to wszystko opowiadać, dopadł mnie potworny dół. Jeszcze gorszy niż wcześniej, bo wcześniej to była tylko taka niemoc. A teraz to tak strasznie boli. Zaczynam czuć czasami ten sam nieokreślony dotąd strach i natłok myśli, i wydaje mi się, że już wiem, co chcę powiedzieć, że cały dzień siedzi mi to w głowie, że przypominam sobie tysiące rzeczy, a nagle, jak usiądę przed panem, to już nic nie wiem...

Tak bardzo bym chciała nigdy o tym nie mówić, nigdy o tym nie pamiętać. Ale to ciągnie się przez całe moje życie, uwiera jak jakiś kolec w środku, tysiące kolców, zepchniętych na dno, zdeptanych przez moje staranie, by nic nie czuć, nic już nigdy nie czuć...

A jednak się nie da. Nie umiem. Siedzę tu i opowiadam, i płaczę, i wtedy myślę, że już nigdy nie skończę, nigdy nie przestanę płakać. Że trzeba będzie zadzwonić po psychiatrę, pogotowie ratunkowe, gdziekolwiek, skąd przyjadą po mnie z noszami i wywiozą mnie całą pogiętą od tego życia, całą

poranioną i niezdolną wstać, jeść, robić cokolwiek. Będę się kulić pod kołdrą w przerażającym lęku, będę się nurzać w tych czarnych myślach i już nigdy nie zobaczę tęczy...

Wie pan, ja w pewnym momencie, jak już byłam dorosła, jak już było po tym wszystkim... zakułam się w zbroję. Miałam dość tej bezbronności, nienawidziłam siebie za słabość. I wydawało mi się, że faktycznie jestem mocna, silna, że wytrzymam, poradzę sobie. I jakoś sobie radziłam. Taka mocna, wie pan, niezłomna silna kobieta. Niezależna, feministka. Co mnie może złamać, myślałam. A jednak...

o o o

Zawsze zazdrościła Mariuszowi rodziny. Domu. Gdy przychodziła w odwiedziny, mama Mariusza zawsze częstowała ją racuchami albo przedziwnym daniem, które nazywała „mlecz”. Maria nigdy nie dowiedziała się, z czego zrobiony jest mlecz, ale zajadała się nim po uszy. Miał konsystencję gęstej śmietany, w której pływały regularne okrągłe grudki, był słodkawy, wyjątkowy. Nigdy potem nie znalazła smaku tej potrawy.

Uwielbiała matkę Mariusza. Mówiła do niej na „pani”, ale Mariusz i jego brat często nazywali ją po prostu Agnieszka. Tak miała na imię.

- Agnieszka zrobiła ciasto.
- Agnieszka kazała odkurzyć.
- Mówiłeś Agnieszce o szkole?

Marii się wydawało, że Agnieszka ją lubi. To było coś zupełnie nowego, coś bardzo przyjemnego, że jakaś matka – i to jaka! – ją lubi. To ją uwodziło, trzymało jak magnes w tym domu. Nigdy nie chciało jej się wychodzić, nie spieszyła się na autobus, zawsze zwlekała do ostatniego kursu. Chciała wdychać ten zapach, chciała słyszeć słowa

Agnieszki, chciała wsiąknąć w ten dom.

Ojciec Mariusza kiedyś był milicjantem. Zazwyczaj wracał z pracy w ciężkim humorze, w humorze gęstym od niezadowolenia. Ale gdy przyszedł czas pierestrojki, jego humor zmienił się z gęstego w oleisty. Maria trochę go unikała, ale czasem, gdy na niego wpadała, okazywał się miły. Lubił oglądać w telewizji Polskie Zoo, śmiał się z karykatur obecnej władzy, żółwia Mazowieckiego, Iwa Wałęsy czy Geremka kozy. Maria czuła jakąś złośliwość w jego głosie, ale nigdy skierowaną w jej stronę.

– Fajny program – zachęcał, by Maryśka usiadła obok niego.

Ona jednak instynktownie trzymała się z daleka, ale grzecznie stojąc w drzwiach udawała, że się śmieje. Maria bardzo często udawała, że się śmieje. Za nic w świecie nie chciała zrobić komuś przykrości, że coś, co śmieszy innych, jest dla niej nieśmieszne. Dlatego raczyła wszystkich dookoła tym dobrym samopoczuciem, że są fajni i zabawni. Dlatego hojnie obdarowywała ojca Mariusza tym samym przekonaniem. Bardzo mnie pan rozbawił tym Polskim Zoo, proszę pana. Chciałabym całe życie spędzić w tych drzwiach, patrząc na telewizor marki RUBIN z niekończącą się emisją Polskiego Zoo. Proszę tylko na mnie spojrzeć. Czy jest na świecie ktoś, kto mnie może bardziej rozbawić niż pan? Absolutnie nie. Moim śmiechem płacę panu za serdeczność tego domu, jedyne domu, w którym ktoś mnie lubi!

I tylko raz, jeden raz zwątpiła w tę serdeczność. Zupełnym przypadkiem, słysząc coś, czego słyszeć nie miała.

TATUŚ

Mój ojciec był uzależniony od pokera. Grał w karty na pieniądze. Do domu schodzili się mężczyźni. Wszyscy siedzieli w dużym pokoju, byli głośni, pili alkohol i grali w karty, a mama stawiała się tak nerwowa, że miała plamy na dekolcie i szyi. Takie rozlane czerwone plamy. Ale latała wokół nich, robiła kanapki i obsługiwała. Czemu? Nie wiem. Tak było trzeba? Kobiety usługiwały w tych czasach. A dziś? Nie wiem, czy coś się zmieniło...

Wtedy byłam jeszcze mała, ale już widziałam, czułam, że to jest zupełnie pozbawione sensu. Myślałam, że nie powinna ich obsługiwać, że jest taka zdenerwowana, że jej się nie podoba to wszystko, to dlaczego usługuje? Wiedziałam, że to wcale nie uchroni jej przed katastrofą. Czułam, że ona tak robi, bo wierzy, że ją to uchroni, ale wiadomo było, że tak się nie stanie. Bo w końcu nie wytrzyma.

Zawsze w życiu kobiety przychodzi ten moment. Że ona nie wytrzymuje. Dokładnie wtedy, gdy goście zaczynają sikać do zlewu. Dostaje furii, krzyczy do nich, żeby się wynieśli. Ale wtedy jej mąż staje przeciwko niej. Wykręca jej ręce, zmusza do postuszeństwa. Wyzywa. Od najgorszych, od kurew, dziwek, szmat. Przy wszystkich. Oni piją wódkę, śmieją się

głośno.

To trwa kilka dni. W dzień mama wychodzi do pracy, ja zostaję z nimi. Bywa, że gdy grają, ojciec woła mnie do nich do pokoju. Sadza mnie na kolanach obcych facetów. Różnych. Boję się ruszyć, boję się zejść.

Pamiętam zapach tych kart. To były specjalne karty... zawsze nowe. Ojciec przynosił je z peweksu. Zawsze oryginalnie zapakowane. Nowe do każdej kolejnej wizyty na grę w pokera.

Jestem ciągle niewyspana. Ciągle...

o o o

Miesiąc temu powiedziała Małgosi, że Mariusz z nią zerwał i nie chce z nią nawet gadać. Nie odzywa się, nie otwiera drzwi. Każe Agnieszce mówić, że go nie ma. Ale ona wie, że on jest, bo widzi, jak Świder wchodzi do klatki i z niej nie wychodzi.

Płakała i płakała, ale nic nie działało. Dlaczego zerwał? Już nie pamięta. Ale pamięta, że wpadła na pewien pomysł. Wymyśliła, że się utopi. Albo inaczej: nie chciała się topić tak na serio, tylko wskoczyć do wody i poczekać, aż on ją uratuje. W tym celu wybłagała spotkanie, takie spotkanie, żeby się po ludzku rozstać, jakoś tak kulturalnie, żeby nie było, że ją tak rzucił jak psa. Umówili się nad Wadągami, gdzie zamierzała wskoczyć. Łód dopiero puścił, choć pływały jeszcze kry. Marzec? Początek marca? Tak, to było tak jakoś około Dnia Kobiet. Naprawdę zamierzała wskoczyć do tej wody. Naprawdę myślała, że on ją uratuje, wyłowi. Tylko że woda miała około zera, a człowiek w takiej temperaturze może wytrzymać cztery minuty. Tego nie wiedziała. Dowiedziała się o tym kilka tygodni później, na lekcji przysposobienia obronnego. Tak więc cudem uniknęła

śmierci w Wadągu, a raczej dzięki temu, że Mariusz się rozmyślił. Bo on zawsze się w końcu rozmyśla. Bo całą tę historię można zapomnieć w ciągu jednej minuty, dokładnie wtedy, gdy Mariusz WYBACZA. Za pierwszym razem, gdy jej wybaczył, była zdumiona. Bo taki był nieprzejednany, zdecydowany, że odchodzi, tak bardzo przekonany o racji swoich argumentów i tak bardzo NIE MÓGŁ już dłużej, że gdy powiedział: OK, nie płacz już, nie odejdę, będziemy razem – Maryśka zbaraniała. Potem, gdy w samotności rozpatrywała, czemu zmienił zdanie, doszła do wniosku, że to jej płacz ma taki skutek. Czyli jednak ma jakąś moc. Może to marna moc, ale jednak. Od tamtej pory więc za każdym razem strasznie płakała. I on zawsze w końcu jej wybaczał. Ustępował, dawał kolejną szansę. Oczywiście, nigdy za bardzo nie wiedziała, czemu on w ogóle zrywa, ale wiedziała na pewno, że jej płacz, długi, męczący, rozpaczliwy, w końcu zadziała.

Ale tym razem było inaczej. Tym razem chodziło o zupełnie co innego. Bo Maria wiedziała, co się stało. Wiedziała, że nie było dobrze. Ani jej, ani jemu. Jej nie było dobrze, bo on w ogóle o niej nie myślał. No, ale... Jak ona w ogóle mogła przypuszczać, że on o niej ma myśleć? Że on jest jej coś winny? Na jakiej niby podstawie, skąd? W dodatku... O Boże, jak jej jest źle, jak strasznie. Jak mogła myśleć, że uda się jej to wyprzeć? Jak mogła uwierzyć własnej fantazji o tym, że to wszystko to tylko zły sen, że można to zostawić za sobą i udawać, że nic się nie stało, że można normalnie żyć, że można obłożyć zeszyty i pójść z chłopakami nad jezioro, że nigdy tego nie było, że to się nie będzie ciągnąć za nią podwójnym poczuciem winy? Że ją to będzie poniewierać, bo właśnie teraz ZNÓW tak się czuje, dokładnie tak, jak wtedy, za każdym razem, gdy szła rano do szkoły przenicowana na wskroś złem, brudem i poczuciem winy. Przecież skądś znała ten zapach kwiatów

na krzakach. A teraz wszystko wyszło na jaw i Mariusz jej nie wybaczy, ba, ona sama sobie nie wybaczy, dlatego wybije sobie z głowy wszelkie NORMALNE życie, dlatego będzie go błagać i płakać do końca świata, aż nic z niej nie zostanie.

Nic.

o o o

Ojciec Marii ostatnio rzadko bywał w domu, podobno załatwiał jakieś sprawy w terenie, a może po prostu chodził na dziwki, w niekończącą się delegację w krainę równoległej rzeczywistości. Kiedy wychodził, był zawsze schludny, czysty, obowiązkowy i jakiś taki „żołnierski”. Wracał często pijany do nieprzytomności i brudny tak, że śmierdział. Maryśka traktowała jego nieobecność jak swojego rodzaju wybawienie, ten stan był dla niej ulgą, małą wolnością na jej małej wyspie w tym niewielkim mieszkaniu. Mama była dla niej osobą tak obcą, że jak zwracała się do niej z prośbą o pomoc, gdy ojcowskie ręce zbyt boleśnie wprowadzały swoje rządy, matka kategorycznie ją sztorcowała, że sama sobie jest winna.

Dlatego Maria nauczyła się żyć w dudniącej, studziennej samotności. I tylko pragnęła, aby nigdy żadne z rodziców nie odwiedzało jej w tej studni. Uciekała z domu do mieszkania Mariusza, zaszywała się w jego pokoju, zaraz po lekcjach, kiedy jeszcze nie było jego rodziców. Brali sobie jedzenie z lodówki, zajadali się na tapczanie, rozmawiali albo po prostu spali, jak dzieci. Maryśka słuchała, jak Mariusz gra na gitarze, słuchała i podziwiała, a on grał z ochotą, widząc zachwyty w jej oczach. Ten zachwyty nauczyła się okazywać, wiedząc, że to jeden z nielicznych sposobów na jego dobry humor. Podziwiać, jak gra. Czasem coś nuciła cicho pod nosem. Kiedyś zagrał taką piosenkę, która jej się bardzo

spodobała. To leciało jakoś tak: *Co się stało z naszą klasą, pyta Adam w Tel Awiwie. Ciężko sprostać takim czasom, ciężko w ogóle żyć uczciwie.* Gdy Mariusz śpiewał, ona myślała, co będzie z nią, z nimi. Zastanawiała się, czy będą razem, czy dadzą radę, czy ona da radę tyle razy płakać, żeby ten związek przetrwał, żeby przez całe życie...

I właśnie wtedy, gdy tak siedzieli, zgrzytnął zamek w drzwiach i wszedł do mieszkania ojciec. Trochę za wcześnie, wcześniej niż zwykle. Być może coś się stało, może się źle poczuł, może go wylali? Mariusz zrobił spłoszoną minę, odłożył gitarę i wyleciał w pośpiechu z pokoju. Poszedł powitać ojca, który nie miał pojęcia o gościu, zaszytej pod kocem cichutkiej, małej Maryśce. Poczowała ten lęk, którego jeszcze nie rozumiała, bo skąd mogła wiedzieć, że tego miłego pana, co pozwala jej się pośmiać z Polskiego Zoo, należy się bać? A jednak w moment się zorientowała, że ojciec nie może znaczyć niczego dobrego, że jej ojciec powinien jej wystarczyć jako definicja polskiego ojca, taty, który wyszedł z domu i nigdy do niego tak naprawdę nie powrócił. Jakże nazwać powrotem wchodzenie z kopniakiem w drzwi, jak nazwać obecnością złowrogie pomruki przekleństw, jak nazywać miłością przemoc?

– Dzień dobry, tatusiu! – Głos Mariusza niezwykle miękkiego, potulnego, obcego, nie jego, to nie jego głos!

Maria usiadła sztywno na tapczanie, przykryła kolana spódnicą, przestała oddychać. Mój Boże, gdyby on kiedyś tak się zwrócił do niej! Usłyszała te słowa, jak echo i poczuła, jak zalewa ją fala miłości: Dzień dobry, Marysiu!

Kurwa. Dzień dobry, Marysiu. Dzień dobry, Marysiu, jak można cię dziś zranić? Z jakiego powodu odtrącić? Masz makijaż? Spódnicę za krótką? Z kim rozmawiałaś? Czemu nie masz czapki? Czapka!

Cisza, długa, ciężka cisza, po której Maryśka słyszy jakieś szurnięcie, coś w rodzaju odgłosu wsuwania kapci, potem

złowrogie chrząknięcie i nagle wybuch, zupełnie niespodziewany głos, tak odmienny od głosu tego znajomego przecież człowieka, tego sympatycznego starszego pana, który ją zachęcał do zajęcia miejsca na sofie obok siebie, na fotelu w salonie.

– Ty głupi gnoju, co ja do ciebie, kurwa, mówiłem? Miałeś tu odkurzyć, a nie przelecieć się z rurą, jak po piździe! Widzisz tu gdzieś pizdę?!

– Nie, tatusiu.

– Masz z tym zrobić porządek, kretynie!

– Tak, tatusiu.

– Spierdalaj mi stąd z tym odkurzaczem teraz! Nie będziesz mi tu jazgotał, jak odpoczywam! Z pracy wróciłem, nie zauważyłeś, debil!?! Myślisz, że w tej pracy mam wakacje, kurwa? Naprawdę tak sobie w tym zakutym łbie usrałeś?

– Nie, tatusiu.

– To wypierdalaj.

– Przepraszam, tatusiu.

PAMIĘTNIKI

Trwają przygotowania do Pierwszej Komunii Świętej. Chodzę pilnie i zaliczam wszystkie wymagane materiały, by trafić do grupy dzieci przyjętych. Nie jest łatwo. Raz katechetka stawia mi siedem dwój. Za każdy grzech po jednej. Płaczę w ukryciu, żeby matka się nie dowiedziała.

Czasem trzeba wyrecytować dziesięć przykazań Bożych, potem te kościelne, jakieś cnoty boskie – wszystko naraz. No i te pieprzone grzechy. Pycha. Chciwość. Nieczystość. Zazdrość. Nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu. Gniew. Lenistwo.

Dobrze powiedziałam? Wszystko hurtem na pamięć. Siedem grzechów głównych. Swoją drogą, to bardzo ciekawe. Co takie dziecko rozumie z tych grzechów? Ja niewiele rozumiałam. Nawet nie za bardzo wiedziałam, jakie grzechy popełniłam, co mam mówić na spowiedzi.

Czy popełniłam grzech pychy? Czymże w ogóle jest ten grzech? Chodzi o to, że chciałam tę sukienkę w groszki? Czy może o to, że „kręcącą”? Jak się kręciła sukienka, to była zabawa, o to chodzi? Ja nie wiem, do dziś nie wiem, w którym miejscu dziecko popełnia grzech pychy?

W którym miejscu dziecko w ogóle popełnia grzech?!

Chciwość? Że co? Że chciałam dostać siedem złotych na gałkę lodów? Czy może o to, że marzył mi się piórnik z Chin? Bo przecież nawet nie mogłam go mieć, nawet nie mogłam się z nikim niczym podzielić, bo po prostu nie miałam czym! Ale jakbym miała i się nie podzieliła, bo mi by było żal, to co? To znaczy, że dziecko ma grzech!? Niech mi to pan wyjaśni, błagam, bo to jest tajemnica wiary, kurwa mać, której do dzisiaj nie jestem w stanie pojąć ni w ząb! Co to znaczy, że dziecko jest NIECZYSTE?! Proszę mi powiedzieć, proszę o prawdę, wyjaśnij mi spowiedniku katolicki, katechizmie święty, wyjaśnij mi Radio Maryja, księżę dyrektorze, powiedz głośno, że dziecko jest NIECZYSTE!

Bo mnie bierze, proszę księdza, gniew, wielki grzech główny, gniew, którego nie sposób nie poczuć, bo jest zwykłą emocją, emocją, która się DZIEJE, prawda, panie psychologu?

Wyjaśnijcie mi! Ile miałam grzechów?!

Kto mi to wyjaśni?

Najważniejsze, żeby to wszystko wyryć na pamięć, żeby poprawić te siedem dwój z życia, z mojego krótkiego dziewięcioletniego życia. Mama nie wyjaśni, ona nawet nie wie, co ja tam wkuwam, chyba bardziej martwi się o to, skąd wziąć pieniądze na sukienkę do komunii.

Aż któregoś dnia przychodzi paczka. To jakaś paczka z darów, nawet nie wiem, od kogo. A tam w paczce sukienka. Skromna, oszczędna w ozdobach, ale bardzo ładna. Biała, gładka, do kolan. Wszystkie dziewczynki mają sukienkę do ziemi, ja do kolan. Niekręcącą się. Ale cóż, nie martwię się tym, bo przecież nigdy dotąd nie miałam tak ładnej sukienki. Chciałabym w niej chodzić codziennie. Ubieram więc po kryjomu, kiedy nikogo nie ma w domu i przyglądam się w lustrze, wyobrażam sobie loki, w tych lokach wianek. Będzie ładnie, cieszę się. Nie wiem jeszcze, że w przeddzień komunii obetną mi włosy.

Na chłopaka.

Zawsze – tatusiu. Przy największych obelgach, zniewagach – tatusiu. Przy jego najczarniejszej furii – tatusiu. W chwilach przemocy, w psychicznym darciu pasów – tatusiu. I ta pokora w głosie. Jakby w nim nie było nic, żadnego pionu, żadnych kości, tylko plastelina, zgniotek, uniżenie. Nigdy ani śladu buntu, ani cienia tej dzisiejszej miny nastolatków, którzy gardzą starymi, ani przemknięcia przez twarz choćby ułamka focha, żadnych najdelikatniejszych prób starcia. Tylko ukłon łamiący go wpół. A potem, z tego zgięcia prostował się wychodząc z domu, już na klatce schodowej napinał mięśnie, a gdy opuszczał blok na osiedlu Nagórki, jego niewidzialny pióropusz koguci, niczym korona, przeżył się w jego własnym osobistym słońcu pychy. Jego twarz ożywała, a skrywany bunt wykwitał w jego oczach niczym kwiat narcyza. Buntował się o wszystko i wszystko chciał sobie podporządkować. Że ktoś źle muzyki słucha, że ktoś się źle prowadzi, że ktoś coś komuś powiedział nie tak, że ktoś nie ma fajek, kiedy on potrzebuje. Najczęściej jednak buntował się z powodu dziewczyny. Dziewczyny nigdy nie oddawały ciosów, nie zagrażały fizycznie, nie mogły więc mu odebrać korony.

Dziś skierował swój bunt ku Maryśce. Wiedział bardzo dobrze, że może sobie z nią bezkarnie zerwać, bo ona nigdy nie pogodzi się z odrzuceniem. Odrzucenie jest potwornie bolesne, on sam jest w tym najlepiej obeznany. Maria panicznie się boi tego stanu, emocji, które mu towarzyszą. Wpada w histeryczne, bezgraniczne oddanie, gdy tylko czuje, że Mariusz odchodzi. Kiedyś sama mu opowiadała, że gdy z nią zerwał, pojechała windą na ostatnie piętro jego bloku,

wdrapała się po drabinie, chcąc wejść na dach, żeby z niego skoczyć. Ale wyłaz był zamknięty. Nie skoczyła, ale była gotowa. To wiele mówi. Stąd Mariusz wie, co na nią działa. Odrzucenie. Odejście.

A on teraz właśnie odchodzi z jej powodu. Nie jest jej pewny. Nie jest pewny wierności ani przed, ani po. Ma poważne wątpliwości. Ma słuszne pytania. Ona nie odpowiada zgodnie z prawdą. Musi ją ukarać. Albo inaczej: musi ją nauczyć. Żeby nigdy go więcej nie okłamywała. Bo on WIEDZIAŁ, że kłamie.

On wcale nie był pierwszy.

o o o

Zdumiewające, jak szybko się znów pojawił. Nie zdążyła nawet pozbierać myśli. Przyszedł przed lekcjami, stał pod klatką z papierosem i czekał, aż wyjdzie. Kiedy go zobaczyła, poczuła znajomy skurcz żołądka, znajomy lęk pomieszany z poczuciem winy, coś tak jej bliskiego, że nie sposób tego znów nie chcieć. Podeszła więc z potulnym uśmiechem maskującym strach, że znów coś nawywijała. A on natychmiast, nie czekając na jej „cześć”, wypalił salwę warunków, na jakich zgadza się ewentualnie do niej wrócić. Mówił ostro, strzelając krótkimi zdaniami jak pociskami prosto w nieobudzoną jeszcze, zaskoczoną, rozmiękczoną Marię.

– Nie spotkasz się z nikim bez mojej wiedzy! Muszę wiedzieć i zgodzić się na to, że się z kimś tam spotykasz!

– Dobrze.

– Rozmawiamy tylko o koleżankach. Żadnych kumpli. Jeśli w gronie koleżanek będzie jakiś facet, to sorry. Ja tego nie wytrzymam.

– Dobrze.

– Nie będziesz się malowała. Zero makijażu. Jeśli zobaczę cię w tych cieniach, szminkach, odchodzę. Nie chcę twojej prowokacji na ulicy. Nie chcę, żeby ktoś się za tobą oglądał, jak za jakąś kurwą. Po prostu tego nie zniosę.

– Dobrze.

– Żadnych spódniczek mini.

– Dobrze.

Dobrze, zgadzała się na wszystko. Jak mogła się nie zgodzić? W tym właśnie momencie, gdy była pewna, że nie przeżyje bez niego? Kruche poczucie siły, jakie zbierała pomału, dzielnie i wytrwale po tym całym zerwaniu, pierzchnęło w jednej sekundzie. Wystarczyło, że go zobaczyła. Koniec. Zniknęła. Przepadła. Na klatce schodowej stał jej cień, wspomnienie po niej, skurczony szary nagrobek.

Tu leży Maria, co z miłości umarła.

Boże, chroń nas przed miłością, dudniło spod marmurowej płyty, jak żałobny akord. Duch Marii zawisł nad podłogą, złapał kurczowo Mariusza za ramię. Zrobił się jakiś taki podniosły, nierzeczywisty, bezmyślny. Oto ja służebnica pańska, mozesz mnie zeżreć, razem z moimi spódniczkami i makijażem. Zjedz mnie, przeżuj, przełknij i wyrzygaj. A jak mnie wyrzygasz, skoczę z wieżowca, bo jesteś moim życiem, bo ja SWOJEGO ŻYCIA NIE MAM.

o o o

Cała taka jakaś podniosła się zrobiła na tym własnym pogrzebie. Znów miała okazję do przekroczenia jakiejś granicy, znów na horyzoncie pojawiła się nadzieja na śmierć. Miłość to śmierć, tak napisali w romantycznych wierszach. Śmierć to miłość. Do bólu, do krzyku, do łez, do zgonu. A więc on ją kocha, rozumiecie: KOCHA! Koniec tematu, zero rozważań, co jest dobre, a co złe, skoro mamy tu temat

miłości. Co tam koleżanki, co tam koledzy, ona może już nigdy nikogo nie widzieć, byle tylko on z nią chciał być, byle ktoś ją kochał. Ten pierwszy raz, może nieudany, ale przecież całe życie przed nimi, wszystko będzie jeszcze cudownie. Ona wprawdzie nie lubi siebie bez makijażu, ale przecież ona siebie w ogóle nie lubi, z makijażem czy bez, ważne, że on ją chce. Ważne, że na świecie jest ktoś, kto ją chce. Czy to nie najważniejsze? Każdy z nas jest połówką pomarańczy, potrzebuje drugiej, przecież nawet dziecko zna tę prawdę. A Maria nie jest nawet połówką. Ona jest jedynie pomarańczową skórką, tym pypciem na czubku owocu. To on jest całością, którą jej teraz ofiarowuje! Specjalnie przyjechał z Nagórek, autobusem, siedem ciężkich przystanków i to z samego rana! Wstał wcześniej, może o siódmej, to jednak jest olimpijski wyczyn. WSTAŁ i PRZYJECHAŁ. Do niej. Czy to nie znaczy wiele? Czy to nie znaczy WSZYSTKO?

W jednej chwili rozmywa się cały żal, zostaje tylko to napięcie, to znajome uczucie pomieszania nadziei z lękiem i to, że jak ona się bardziej postara, to na pewno będzie dobrze.

Będzie dobrze!

I nie jedzie do szkoły, znika z nim w autobusie, jadą razem do ulubionej knajpy, gdzie będą palić fajki, śmiać się i opowiadać szczerze o sobie, szczerze do bólu, do ostatniej, najgłębszej tajemnicy. To znaczy ona będzie opowiadać. Bo on, rzecz jasna, nie. A więc rozpocznie się kolejna spowiedź w jej życiu, kolejna wiwisekcja jej duszy.

Tylko nie powie mu, nie odpowie na to straszliwe pytanie, które przecież wiadomo, że padnie, padnie prędzej czy później, padnie znów, kiedy już będzie się wydawało, że jest super, że już do tego nie wrócą. A jednak. Jednak on zapyta znowu, a ona będzie milczeć, pojawią się łzy, a on wpadnie w gniew, a potem, kto wie, co będzie potem?

Maryśka wie. Wie, przepowiada przyszłość jak stara czarownica. Potem będzie płacz, błaganie, jego odepchnięcie, wykręcanie rąk i jej potworny lęk. A potem dach wieżowca. Przynajmniej to jedno wie. Ale teraz słyszy od niego, jaka jest słodka i śliczna, właśnie taka, bez makijażu, bez koleżanek, bez nikogo, tylko z nim, tylko JEGO.

– I jeszcze jedno – nagle poważnieje Mariusz.

Czemu tylko jedno? Ona jest gotowa na wszystko, same warunki od świtu do nocy, same wymagania, ona wszystkie spełni co do jednego, ba! ona je nawet wyprzedzi.

– Tak? – pyta pełnym posłuszeństwa głosem, jakby chciała dodać: oczywiście, oczywiście, zgadzam się od razu, zgadzam się, zanim usłyszę, po prostu cała jestem twoja, rób ze mną co chcesz, rzucaj o ścianę, bierz mnie w trzydzieści sekund, tylko mnie kochaj!

– Będę czytał twoje pamiętniki. Na bieżąco, codziennie. Chcę przeczytać wszystko, co piszesz. Chcę o tobie wiedzieć wszystko...

GRZECHY

Dzień przed komunią wkuwam na pamięć swoje grzechy. Moje grzechy są takie same jak koleżanek. Kłamałam (choć nie kłamałam), byłam niegrzeczna (choć nie byłam), nie słuchałam mamy (choć słuchałam). Coś trzeba przecież powiedzieć. I na koniec: więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję, proszę o pokutę i rozgrzeszenie. Amen.

KURWA!!!

Sorry.

Idę do tego kościoła, a tam cała moja klasa, dzieci z rodzicami, dzieci z innych klas, wszyscy. I ja w sukienusi w groszki – od babci, jak aniołek, z wymyślonymi grzechami. Staję w kolejce do tej budy drewnianej, sorry, zapomniałam z tego wszystkiego, jak to się nazywa...

– Konfesjonał.

Konfesjonał. Dzięki. Siedzi w tym całym konfesjonale najgorszy ksiądz z całego kościoła. Mówią na niego Szklane Oko. Nie wiem, czy on naprawdę ma szklane oko, czy zeza,

chodzi o to, że jak na ciebie patrzy, to nigdy nie wiesz, czy na ciebie, czy w bok. A może całkiem gdzie indziej. No, nie wiadomo.

Chciałam stanąć w kolejce do innego księdza, bo tego się strasznie bałam. Ale mi nie pozwolono. Akurat tam nas popchnięto, jak barany na rzeź. Jak jagnięta. Nigdy nie zjem jagnięciny... Nigdy. Zawsze mi się już będzie kojarzyć z tymi dziećmi przed konfesjonatem...

Przed tą drewnianą budą.

Puk, puk. Następny.

Puk, puk, następny.

Puk, puk, następny do zarznięcia.

Wie pan o co chodzi z tą spowiedzią? Po co ona jest?

Nie, to nie jest żaden sakrament. To gwałt.

To jest gwałt na dziecięcej psychice.

Chce pan wiedzieć, co było dalej? Co się stało, gdy odpukany przede mną Antoś poszedł do ławki z cichym płaczem?

Oto czas na mnie, na mój występ, poproszę reflektory, bo w moim życiu za mało było pierdolonych teatrów dramatycznych! Za mało zebrałam, trzeba było mi jeszcze. To idę. Voilà!

Nogi mi się trzęsą pod tą błękitną sukieneczką, groszki na niej drżą. Taka śliczna dziewczynka, dziadek ją uwielbiał, dopóki przestał znać. Babcia szyła ubranka, dopóki nie zapomniała. I tatuś, oj tatuś też kochał...

No nic. Klęczę. Klęczę przed Szklanym Okiem i mówię drewnianym od ściśnięcia głosem. Mówię po kolei, jak w pacierzu. Grzechy, regułka, amen.

Cisza.
Cisza.
CISZA!

Nie ma pukania, tylko jakiś skrzek. Nic nie rozumiem, szumi mi w uszach, nie rozumiem, co on mówi, proszę, żeby powtórzył, ale dalej nic nie rozumiem. Gdy on podnosi głos i mówi tak głośno, że cały kościół słyszy: „Możesz odejść, nie dostałaś rozgrzeszenia”.

NIE DOSTAŁAM ROZGRZESZENIA.

Nie wierzę własnym uszom, dlaczego, Boże, co?! Podchodzę do niego, a on patrzy nie wiadomo gdzie, gębę ma groźną, niemłą. Macha na mnie ręką zniecierpliwiony, odejdz, ODEJDŹ! Głos mi się trzęsie, grzęźnie, urywa, klucha, łzy, wszystko razem, nie wiem, co robić.

CO ROBIĆ?!

*Ale proszę księdza, co ja mam teraz zrobić?
I płacz, nie mogę opanować łez.*

Wszyscy na mnie patrzą. Cały kościół, cała moja klasa, sąsiadki. Nikt mi nie pomaga. Nikt mnie nie ratuje...

W końcu idę w stronę mamy, ale wiem, że ona też mi nie pomoże. Ona jest wściekła, ledwo panuje nad sobą, zaraz ją szlag jasny trafi. Ale póki są ludzie wokół, nie zabije mnie. Nie zabije. Więc idę do niej, wszyscy na nią patrzą, na mnie patrzą, Boże, jaki wstyd.

WSTYD.

Nie ma ojca, tylko mojego ojca nie ma, wszyscy inni ojcowie są. I ja nie mam rozgrzeszenia, a wszystkie dzieci mają.

Mama miała rację, jestem niedobra, jestem zła, nie jestem ich dzieckiem, nie jestem ich córką...

Jestem diabłem wcielonym.

„Mamo, co ja mam robić?” – pytam, a ono odpowiada lodowato: „Nie wiem”.

Nagle woła mnie inny ksiądz. Podchodzę, on prosi, żebym nie płakała, mówi, że mnie wyspowiada. Tym razem dostaję rozgrzeszenie, ale to już niczego nie zmienia.

Czuję WIELKI WSTYD i nienawiść do tego księdza, który nie wiadomo gdzie patrzy, i do tego kościoła i do wszystkich ludzi w tym kościele.

Czuję nienawiść.

Po raz pierwszy w życiu czuję czystą nienawiść i jest to, proszę pana, w domu Boga, zwanego miłością. Boże, broń mnie przed miłością! Jeszcze długo potem słyszę w szkole, jak szepczą po kątach. Patrz, to ta, to ta, co rozgrzeszenia nie dostała. I wierzę już we wszystkie słowa mamy. Wszystko to, co kiedyś we mnie rzuciła, co się do mnie przykleiło na całe życie.

Jestem niedobra. Jestem zła. Jestem najgorsza.

To dlatego mama tyle płacze?

o o o

Małgosia mówi, że to nie fair. Że nie powinien czytać Maryśki pamiętników. Jasne, myśli Maryśka, ty nic nie rozumiesz. Nikt nic nie rozumie. Nikt nie rozumie ich języka, wspólnego kodu, jedyne na świecie, jakim się posługują tylko oni we dwoje. Nikt nie rozumie tego, co mówią, co robią, dlaczego. Nikt nie zrozumie jej samej, której przecież

nikt do tej pory nie kochał, bo jak można mówić o miłości, gdy na widok ojca zapada się w niej papierowy świat, zalewa ją czerń rozpacz i wstydu? Kiedy na widok matki chce się uciec, skryć, nie być? Tylko on jeden chce z nią być, to dlaczego nie może stawiać warunków? Małgosia nic nie rozumie, ona ma obłożone zeszyty i zawsze kanapki w kolorowym papierze śniadaniowym. Skąd ona może wiedzieć, na czym naprawdę polega życie? Jej cały problem to nadchodząca matura, a przecież życie jest o wiele trudniejsze od matury, matura to jest śmiech na sali, coś, czym Maryśka nie umie się w ogóle przejąć, coś, o czym Maryśka myśli z lekkim pobłażaniem w stosunku do rówieśników.

Jak ktoś ma luksus zajmowania się wyłącznie szkołą, to niech ma. Gratulacje. Maryśka ma wdrukowaną dorosłość od kołyski, od małego łóżeczka z metalowymi prętami, łóżeczka z dołączonym na stałe legowiskiem dla wilka.

Jej pamiętniki to jakby jej dusza, tłumaczy Małgosia, a Maryśka przecież wie swoje, wie, że pamiętniki to nie jest żadna dusza, bo – jakie to proste! – ona duszy nie ma. Ona ma papierowe światy wewnątrz, pewność siebie z papieru, papierową wiarę w siebie, papierowy bunt. Wszystko się rozlatuje przy najmniejszym tupnięciu i jedyne, co zostaje, to papierowe kartki spięte w pośpiechu na kształt pamiętnika, jako ofiara złożona dla przebaczenia za grzechy.

W takim razie nie dawaj mu do czytania naszej korespondencji – prosi Małgosia na wyrwanej z zeszytu kartce papieru, zawsze tak sobie piszą na lekcjach, udają, że notują coś ważnego, tymczasem piszą do siebie i teraz Małgosia ją prosi, nie pokazuj mu tego, co ja piszę, a Maryśka wie, że to niemożliwe, że tę korespondencję też musi oddać mu do czytania, bo tak przecież przysięgła, a przysięgi nie może złamać, to jest jak przysięga małżeńska, od tego zależy, czy jej świat się nie zawali, czy nie będzie

musiała znów włączyć na wieżowiec.
Albo wskakiwać do Wadąga.

o o o

W Kościele jestem znów tylko z mamą. To moja Pierwsza Komunia. Dzień, dla którego tak ufnie przygotowałam swoje grzechy. Zbyt ciężkie grzechy dziewięcioletniego dziecka, aby je wybaczyć. Jestem naznaczona, brudna, zła. Choćbym nie wiem jak białą sukienkę założyła, każdy wie, że jestem zła. Nie mam rozgrzeszenia. Nie mam. Ten drugi ksiądz to tylko jakiś wyłom w kamiennym monumencie, chwilowa słabość, ochłap rzucony z litości.

Przyszedł ojciec. Stoi wystrojony. Wszyscy przyglądają się nam jeszcze uważniej. A on stoi wyprostowany, pewny siebie. Ma ładny garnitur. Mama mówi: Patrz, przyszedł. Dobrze wygląda. Ojciec zawsze dobrze wygląda.

Podchodzi, ale nie wiem, czy coś do mnie w ogóle mówi, jestem w zbyt wielkim stresie, żeby pamiętać. Wiem tylko, że w ręku ma kwiatek. Ale dla kogo? Za chwilę go nie ma. Znika jak duch, jakby go w ogóle nie było... A przecież był.

*To wszystko, jeśli chodzi o moją komunię.
To wszystko...*

Aha, i jeszcze coś. Już wiem, proszę pana, teraz już wiem, dlaczego tamten ksiądz nie dał mi rozgrzeszenia. To była zemsta Kościoła. W ten sposób ksiądz postanowił ukarać mamę. I ukarał mnie. Zrobił to z pełną świadomością, kiedy ja tej świadomości nie miałam za grosz, bo byłam po prostu za mała. Ale on wiedział. Wiedział, czego nie wiedziałam jeszcze

ja. Mama złożyła pozew o rozwód. Dla niego stała się niedobrą żoną.

Samotną matką.

- Rodzice się rozwiedli?*
- Ależ skąd! Mama wycofała wniosek.*
- Dlaczego?*
- Bo „to nie takie proste”.*

SZTAFETA

Pierwszy raz poczułam ten rodzaj strachu mając 12 lat. Razem z przyjaciółkami wracałyśmy późną jesienią ze szkoły, robiło się już ciemno. W drodze minęłyśmy dwóch facetów, dużo starszych od nas, rozbawionych. Po chwili zawrócili i zaczęli za nami iść. Właśnie wtedy pierwszy raz usłyszałam te kroki. Poczułam ten strach. Nigdy nie biegłam tak szybko. Udało nam się dobiec do klatki kolegi z klasy, znałyśmy kod. Nie czekałyśmy, aż odejdą, nie próbowaliśmy dotrzeć same do domu. Zapukałyśmy do kolegi i poprosiłyśmy jego tatę, żeby nas odprowadził. Ale do tej pory pamiętam tę adrenalinę, trud łapania oddechu.

Drugi raz był dużo gorszy. Miałam wtedy 14 lat, wracałam z jakiejś miejskiej imprezy. Cały rynek mojego miasta był pełen ludzi, wszędzie tłumy. Za mną szła grupa facetów, łysych, pijanych. I nagle jeden z nich złapał mnie od tyłu, mocno przycisnął do siebie i wysyczał do ucha „chciałbym spróbować twojej cipki”. Nie wiem, czy w tym tłumie nikt tego nie widział, ale nikt nie zareagował. Zamurowało mnie, ze wstępu, obrzydzenia i wstydu. Nie wydaje się to dziwne? Czuć wstyd w takim momencie? Ale czułam ten wstyd, że jestem kobietą, że jakbym nie miała tej cipki, to pewnie by

mnie to nie spotkało. To wina cipki.

Trzeci raz...

Byłam na domówce z bliskimi znajomymi, niedaleko domu. Bawiliśmy się świetnie, znaliśmy się od kilku lat – ja, moja przyjaciółka, jej facet i jego przyjaciel. Przynieśli wódkę, piliśmy. Wybiła północ, kolejny kieliszek, kolejna butelka. Pamiętam, że głowa robiła mi się coraz cięższa, upiłam się. Mam taki przebłysk, jak chłopak mojej przyjaciółki niesie mnie gdzieś. Pomyślałam, że chce mnie położyć, żebym odpoczęła....

Chciał czegoś innego.

To, co się dzieje w głowie potem, jest nie do opisania. Najpierw przychodzi wstyd, bezsilność, rozpacz, później złość i strach przed konsekwencjami. Byłam na siebie zła, że tyle wypiłam, gdybym nie piła, to by się nie stało, czułam obrzydzenie do siebie, wściekłość, że mogłam komuś zaufać...

Dwadzieścia lat później przeczytam na Twitterze znanego publicysty prawicowego, że kto nigdy nie wykorzystał nietrzeźwej, niech pierwszy rzuci kamieniem. Gwałt stał się normą.

Żyjemy w lęku. W kulturze gwałtu. Czuję gniew za każdym razem, gdy czytam czy słyszę o ofiarach, że mogła nie pić, mogła tamtędy nie iść, mogła tego nie zakładać, mogła tak nie patrzeć, mogła się tak nie czesać, mogła nie używać perfum, mogła nie prowokować. W sumie to chyba w ogóle mogłybyśmy nie istnieć?

o o o

Przyszła do niego, tak jak się umówili, o szóstej. Otworzył jej młodszy brat Mariusza, wysoki, wesoły, przyjazny. Nieraz zastanawiała się, czemu Tomek jest tak inny, taki pozytywny, bezproblemowy. Czy jej się to podobało? Przecież

ta mroczność Mariusza przesądzała o jego atrakcyjności. On był tak zawity, tak skomplikowany, tak wrażliwy... Właśnie za to go pokochała, a jednak patrząc w wesołe oczy Tomka, czuła jakieś ukłucie zazdrości, żal, że nie jest jej nieco łatwiej. Że przecież ma ledwie osiemnaście lat, a czuje się tak styrana, jakby już wszystko się dokonało. Jakby życie miało składać się tylko z huśtawek, z zerwań i powrotów, z jej łez i ulotnych radości, których sama obecność już napawała lękiem. Bo przecież nigdy nie wiadomo, kiedy on się znów pogniewa. Nigdy nie wiedziała, nie umiała przewidzieć, co tym razem go rozjuszy. Czym go zrazi, czym narazi się na jego kolejne odejście? Tych odejść już było tak dużo, że łapała się obsesyjnych myśli, co powiedzieć, jak się zachować, jak tym razem zareagować na spotkanie, żeby tego uniknąć? Wciąż myśli wyłącznie o tym, skupia się na jego minie, na drgnieniu jego mięśni na twarzy, na jego czole, na jego oczach. Czasem myśli, czy to na pewno miłość, czy już wyłącznie strach, ale potem odgania tę myśl, kuli się przed nią, jakby była zakazana, jakby ją też mógł wyczytać, jak te pamiętniki.

Pisała od zawsze, od piątej klasy podstawówki, straszne pierdoły, głupoty, mój Boże, co jeszcze? To, że tamtego nie napisała NIGDY, nigdy tego nie zrobiła, bo nie umiała, dlatego zgodziła się na jego warunek. Oddała mu siebie, swoje ciało i duszę, swoje myśli i słowa, całość co do jednej komórki. Maria zachowała TAMTO, całe swoje dzieciństwo, jak sekret ze szkła i zasuszonych kwiatków, zakopany gdzieś w trawie za domem. Nikt tego nie znajdzie, nie znajdzie go nigdy, a ona – jak się postara – też o nim zapomni. Ucieknie z Mariuszem do nowego życia, sklejona z nim, pypeć od pomarańczy z doskonałym owocem razem przekulają się przez świat, jak najdalej od jej sekretu.

Chyba już pół godziny tak siedzi, jest jej trochę głupio, siedzi u niego w pokoju, a on siedzi w pokoju z telewizorem i nie przychodzi do niej. Przecież wie, ona słyszała, jak Tomek mu powiedział: Marysia przyszła, a on nic, dalej tam siedzi. Tomek zrobił jej herbatę, ale to głupio wygląda, może powinna wyjść? Może powinna wyjść i czekać na klatce schodowej, tak jak wtedy, gdy się umówili na szóstą, tak samo – na szóstą – i go nie było. Siedziała dwie godziny na klatce schodowej, paliła jednego za drugim, spaliła w końcu całą paczkę i poszła do kiosku po drugą. To były takie śmieszne camele z filtrem w kształcie kwiatka, a może to były goldeny? Maria jakoś ostatnio nie może palić, niedobrze jej po fajkach, w ogóle jej niedobrze, a teraz, gdy mija czterdzieści minut tego czekania, niedobrze jej jak cholera. Wstydzi się, że będzie musiała wyjść do łazienki i rzucić pawia z nerwów, dlatego kuli się na tapczanie Mariusza, kuli się, ale twarz ma uśmiechniętą, maskuje swoje samopoczucie, gdy do pokoju wchodzi po raz kolejny Tomek i mówi do niej:

– Dlaczego po prostu nie wyjdiesz?

Dlaczego ona nie wyjdzie? Nie wie. Głupio się uśmiecha, kiwa głową, czeka. No w końcu chyba się doczeka? W końcu on chyba przestanie oglądać telewizję?

– Dlaczego pozwalasz się tak traktować? – pyta Tomek, a ona wybałusza na niego oczy, bo nawet nie wiedziała, że pozwala się JAKOŚ traktować. – Jest mi głupio za niego, serio. To kretyn – zauważa jego brat, a Maryśka dla odmiany otwiera ze zdumienia usta.

Kretyn? To możliwe? Jej doskonałość, cała pomarańcza, to kretyn? Jego zachowanie przed telewizorem – to kretynizm? Jego upokarzanie jej to kretynstwo? A zrywanie w kółko? Też? Co jeszcze jest kretynizmem? W którym

miejscu to kretyn? Nagle cała miłość zamieniła się w dociekanie, niezwykłą ciekawość, jakby Maria odkryła nowy pierwiastek chemiczny albo jeszcze lepiej: życie na Marsie. Tak, droga mała Marysiu, na Marsie jest życie, tam żyją istoty kompletnie skretyniałe i twój chłopak, twoja miłość życia, facet, z którym niedawno wylądowałaś w łóżku, spodziewając się cudów, nie mógł dać ci tych cudów nie z tego powodu, że jesteś zła i głupia, nie z tego powodu, że nie jesteś już dziewicą, ale z tej prostej przyczyny, że – i tu niespodzianka! – on jest kretynem. Z Marsa. Faceci są Marsa. Kto to powiedział? Maria nie wie, ale wie, co powiedział Tomek i pomału, skrzętnie próbuje skleić to w całość, tymczasem on dalej uderza słowami, jak lotkami od darta, celując prosto w samo centrum, środek mózgu, jego pień. Brawo, Tomek, król strzelców, wypierdolić tak z petardy prosto w emocje, w te najintensywniejsze, te które zmuszają do działania, czapki z głów! Piątka z biologii, układ limbiczny zaliczony po mistrzowsku, w przeciwieństwie do Marii, która zamiast się uczyć do matury, siedzi tu już od godziny i słucha:

– Wyjdź po prostu. Wyjdź stąd, nie daj się upokarzać. Nie czekaj na tego kretyna, on na ciebie nie zasługuje.

Jezu! Teraz to już faktycznie pojechał w kosmos! Skąd wiedział? Skąd wiedział, że nikt jej nie powiedział, że ona coś może znaczyć, że KTOŚ na nią nie zasługuje?! Że ją źle traktuje, że ona nie powinna zgodzić się na takie traktowanie, tylko po prostu... WYJŚĆ?! Żadna przyjaciółka, siostra, matka, nikt! Owszem, Małgosia, ona z tymi pamiętnikami i nie tylko. Dobra, ale to tylko ona i to tak agresywnie. Dziwnie się po tym czuła, dziwna była ta rozmowa, Maria potem postanowiła już nie rozmawiać, zerwać z nią kontakty, bo tak się dziwnie czuje. Oczywiście musiała to wszystko zlekceważyć, bo co? Co ma zrobić? Aż tu nagle – jego własny, rodzony brat! Ktoś, kto go przecież

dobrze zna! Ona teraz nie wie, czy to podstęp, może zdrada, o mój Boże, w jakim celu on to mówi? Może chce ją sprawdzić? Może jest w zмовie z Mariuszem i ją testuje? To możliwe, ona się nie ruszy z miejsca, będzie wiernie czekać, będzie puszczać mimo uszu te słowa, nie da się zwieść.

– Dziewczyno, czy ty honoru nie masz?

Pruje dalej jej lojalność jak stary sweter, tak bardzo jej głupio, tak bardzo chce się zerwać i wybiec, choćby na ten dach, ale przecież obiecała, obiecała sobie i jemu... On ją już tyle razy zrozumiał, już tyle razy wybaczył, to co, nie może już sobie filmu do końca obejrzeć? Spojrzała na zegarek. Jakikolwiek nie był to program, film, teleturniej, zaraz się przecież skończy. Tomek zapala papierosa i kręci głową. Boże, jak jej niedobrze, jak jej słabo, chciałyby podejść do okna, ale siedzi sparaliżowana wstydem, łyka torsje z obrzydzeniem, z takim strasznym obrzydzeniem. Czuje teraz jakby całe jej ciało śmierdziało rzygami, ona śmierdzi rzygami, ona cała jest rzygowiną. Czy pobladła? Na pewno. Tomek patrzy na nią z zainteresowaniem, marszczy brwi. Ma ładne brwi, prawie tak samo ładne jak Mariusz, chociaż może nieco jaśniejsze i jakby bardziej podniesione. Cały jest jakiś bardziej podniesiony, wyprostowany, wzniosły. Jest wyższy od Mariusza, szczuplejszy, bardziej smukły. Wysokie i wydatne kości policzkowe i większe usta. W sumie, myśli Maryśka mgliście, jest chyba przystojniejszy od jej chłopaka. Nawet nie to, że przystojniejszy, jakiś taki... lepszy. Może ojciec jakoś tak lepiej traktował Tomka? Nigdy nie słyszała, żeby do niego mówił tak jak wtedy do Mariusza... Może dlatego, że młodszy? Może dlatego, że rodzice zawsze nierówno traktują swoje dzieci? A może dlatego, że ich matka z wiekiem stawała się silniejsza, bardziej stanowcza i potrafiła obronić to drugie dziecko przed gniewem ojca? Czemu Mariusz zasługiwał na gniew? Czemu akurat on? Czasem wolałyby nie myśleć. To byłoby takie łatwe. Wtedy

pewnie by nie pomyślała, nie zapisała nawet w myślach tego słowa, tego, czemu Mariusz stał się takim... kretynem.

I jakby na życzenie, jej myśl jest tak słaba, tak nikła, że za moment już jej nie ma. Maria się kuli jeszcze bardziej, chowa głowę w kolanach, tak jak wtedy, gdy wyciągali kleszcza z jej piersi, akurat tam się musiał wbić, Boże, co za wstyd! Wstyd mieć ciało, to cholerne ciało, te cholerne piersi, wszystko to, czego się wstydziła wtedy i wstydzi się teraz. Czasem wstyd może prowadzić do utraty przytomności...

– Co ci jest? – słyszy jak przez watę głos Tomka. – Marysia, co ci się stało?

Ale ona nie wie, co jej się stało, obsuwa się na podłogę, z ust wyrzuca bezradnie małą porcję zwarzonego mleka z płatkami, a potem traci świadomość.

o o o

Czasem mam wrażenie, że byłam wtedy naprawdę jakaś taka niecała, ułomna, chora. Tak, byłam chora. Ktoś mi zabrał mnie, zostawił tylko sukienkę w groszki od babci i różaniec w torebce, żebym mogła się na nim powiesić.

A może byłam po prostu jeszcze mała? Może byłam po prostu dzieckiem, któremu nie pozwolono na dzieciństwo? Może po prostu byłam dziewczynką, której nie pozwolono być dziewczynką? Co to znaczy: być dziewczynką? Boże, jak ja nie lubię tego pytania! Tego innego. Już samo pytanie jest dyskryminacją. Co to znaczy: być kobietą? „Pani Mario, jest pani feministką, walczy pani o prawa kobiet, a co dla pani właściwie oznacza bycie kobietą?”

– I co pani odpowiada?

– Być kobietą to znaczy być człowiekiem.

– A co to znaczy być dziewczynką?

*– Być dziewczynką to znaczy być dzieckiem.
Tylko że to wcale nie jest takie proste.*

o o o

Kiedy przyszedł i zaczął krzyczeć, że „przylazła nawalona i zarzygała mu pokój”, pomyślała, że całe szczęście Tomek jest obok. I od razu skojarzyła sobie ten ostatni sylwester u Świdra, najlepszego kumpla Mariusza. Było nawet przyjemnie, gdyby nie to, że same chłopaki, ona jedna. Zebrali się w czwórkę, Bambus, Świder, Romek i Mariusz. Pili wódkę, a ona z nudów tańczyła przy głośniku. To chyba wszystko. No i jeszcze to, że ciągle prosiła, żeby przestali pić i z nią potańczyli. Ale żaden nie chciał tańczyć. Wszyscy chcieli pić wódkę. Normalna sprawa, tak jest urządzony świat. Kobieta się kręci, facet pije wódkę. I w karty tnie. O dwunastej wypili jeszcze szampana i pozasypiali w fotelach. Wróciła do domu, zdjęła czarno-różową kreację z satyny, której kupno cudem wyblągała u matki. Poszła spać. Na drugi dzień przyszedł Mariusz, cały naburmuszony, zły, ostateczny.

Zapytała, co się stało i jak mu się podobał sylwester.

– Fajnie było, co?

– Dla ciebie fajnie. Ale nie dla mnie – odparował.

– Czemu?

– Nigdy więcej nie życzę sobie takiego wstydu!

– Jakiego wstydu?

– Bambus powiedział, że gdyby nie ja, niezła sztafeta by się odbyła.

– Jaka sztafeta? Co to znaczy?

– Byłaś taka chętna, że by cię wzięli w obroty, nawet byś nie wiedziała kiedy.

I to właśnie jej się teraz przypomniało. To wspomnienie

wystrzeliło jej w głowie jak raca, zupełnie nieproszone. Owszem, chciała nawet o nim zapomnieć, wymazać, nie poruszać więcej tego tematu. Pamięta, że wtedy nabrała powietrza, cała gniewna, oburzona, ale to trwało tylko krótką chwilę. Potem spuściła powietrze, opuściła rzęsy i wyszeptała:

– Wcale nie... nie byłam chętna.

Ale on uważał, że tak. Oni tak uważali! I gdyby nie Mariusz, byłaby sztafeta. Co to jest „sztafeta”? Spytała go, a on tego nie nazwał po imieniu, on to jakoś zakręcił w tym okropnym, obrzydliwym zdaniu. „Byłaś taka chętna, że by cię wzięli w obroty, nawet byś nie wiedziała kiedy.” A co to znaczy? Jak to nazwać najkrócej? Sztafeta? Nie. Zbiorowy gwałt.

Jakoś wcześniej nie sformułowała takiego określenia, a teraz z włosami w rzygach, z wykrzywioną twarzą i rozpaczliwą myślą, że przecież Tomek ją obroni – tak. Dopadło ją to słowo i fakt, że najlepsi przyjaciele jej chłopaka zgwałciliby ją pod jego nieobecność. Zrobiliby to. Powiedzieli mu. I dodali, że to JEJ wina. A ona potem musiała być wdzięczna Mariuszowi, że BYŁ. Bo tylko to ją uchroniło. Był. Obecnością ją wybawił.

Jak Jezus Chrystus, który się pojawił na świecie i wybawił ludzkość. Nigdy nie mogła pojąć, o co chodziło z tym Jezusem? Czym wybawił? Od czego? Że się urodził? Że umarł? I co się zmieniło? Jakie korzystne warunki ludzkość otrzymała dzięki temu?

Teraz miała jasność. Mężczyzna wybawia, bo JEST. I tak samo wybawia ją teraz Tomek. Bo jest. A ona, chociaż jej podpowiadał – ona nie może samej siebie wybawić. Nie może wstać i wyjść stąd, jak nie mogła wyjść z tamtej imprezy, gdzie chłopaki pili wódkę, a taniec potraktowali jako zaproszenie do seksu. Przez moment miała w głowie ripostę, taką ostrą i nieopatrzną, jakby jakiś wewnętrzny głos musiał

się z niej wydrzeć:

– W takim razie podziękuj im ode mnie, że mnie nie zgwałcili. Jeszcze.

Pożałowała tych słów. Nigdy więcej nie odpyskowała Mariuszowi, „lżąc jego kolegów”. Bo tak to określił. Ten jej sarkazm w tym zdaniu, ta jej próba obrony, pokazania, jaki to absurd – wszystko obróciło się przeciw niej. I od tej pory stała się „pierdolniętą dziewczyną ich kumpla”. Osobą, z którą on MUSI się ukrywać. Z którą się nie pokazuje, bo to kłopotliwe spotykać się z taką awanturnicą, wariatką. Co złego jest w gwałcie? Bez przesady. Korzystaj, chłopie. Korzystajcie panowie! Dajcie wódki, puśćcie muzykę, niech tańczy. Będzie sztafeta.

Sama sobie winna.

KOLOR OCZU

Ja w sumie wszystko mam po kimś. Nic nie mam swojego. Nic. Jakbym była nieswoja, nienadająca się do własnego życia. Jakbym samplowała innych, jakbym została złożona z pożyczonych części ciała i cech, niczym postać-wydzieranka ze skrawków fotografii w rodzinnym albumie. Nie mam nic. Najmniejszej rzeczy nie mam po sobie samej.

A nie, przepraszam, jest taka rzecz!

A raczej jej nie ma. To są włosy! I ja tych włosów naprawdę nie mam. To znaczy one są, moje własne, czarne, rzadkie, po nikim nieodziedziczone, i właśnie przez to takie beznadziejne. Na pewno nie są po kimś z rodziny, bo wszyscy przecież jakieś włosy mają. Ja nie.

Moje włosy lecą mi z głowy, jakbym całe życie była na chemii. Przy każdym stresie, który odczuwam non stop, ciągle, bez najmniejszej przerwy. I z tego permanentnego stresu tracę i tak nieistniejące włosy. Po każdym niewyspaniu znajduję na poduszce czarne, stracone trupy samej siebie. Po każdej ekstremalnej sytuacji. A wciąż jestem w ekstremalnej sytuacji... One nie nadążają za mną, nie mogą sprostać całej reszcie, życiu w tym pożyczonym ciele, w ciągłym rozdygotaniu. Dlatego przez całe życie jestem łyśca. Czuję się

łysa. Zakrywam głowę chustką, czapką, szeroką opaską. Kulę się ze wstydu, gdy widać na mojej głowie puste placki bez włosów. Kiedyś czytałam o chłopcu, którego ojczym tak bił, że ze strachu przestały mu rosnać włosy. Mam to samo.

Mam to samo...

Oczy mam po matce, w ogóle mam wiele rzeczy po matce, ale ona, gdy chce mi dopiec, mówi, że jestem podobna do ojca. Zaciska zęby i cedzi, patrząc na mnie ze złością:

– Cały TATUŚ!

W tym: „tatuś” jest tyle jadu, że chcę zniknąć. Chcę umrzeć, bo nie chcę bym tym kimś, kogo ona tak nienawidzi. Kim tak strasznie gardzi.

Zęby mam jakieś duże i brzydkie po ojcu. Bo ojciec ma końskie zęby. Tak mówi mama. Wciąż podkreśla, że mi dzięksta widać, jak się śmieję. Dlatego śmieję się jak najmniej.

o o o

Niestety, na drugi dzień nie czuła się lepiej. Czuła się tak samo źle, a do mdłości doszły jeszcze jakieś dziwne bóle w powiększających się piersiach i obrzydliwa opuchlizna. Wyglądała jakoś dziwnie, obco, jeszcze gorzej niż zwykle, choć zawsze myślała, że gorzej być nie może. W lustrze długo przyglądała się zamglonym oczom i faktycznie, pomyślała, że Mariusz miał rację. Wyglądała jak pijana. W szkole poprosiła koleżankę o fluid, chcąc przypudrować nieco tę nie-siebie, bo dostała jakichś dziwnych plam na twarzy. Może Mariusz nie zauważy? Zresztą i tak to tylko do szkoły, na te zajęcia przedmaturalne, na których właściwie była nieobecna. Szkoła ją ogólnie nudziła, wszystko wydawało się zbyt łatwe, banalne, proste. Życie było dużo bardziej skomplikowane niż szkoła. I mimo że niewiele czasu poświęcała nauce, nie obłożyła zeszytów i zapominała

o pracy domowej, miała zdumiewająco dobre oceny. Wystarczyło, żeby przed lekcjami przerzuciła temat i dostawała dobry. Albo bardzo dobry. Najlepiej szło jej z chemii i biologii, ogólnie ten temat ją „kręcił”, miała kiedyś nawet taki pomysł, żeby pójść na medycynę. Ale potem poznała Mariusza i medycyna gdzieś uleciała. Ona – ten zakuty łeb – na medycynę? Bynajmniej.

Byłe do tej matury. Byłe do egzaminów dojrzałości, które przecież musi zdać, bo od dawna, od lat, od dzieciństwa jest już nad wyraz dojrzała. Ona właściwie nie wie, gdzie, w którym momencie skończyło jej się dzieciństwo, bo ona właściwie nie wie, czym dzieciństwo było. Czy w ogóle było? Wszyscy się pytali, kim chciała być, malarką, pisarką, może aktorką? A ona po prostu chciała być dzieckiem. Nie udało się. To najtrudniejsza profesja świata. Być dzieckiem. Ktoś umie? Ktoś umiał? Maria nie umiała. Ona umiała być dorosłą. I teraz pólleży na ławce w szkole, mętnie słuchając o mitochondriach, o łańcuchu DNA, o blastocystach, o dziedziczeniu. Gen dominujący, gen recesywny. Jeśli rodzice odziedziczyli po matce i ojcu geny dominujące, to dziecko nie będzie miało niebieskich oczu. Tylko piwne. Piwne? Jakiego koloru ona ma oczy? Nie ma pojęcia. Nigdy jej to nie zastanowiło. Jakie oczy ma jej ojciec? Piwne. A matka? Niebieskie.

Mariusz ma niebieskie, stalowe, przeźroczyste oczy psychopaty.

I w tym momencie wyprostowała się nagle. Tak ją zmroziło, że zapomniała o oddechu. Chwyciła kartkę, długopis, rozpisała równanie dziedziczenia genów. Para recesywny/recesywny plus recesywny/dominujący, na krzyż... Jak to leci? Ojciec Mariusza ma takie same oczy. Matka? Piwne. Ale niebieski kolor znaczy, że nie ma dominującego chromosomu matki. Jedno z jej rodziców miało niebieskie oczy. Jezu. To oznacza, że Mariusz ma

tylko recesywne geny. A ona? Wygrzebała z rzuconej niedbale na podłogę torby lusterko, spojrzała nerwowo, kierując na tęczówki światło z okna. Niebieskie. Ona ma niebieskie oczy, co oznacza, że jej genotyp składa się z jednego, dwóch recesywnych genów. A to z kolei niesie za sobą takie konsekwencje, że ewentualne dziecko (DZIECKO!!!) będzie miało oczy piwne...

Poczuła, jak lęk ścina ją w pół. Poczuła, jak absurdalnie wywołany temat obsuwa jej spod stóp podłogę. Dziecko może mieć przeźrocyste oczy psychopaty, ale jest mały procent, że wcale nie.

„To jest chore!” – wrzasnęła w duchu i przełknęła narastającą w gardle gulę. Jakiś nagły bunt – przebudzenie? – nagle wstrząsnął nią od wewnątrz. „To jest chore!” – darła się w środku, dusząc się własnymi łzami. To jest chore! – Wybiegła z klasy. „To jest chore!” – wyła, biegnąc przez korytarz. Potykając się i łkając, nawet nie wiedziała, jak i kiedy znalazła się w aptece i kupiła test ciążowy. A potem spadła zasłona i przykryła wszystko welurem koloru krwawnika.

MIRIAM

W białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika posuwistym krokiem kawalerzysty wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadę łączącą oba skrzydła pałacu Heroda Wielkiego wyszedł procurator Judei Poncjusz Piłat.

Procurator ponad wszystko nienawidził zapachu olejku różanego, a dziś wszystko zapowiadało niedobry dzień, ponieważ woń róż prześladowała procuratora od samego rana.

Miał wrażenie, że różany aromat sączy się z rosnących w ogrodzie palm i cyprysów, że z wydzielanym przez eskortę odorem potu i skórzanego rynsztunku miesza się zapach znienawidzonych kwiatów.

Z zabudowań na tyłach pałacu, gdzie kwaterowała przybyła do Jeruzalaim wraz z procuratorem pierwsza kohorta dwunastego legionu Błyskawic, aż tu, pod kolumnadę, napływał poprzez górną kondygnację ogrodu gorzkawy dymek świadczący, że kucharze w centuriach zaczęli już gotować obiad, i w tym dymku także była domieszka oleistych różanych aromatów.

„Za cóż mnie tak karzecie, o bogowie?...”[\[1\]](#)

Prokurator poczuł mdłości i fala bólu głowy zalała mu powieki. Bezradnie zaklął i pomyślał o bogach, którzy postanowili ukarać go za jego podłość i bezduszność tego właśnie poranka, gdy znów miał zatwierdzić jakiś wyrok śmierci. Śmierć towarzyszyła prokuratorowi każdego dnia i mimo że powinien już do niej przywyknąć, wciąż mu się ulewała, jak niedobra kaszka niemowlakowi. Wielu już skazał, wielu się przed nim kajało i błagało o litość. A on wydzielał jak bóg swoją łaskę, zrozumienie, cierpliwość – wydzielał oszczędnie, wręcz skąpo, lapidarnie, od wielkiego dzwonu rozbrzmiewającego nad głowami skazanych.

Znudzonym i zbolałym wzrokiem spojrzął na sekretarza, który wszedł tuż za nim, niosąc zwoje pergaminu. Miał wiedzę o skazanych tego dnia i zaraz miał ją przekazać prokuratorowi. Poncjusz Piłat nie spieszył się zbyt, wciąż zanurzony w swojej niemej modlitwie do swych bogów o złagodzenie kary, jaką mu wymierzali – migreny.

– Co tam masz?! – rzucił niechętnie w stronę sekretarza, który w jednej chwili rozwinął pergamin.

– Dwóch łotrów i kobietę.

– Co?! Jaką kobietę? – prokurator aż podskoczył, na moment zapomniawszy o bólu. Nie było bowiem w zwyczaju sądzić kobiet przed rzymskim prefektem. Do tej pory przed oblicze hegemonia nie trafiła żadna niewiasta, kary wobec kobiet wymierzano w lokalnych okręgach przez lokalne władze, najczęściej przez kamienowanie. – Czyście postradali zmysły? To już nie można załatwić takich głupot na własnym podwórku, tylko ciągnąć ją tu, przed oblicze hegemonia?!

– Próbowali. Nawet raz dostała kamieniem, chodzi teraz z siniakiem pod okiem. Ale przyszedł jakiś nawiedzony Żyd i powiedział coś tam, że kto jest bez winy, niech rzuci kamieniem. I hołota się rozeszła.

- Pierwsze słyszę! Banda idiotów.
- Zawsze to powtarzałem.
- I co, nie będą już kamienowali?
- Ma się podobno pojawić rozporządzenie Wielkiego Sanhedrynu. Kamienowanie uznane zostało za zbyt kłopotliwe. Za duży bałagan, za dużo krwi, pełno zębów powybijanych, a tłum, jak się rozkręci, to zaczyna w siebie napażać. Straż miasta narzeka, że nie chce tego sprzątać. Co ja mogę poradzić? Odgórna sugestia jest taka, żeby krzyżować.

- Ale kobietę? Co to za porządek? Ja mam teraz sobie głowę zawracać jakimiś babami?! Co ona zrobiła?

- *Ruta chalepensis*.

- Co to znaczy, u diabła?!

- Hegemonie... to oczywiste.

- Dla mnie to nie jest oczywiste, mów!

- Ale po co to mówić?

- Jak mam do cholery rozpatrzyć winę, jak nie wiem, co ona zrobiła?!

- Może ją zawołam? Niech sama powie.

- Tego mi tu brakuje. Dajcie mi tu stado bab w chuścinach, zrobimy targowisko! – irytował się prefekt. Nie czekając na odpowiedź, kiwnął na sekretarza, który skwapliwie podszedł i przedstawił mu protokół. Prefekt zerknął w rozwinięty pergamin. Skrzywił się na widok oskarżenia i zawołał oficjalnie: – Wprowadzić oskarżoną!

Dwóch olbrzymich legionistów wprowadziło pod kolumny hegemonia kobietę. Przy tych wielkich mężczyznach wyglądała jak szmaciana lalka pozbawiona możliwości naturalnego ruchu, tak samo się też zachowywała. Jej nogi unosiły się nieco ponad podłogę, a szaty szurały po marmurowej posadzce. Trudno było dokładnie określić jej wiek, wyglądała jak dziecko przebrane za dorosłą. Jej drobne dłonie wystające spod tkanin łapały powietrze,

próbując oswobodzić się z uścisków legionistów. Głowę miała spowitą białym hidżabem, spod niego widać było kosmyki czarnych włosów. Gdyby nie zasinione lewe oko, mogła sprawiać wrażenie całkiem ładnej, pod oczywistym warunkiem kąpieli w kozim mleku. Pomysł wykąpania skazanej skusił prokuratora do dalszych fantazji, a nawet podjęcia prób jej obrony. Coś go zahipnotyzowało w jej oczach. Czyżby rację mieli kapłani, że kobieta jest jak kobra i hipnotyzuje mężczyzn? Poncjusz Piłat nie darzył zbyt wielkim szacunkiem kapłanów, a już zwłaszcza tej żmii Kajfasza. Spojrzał raz jeszcze w oczy kobiety i ujrzał tam dziecięcą ciekawość. Oraz strach.

– Jak masz na imię, kobieto? – Słowo „kobieto” w jego ustach miało jakiś ładunek zniecierpliwienia, jakby było nieznośne, jakby było w nim zbyt dużo znaczeń niezrozumiałych dla jego umysłu.

– Miriam.

Hegemon zatrzymał się w milczeniu nad tym imieniem, przyglądał mu się z każdej strony i myślał o tym, że jest zbyt piękne, by należało do kogoś, kto ma być za chwilę ukrzyżowany, ugrzęzła mu w obolałej głowie.

Sekretarz chrząknął, przywołując go do obowiązków.

– Miriam... – zaczął i zdumiał się, jak to imię brzmi w jego ustach. To zaczynało być naprawdę nieznośne. Postanowił skupić się na jej winie. – Czy to prawda, że skusiłaś pięciu mężczyzn do grzechu?!

Pytanie to zadźwięczało głośno, zdecydowanie za głośno, jak sam uznał. Słyszając bowiem dźwięk odbijający się od kamiennych ścian, sam się w środku skulił ze wstydu. Co za absurd! – wrzasnął w nim jakiś głos. Hegemon nie wiedział, skąd ten głos pochodzi, ale wiedział, że należy mu się szacunek. To jakiś absurd – fakt. I absurdalne pytanie. Zapragnął, aby kobieta nic nie odpowiedziała. Żeby się zacięła i zamilkła, udała głuchoniemą, a on już coś

wykombinuje, żeby ją uratować z tych idiotycznych oskarżeń.

Bystre oczy kobiety zwęziły się gniewem, najwyraźniej jakieś wspomnienie wywołane przez hegemoną dotkliwie ją zabolowało i oburzyło.

– Tych pięciu mężczyzn... – zaczęła ze złością, ale widząc podniesioną rękę Piłata, skuliła się i ponownie zamilkła.

– Nie jesteśmy tu po to, by sądzić szanowanych mężów – wyjaśnił jej prokurator. – Kobieta najpierw uwodzi mężczyznę, a potem zawsze zrzuca na niego winę. To dość powszechna prawda. Ile masz lat, kobieto?

– Piętnaście.

– Powinnaś siedzieć w domu i strzec posiłków.

– Wyszłam po wodę do studni...

– A co na to twój ojciec?

– Mój dobry ojciec wygnał mnie z domu i wydał władzom. Dobry hegemonie, przecież wiesz o tym. Z pewnością napisali to w protokole. – Miriam znów spojrzała mu w oczy, tym razem ze zdumiewającą odwagą.

– Nie jestem dobry! Ani twój ojciec dobry nie jest! – syknął ze złością prokurator i poczuł potworny ból głowy. Kobieta opuściła brwi i zmieniła spojrzenie z hardego na troskliwe.

– Wiem, co czujesz – wyznała poufałym szeptem. – Na to najlepszy jest sen i ciemny pokój. Najlepiej całkowicie pozbawiony okien oraz dźwięków. To pomaga, dobry hegemonie. Ale siedzenie w upale, nawet pod krytą kolumnadą, jest bardzo ryzykowne. Powiem więcej – to potęguje dolegliwość, panie. A dziś będzie wyjątkowy upał. To może być dla ciebie bardzo trudny dzień.

– Dla mnie trudny dzień?! A wiesz, jaki dla ciebie ten dzień będzie trudny?!

– Mówimy o tobie, panie. Ja sobie dam radę.

Poncjusz Piłat znieruchomiał jak jaszczurka, zwęził

powieki i długo wpatrywał się w oczy kobiety. Wreszcie szepnął:

– Skąd wiesz, co ja czuję?

Kobieta pokręciła głową na znak, że znów zadał jej idiotyczne pytanie. Ten gest w rodzaju: „ech, mężczyźni!”, sprawił, że Piłat utracił jakąś moc, coś się w nim rozkrochmało. Poczuł, jakby sztywna zbroja puściła swe zamki, a jego niezłomność i brak litości pierzchnęły, zostawiając przedziwnie miłą bezradność. Zapragnął się teraz położyć, oprzeć głowę na poduszce, pogłaskać kota i posłuchać tej kobiety, która najwyraźniej miała jakieś ciekawe rzeczy do opowiedzenia, bo gdy ktoś ma taki wzrok, musi mieć coś niezwykłego do powiedzenia. Resztką sił powstrzymał się jednak od upragnionego relaksu, ścisnął pięść i znów podszedł do pergaminu. Sekretarz stał jak posąg.

– Trzech z pięciu szacownych mężów doznało obrażeń. Cytuję: „zostali pogryzieni”. Czy wiesz, co ci grozi, szalona kobieto? Jak można gryźć człowieka? Jak można gryźć senatorów?

– Dobry hegemonie, działałam w obronie własnej.

– Milcz! Jesteś szalona!

Znów spojrzął w oczy kobiety, dając jej aż nadto wyraźne znaki, by podjęła jego grę. Tak jest, on każe zapisać w protokole, że ona jest chora na umyśle, wystarczy zawołać medyka i wszystko wróci do normy. Chorych kobiet nikt tu nie będzie krzyżował.

Kobieta nie powiedziała nic, nie zaprzeczała – co dobrze, ale też nie potwierdzała – co też dobrze. Prokurator usiłował sobie wyobrazić, jak powinna zachowywać się szalona kobieta i szybko doszedł do wniosku, że niewiele musi udawać. Niemal każda kobieta w jego życiu była szalona, a żadnej się nic nie stało. Tylko ta ruta...

– Czy spożywałaś rutę w niecnym zamiarach? – spytał

więc szybko, chcąc na jednym ogniu usmażyć dwie odpowiedzi na oba zarzuty.

– Nie wiem, o czym mówisz, panie...?

– *Ruta chalepensis*. Zioło stosowane w leczeniu przez medyków. Bez kontroli jest środkiem poronnym, jak zapewne wiesz.

– W życiu tego nie jadłam – wyznała kobieta, patrząc mu szczerze w oczy.

Jednak szczerłość kobiety to oksymoron, pomyślał przebiegle i rzucił bez większego zastanowienia:

– Udowodnij!

W takich momentach można powiedzieć, że rozgrywka między dwojgiem ludzi zamienia się w sytuację określaną jako szach mat. Kobieta wiedziała, że prefekt chce jej pomóc. Ale nie przypuszczała, że może być aż tak głupi. Sekretarz oderwał wzrok od pergaminu i spojrzał płochliwie w stronę hegemonu, który aż poczerwieniał ze złości. Jak mógł po raz trzeci zadać tak kretyńskie pytanie?! To wszystko przez nią! Najpierw zbałamuciła pięciu mężów, a teraz pastwi się nad nim! Jak ona teraz może tak stać w milczeniu?! I chociaż jest w łachmanach, w brudnej szacie i z tym siniakiem pod okiem, on czuje się od niej gorszy i to jak gorszy! Głupszy! On w tych złoceniach, purpurze, krwawniku, w tych żelastwach, jak jakiś rumak na igrzyskach. Miał ochotę wszystko z siebie zrzucić, odejść stąd i nigdy więcej nie stanąć pod kolumnami, by kogokolwiek sądzić. No, co za głupiec! UDOWODNIJ. Ale swoją drogą, ona też dobra. Kłamie! Kłamie podle! Hegemon znał takie przypadki. Każdy znał. Każdy miał chociaż kilka takich w rodzinie lub sąsiedztwie. Na dziesięć kobiet, co najmniej trzy tak sobie radziły. A ta, głupia, dała się złapać. Czemu?

Senatorowie wnieśli skargę, bo ich pogryzła. Ojciec ją wydał. Logiczne.

Prokurator poczuł bezmierne zmęczenie, zapragnął przerwy, wyprowadzenia oskarżonej, zimnej kąpieli dla siebie i kąpieli w mleku dla niej. I znów te niebezpieczne myśli! Prokurator chciał je odegnąć, ale czuł, że już nie ma siły, w głowie mętlik, na zewnątrz miazga, rozpadła się zbroja, stalowe mięśnie rozmiękły, kamienne zło ugrzęzło w określeniu: „dobry hegemonie”. Nie miał siły ruszyć palcem, czuł, jak się zapada pod posadzkę, jak rozstępują się skały, a on upada gdzieś w rozpadlinę, w mech. Beznadzieja, przepaść, depresja. Nie ma dla niej ratunku. Nie ma dla nas ratunku.

Czemu on się nią przejmuje? Ostatecznie to tylko kolejna ofiara niepojętego systemu. Kogo to obchodzi? Rodzonego ojca za grosz, a zatem czemu ma obchodzić prefekta Judei?! Najlepiej byłoby umyć ręce od tej śmierdzącej sprawy i skazać ją jak najszybciej, żeby mieć z głowy. Przecież tylu Żydów wybił jak muchy, co za różnica? Druga rzecz, czyż z powodu migreny nie należy mu się urlop?! A tymczasem po tej przeklętej niewieście jest jeszcze skazany za zabójstwo – znieprawiony łotr. Barabasza.

I nagle twarz hegemonia rozjaśniła nadzieja.

[1] Cytat pochodzi z „Mistrza i Małgorzaty” M. Bułhakowa w tłumaczeniu Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego („Czytelnik”, Warszawa 1988, s. 24).

CZEŚĆ II. WIKTOR

Posłuchaj, człowieku, to dziwna historia,
może wyda ci się mało wiarygodna.^[2]
Trzy boskie cnoty: Bóg, ojczyzna, honor.
Czwarta Jagiellonia i szlaban na homo.

Ja jestem Bączyk Wiktor, dla przyjaciół Wiciu,
ze mną nie ma problemu, sześć miesięcy w kiciu.
Jeśli wiesz, o co chodzi, to przynieś czteropak,
prawdziwa rodzina to dziewczyna i chłopak.

Siła polska to, bracie, do obcych pogarda,
kiedy głowa to bomba, a pięść to petarda.
Nie ma sprawy, człowieku, to ja jestem bogiem,
w kieszeni dwie kosy, wielka miłość do kobiet.

^[2] Kury, *Kibolski*, aut. Tymon Tymański.

BÓG, HONOR, OJCZYZNA

Białystok 2015 r.

Po dwudziestu dwóch latach od wprowadzenia ustawy o planowaniu rodziny z dnia 7 stycznia 1993 roku na podstawie statystyk można stwierdzić, że:

1. Każdego roku doświadczą przemocy domowej od 700 tys. do 1 miliona Polek.

1. Co dziesiąta kobieta w Polsce jest zgwałcona.

2. Na skutek przemocy w rodzinie co roku ginie sto pięćdziesiąt kobiet i czterdzieścioro dzieci.

3. Środki antykoncepcyjne dla kobiet są prawnie strzeżone i wydawane wyłącznie na kosztowną receptę.

4. Kobiety są zmuszane do rodzenia dzieci, nawet tych zdeformowanych i niezdolnych do życia.

5. Edukacja seksualna jest wyeliminowana z programu nauczania.

6. Znika całkowicie pojęcie aborcji w Polsce. Pojawia się za to zjawisko noworodków na śmietnikach...

7. ...za których śmierć są karane tylko matki. Ojcowie już nie.

Trzech ich było, takie basiory jak Krzysiek. Dzieciaka mi nie przestuchali, choć widziała, jak skakali mi po głowie. Przy dzieciaku! I chuj, to pół biedy. Wezwała mnie prokuratura najpierw, bo złożyłem zawiadomienie i tam, kurwa, z samej góry z podpisem list, że przenoszą mnie na Kopernika, żeby nie było stronnictwa. A tam był taki zastępca prokuratora, bardzo w porządku gość, mówi, proszę pana. Bo jak mnie bili, to napisali jakiś protokół z dupy i on mówi, proszę pana, co tu jest, bo to było tak, że na przystanku bardzo grzecznie czekałem z dzieckiem na autobus, paliłem papierosa, grzeczny, nawet trzeźwy, niepijany. Dojebali się we trzech.

Pytam się sąsiadów, bo powychodzili, a ja trzeźwy przecież – to w tym frajerskim protokole zrobili mi pół promila. Wie pan, to trzeba być idiotą. On mówi, ten w porządku mówi – panie, to trzeba być pijanym, dwa i pół promila! Ja mówię, panie, tam na protokole zatrzymania, wiesz, na protokole zatrzymania musisz się czytelnie podpisać. Znaczą: podpisać się. To jak ja bym miał dwa i pół promila, to bym podpisał „Bączyk Wiktor?”. Dokumenty sprzed dziesięciu lat pokażę, tak samo się podpisywałem. Co, też wtedy miałem dwa i pół promila?

On na mnie oczy. Bo oni tam mają taki wypis zażaleń na zatrzymanie. Ale jak napiszesz im, że „zaskarżam”, to masz znowu jazz. Wiesz, o co chodzi. Wie pan, o co chodzi. Mojej Majki nie przestuchali, dzieciaka mi nikt nie przestuchał, żaden biegły. Bo oni chcieli biegłego. No nikogo nie przestuchali! Nikogo z moich świadków, pięćdziesięciu miałem, nikogo nie przestuchali! Przestuchali dwóch z psów. Z czego jeden pojechał i zeznał, drugi się zesrał, chujoz. Korespondencyjnie napisał w liście jak było. Że ja uciekałem, głową waliłem o klatkę schodową, o poręcz, kurwa, głową waliłem, jak ucho całe zalepione, obdukcja, tego!

No kurwa, mówię, jak ja ich tylko spotkam, to ja mówię, Majka, to ja ich pozabijam. Pójdę siedzieć, ale im nie odpuszczę. Kwestia honoru. A dla mnie to są wiesz, kondony. Za komuny to by ci wpierdolili, zawieźliby do lasu bez butów, ale nikt by nikomu nie powiedział. I nie ma sprawy. A mnie dojebali na dołku, ja wyszedłem z zarzutami i jeszcze naściemniiali, że, kurwa, wiesz. Że ja uciekałem im. No skutu w kajdanach uciekałem! Chłopy po osiemdziesiąt parę kilo, postury Krzyśka! Jak ja jednemu wpierdoliłem, to myślałem, że go zabiłem. Majka mówi: pójdziesz siedzieć.

To ja mam tak. Dwa zarzuty. Pobicie funkcjonariuszy na służbie czynnej. No i w mundurach. Bo, żeby nie, żeby byli bez, mógłbym powiedzieć, że nie wiedziałem, że to policja. Wiesz, o co chodzi, nie? Tajniaki. Czy coś. Nie wiedziałem, z dzieckiem szedłem. Z kobietą. No oczywiście wkurzony, zajebałem i cześć! To pierwszy zarzut. Ale jeszcze im od kurew, kutasów nawsadzałem. No ten zastępca się pytał, co tam napisane, a ja, że powiedziałem, że jest frajer i cwel, bo jak on się odzywa do mnie?

Wiktor robi pierwszą przerwę w opowieści i śmieje się do siebie, pokazując ułamany ząb. Jest niewysoki, ma może metr siedemdziesiąt. Trudno sobie wyobrazić, że bije się z policjantami postury Krzyśka, bo Krzysiek, jego najlepszy przyjaciel, to człowiek niedźwiedź. Cały obrosnięty na futro, bicepsy wielkości Witkowej klatki piersiowej. Ale Wiktora wszędzie pełno, on nie umie siedzieć w miejscu, nie umie powstrzymać emocji, gniewu. A gniew go rozsadza od dzieciństwa. Depresja to zamrożony gniew. To nigdy niewykrzywane NIE. To gula w gardle, ta sama, która towarzyszyła mu w dzieciństwie, gdy strasznie nie chciał się rozplakać, gdy chciał coś powiedzieć, ale, kurwa, ani nic nie powiedział, ani nie uchronił się od płaczu. I wstyd, że jest taki to ból, że siebie nie znosi, to rozpacz, że nikt go nie rozumie. Oprócz Krzyśka.

– Ale ja chamstwa, to, kurwa, nie znoszę. No to jeszcze za znieważenie mi dopierdolili. Co ja się będę kłócił. No to chuj, pół roku. Ja mówię: w zawieszeniu? Nie! Bo dwa tygodnie przed tym, jak ja dostałem wyrok, zmienił Ziobro, kurwa, że za pobicie funkcjonariusza masz bezwzględne pozbawienie wolności albo, kurwa, karę od dziesięciu tysięcy w górę za łeb. Ja mówię: no ni chuja. To wolę, kurwa, posiedzieć niż frajerskie pieniądze będę im płacił. I pierwszy wyrok Wicia: konkret. A co tam! Nie będę się pierdolił! A jak...!

Wiktor cichnie przez chwilę i się zamyśla, a potem gorączkowo dodaje z zupełnie innej beczki:

– Nikogo bym na ulicy w Białymstoku nie zaczepiał, ale jak widzę, że idzie koleś ze swoją dupą i ją szarpie, to ja się nie zastanawiam! Podchodzę i napierdalam! Od razu. Czasem widzę, podchodzą do laski najebani i ten. To ja od razu napierdalam. Ale ja nie jestem agresywny. Co to, to nie.

I śmiech. Śmiech. Rechet nerwowy, jakiś taki chłopięcy. A potem już nic. Cisza, ani słowa o tym, w jakim stanie była wtedy Majka i czemu nie można było zapłacić „frajerskich pieniędzy” za wolność.

o o o

Pół roku. Wytrzyma. Nie jest miękką fają, pokaże im. No co? Komuś to zaszkodziło? Czasem się słyszy, że ten i tamten poszedł siedzieć, a w więzieniu napisał książkę. Zaczął czytać. Przeszedł przemianę duchową. He, he. On też przejdzie. Poczyta w internecie to i tamto. Stanie się dalajlamą. A co? Nie można? Zaraz się za to weźmie. Wyjdzie jako dalajlama. Łeb ma już ogolony.

I tak Wiktor rozpoczął swoją przemianę duchową. To znaczy trudno powiedzieć, że to była przemiana duchowa, bo przecież nigdy nie był jakoś specjalnie uduchowiony.

A jednak. Miał wrażenie, że coś go zmieniło, że ma większe poczucie realności, a jednocześnie jakiejś nieokreślonej władzy nad ludźmi, którzy takiej przemiany jak on nie przeszli. Którzy nigdy nie mieli czasu na to, by zadać sobie kilka pytań. A on tu właśnie siedzi i zadaje sobie pytania, i szuka odpowiedzi, i przez to staje się lepszy od innych. Wiktor lubi myśleć, że jest lepszy od innych. Z nim nie ma problemu. Ma krótkie reakcje, bez większej rozkminy. Co tu myśleć? Sprawy są oczywiste. Bóg, Honor, Ojczyzna. Na plecach dziara z orłem, na bluzie Żołnierze Wyklęci, w sercu honor. Honor, o który przecież właśnie walczył z policjantami. Przez który właśnie tu się znalazł. Honor jest najważniejszy. Dlatego Wiktor tak chętnie rzuca się do bójki. O honor. To nic, że potem traci wszystko, że zostawia córkę na pół roku, że porzuca Majkę. Honor to honor. Każdy facet powinien to wiedzieć. Każdy facet, a nie ciota. Wiktor bardzo boi się ciot. Bardzo by chciał, żeby ich nie było. Polska bez pedałów i ciapatych. Polska dla Polaków. Ojczyzna.

Zasady Wiktora są proste. Proste i nieskomplikowane, dopóki... Bo jednak jedna rzecz w Wiktorowym kodeksie stała się chwiejna. Nie, no sama wiara nie może być chwiejna. Ale kto wie, czy nie lepiej się trochę rozejrzeć? Bo sprawy nie zawsze są takie proste. To nie takie proste. Bywa różnie. W życiu Wiktora właściwie od zawsze jest różnie. I on nie ma podstaw na przykład do tego, żeby wierzyć kobietom. On ściśle nie wierzy im za grosz. Nie ma mowy. Już się naoglądał. I normalna sprawa, trzeba być idiotą, żeby ten. Jedna z drugą go zrobiła w balona, a matka też nie lepsza. Matka była dla niego zimna i niedostępna. Oboje z ojcem do kościoła co niedziela. Bóg, Honor, Ojczyzna. I ten Bóg, polski bóg na maksa w głowie siedział. Tylko że jakoś teraz zupełnie mu przestał pasować. Miał ogromną potrzebę uporządkowania czegokolwiek, złapania się jakiejś prawdy, która mu wyjaśni, o co w ogóle tu chodzi. Miał swoje

powody, żeby szukać prawdy gdzie indziej. Przekopywał internet w poszukiwaniu prawdy, innych religii, odpowiedzi na swoje z wątpienie i jakiegoś dopasowania do obecnej sytuacji. Wolny czas postanowił poświęcić na zgłębienie jakiejś mądrości, która jest ponad to polskie katolickie pojęcie Absolutu. Czytał o Judaizmie, o Indianach, o Islamie i Indiach. Niczym młody chłopczyk czytający przygodowe książki o Tomku Wilmowskim łapał się najmniejszych ciekawostek i drażył je w swoim umyśle, szukając odpowiedzi. Przeżywał swoją nieprzeżytą młodość, którą sam określał jako czasy „niegrzecznego gówniaka”.

Ogólnie sprawiedliwości nie ma. Chyba że człowiek sam sobie ją wyszarpie. Ludzie mają różnie, jeden ma więcej szczęścia, drugi ma przejebane. To co z tym bogiem? Wszystko jest względne. Wiktor to wie. Życie go nauczyło. A on wie, że podjął słuszną decyzję. I niech mu nikt nie gada, on wie swoje. Jego nie interesuje, co ludzie powiedzą. No, oczywiście, są pewne granice. Wiktor nie zamierza ich przekraczać. Ze swoich decyzji nie będzie robił „Kuriera Warszawskiego”. Taką decyzję podjął i już. Bo co? A skąd on ma pewność, że to jego dziecko? Takie rzeczy to ten czy inny bóg wybacza.

o o o

Kobra indyjska należy do wielkiej czwórki „węży zabójców”, jej jad jest śmiertelną mieszanką neurotoksyny i kardiotoxyny. W Indiach rocznie ginie od ukąszenia kobry 50 tysięcy ludzi. Najpierw neurotoksyna zaburza pracę systemu nerwowego oraz pracę mięśni, paraliżując ciało człowieka. Z kolei kardiotoxyna zwiększa ciśnienie krwi, powodując nagły zawał. Kobra jest aktywna całą dobę i chętnie przebywa na zamieszkanym terenach. Brak

surowicy po ukąszeniu węża może spowodować śmierć ofiary w ciągu godziny.

Kiedy Budda wybrał się na jedną ze swoich wędrówek, zasnął na pustyni. To właśnie kobra swym kapturem osłoniła go od słońca. Od tej pory w Indiach kobra czczona jest jako obiekt kultu. W hinduizmie kobra jest uważana za manifestację boga Wisznu.

Są osady w Indiach, gdzie wąż nie robi mieszkańcom krzywdy. Czczony jako święty, żyje obok ludzi, a jego jad traktowany jest jak lekarstwo. W pojęciu wiernych Wisznu śmiertelna dla innych trucizna jest błogosławieństwem. Nie boją się jej dzieci ani starzy. Gospodynie domowe zostawiają im mleko w miskach lub wlewają do węzowych jam. Niewyjaśniony fenomen odporności na jad kobry jest kolejną tajemnicą wiary.

Niezła jazda. Czyli co? Jak wierzą, to ich kobra nie zabija? Ludzie to jednak świry, rozmyślał Wiktor. Banda świrów. Kobra bogiem. Jakby nie patrzeć, to jednak zawsze te wierzenia to magia. Magia magią, swój rozum trzeba mieć. Wiktor miał swój rozum. I wiedział, że bardziej pokręconego gatunku niż ludzki nie ma na świecie. I bardziej pokręconej płci niż kobiety – ze świecą nie znajdziesz.

Dlatego on nie zamierza już w życiu ryzykować. Nie ma mowy. On wie swoje. Majka jaka jest, taka jest, ale on się lepiej nie będzie pakował. Ma jedną córkę, wystarczy. Krótka piłka. Koniec tematu. Żadnych komplikacji. Z Bogiem się dogada. Z resztą nie musi. Dalajlama nic nie musi.

Wiktor spojrzał na sufit i przez chwilę zawiesił się w swoich myślach. Jakby potrzebował przerwy, jakiejś przestrzeni w umyśle, natykając się na tę refleksję. Ale po chwili ta przerwa go znudziła i wrócił do spraw ważniejszych. W głowie mu się gotowało od chaosu, siłą więc układał jakieś frazy. Co się ktoś mu będzie wpierdalał w życie?

Zawsze jakoś to było. I jakoś to będzie. Czasem trzeba podjąć męską decyzję. W końcu to wyjątkowa sytuacja. On siedzi tu, a tam się trzeba Zuzią zająć.

Zresztą każdy, kurwa, mądry. A nikt nie jest kryształowy. Oj, nie jest. Najlepiej spojrzeć na tych młodych z miast, z warszawki, jak żyją teraz, debile. Nic toto nie wie o życiu jeden z drugim. Zero poszanowania wartości. Same pedały i pacykarze. Wystarczy spojrzeć na jednego z drugim, włosy na żel, wymuskane toto, z kawusią od Starbucksa, piszczy toto falsetem. Aleby zajebał takiemu! Pięść się sama kurczy do ciosu. Tylko tu nie ma komu. Nie ma komu sprzedać luty, dlatego go tak nosi.

Czemu oni go tak wkurwiają, co? Czego nie wezmą się do męskiej roboty, nie ogolą tych nażelowanych pustych łbów?! Wiktor nie musiałby się wściekać teraz, szukać, komu by tu zajebać, trząść się cały z nerwów i niemocy. Pół roku. Za co, kurwa? Za miłość do ojczyzny!? Wyjdzie i zajebie. Jeszcze nie wie kogo, ale ma jak w banku. Ten ktoś.

Wiktor zrywa się z pryczy, zaczyna chodzić po celi mocno podenerwowany. Chwyta za papierosa. Jak w ogóle można komukolwiek zaufać? Oto pytanie o sens tego gatunku. Oto odpowiedź, dlaczego ten świat tak wygląda.

o o o

Kiedy ludzie umierają z głodu, władza przekonuje ich, że Bóg tak chce. Nędzę w Indiach religia tłumaczy reinkarnacją. Jeśli jesteś w biedzie, umierają ci dzieci, a mąż cię bije – zasłużyłaś na to. W poprzednim życiu. Chrześcijaństwo w Indiach ma również dyskusyjną historię. Matka Teresa ściąga biednych do swych umieralni, nie leczy ich, nie znieczula, patrzy, jak cierpią. I przekonuje, że cierpienie to dar od Jezusa, dar, z którego trzeba się cieszyć.

Nie ma nic piękniejszego niż cierpienie ubogich.

Nierówność, dyskryminację, biedę i bezprawie zawsze trzyma w ryzach religia. Nie trzeba zaglądać do krajów Trzeciego Świata, wystarczy nam środek Europy. Tu panuje przekonanie, że kobieta ma cierpieć. To przecież Bóg zarządził, że poród to ból i nie należy go umniejszać. Bóg chce poświęcenia dla dzieci i męża. Bóg obiecuje zbawienie po śmierci za wyrzeczenie się szczęścia. Bogu nie podobają się dzieci z in vitro. Bóg kręci nosem na decydowanie o sobie. Bóg zabrania rozwodów, nawet gdy jest przemoc.

Religia to manipulacja, by spacyfikować zagrożenie. Bunt uciśnionych, biednych, głodujących. Bunt dyskryminowanych, poniżanych, pozbawionych podstawowych praw. Bunt to siła. Religia: jeszcze większa.

Wiktor siedział już godzinę w bibliotece i śledził różne teksty na temat religii. Tym razem się obruszył. Kto to napisał? Prychnął, że pewnie jakiś pojebany lewak czy feministka. Zerwał się, trochę pokręcił i wrócił do celi. Tam opadł na łóżko i zaciągnął się papierosem aż do bólu pleców. Poczł jakiś nieokreślony bunt wobec wszystkiego, wobec tych religijnych rozważań, wobec swojego życia, wobec wspomnień i tego, co tu i teraz. Właściwie nie wiedział dokładnie, o co mu chodzi w tym buncie, zupełnie nie wiedział, czemu go tak nosi, nie potrafił tego nazwać, użyć, rozładować. Leżał więc i nerwowo palił. Może i są tacy, co daleko zaszli, droga Wiktora jednak zawinęła się w gest Kozakiewicza. Czas to zmienić, pomyślał, chociaż jego paradoks był dużo bardziej złożony niż wszelkie paradoksy ludzkości. Postanowił więc pójść jutro do biblioteki i sprawdzić, jak się ma wiara w Boga na całym świecie i właściwie czemu ona służy. On to rozpracuje. On się dowie. I on będzie WIEDZIAŁ. Będzie miał to coś, do czego być może doszła tylko garstka ludzi. Kto? Na przykład Jezus

Chrystus. I z tą wielką myślą nagle zasnął, z kciukiem w ustach, skulony jak embrion, jakby przez tego Jezusa utulony.

o o o

Teraz wiem, że byłem w błędzie, panie Adamie. Nie trzeba było tej całej rozkminy. Kto za dużo myśli, sam sobie ściąga kłopoty na łeb. Nie to, że w ogóle, nie, trzeba myśleć, ale już siedzieć pół roku i rozkminiać takie sprawy, to przesada. Sam wiem, doświadczyłem. Wie pan, o co chodzi. Serio, kurwa, ciężko mi o tym mówić. No, ale nic. W sumie nic mi nie jest, ze mną jest wszystko w porządeczku, tylko mam stany lękowe i budzę się w nocy. A tak, to spoko, ze mną jak z dzieckiem. I wypiję, jak trzeba, i pośmieję się. Co? Niech pan zobaczy, już z Krzysiem imprezę zrobiliśmy. Ale jaką! Pół piętka spać nie mogło. Hehehe. Tylko niech pan tam nikomu nie mówi, bo jeszcze mnie stąd wypierdola.

– Kto pana wypierdoli?

– No szefostwo, kurde, wie pan, o co chodzi. Godzina dwudziesta druga, wszyscy w łóżeczkach, a te mendy łożą i sprawdzają. A ja w łóżeczku nie leżę, o nie, ja nie mam czasu. Hehehe. U mnie się gotuje, sam pan widzi, jaki jestem. Wie pan, o co chodzi. To pan szefowi nie mówi, bo zaraz chryja na całego, Bączyk Wiktor na czarnej liście, story of my life, całe życie ban.

– Przecież to ja jestem szefem.

– Serio? Hehehe. Pan Adam jest szefem? To zajebicie. Dobre sobie, a ja tu panu mówię wszystko. Super, ale nie wypierdoli mnie pan chyba?

– Nie. Jeszcze nie. Proszę mówić dalej.

– No więc nie wiem, a co ja mówiłem? Że ze mną jest wszystko OK. Serio mówię, jak pan nie wierzy, niech pan

dziewczyn popyta. Może jeszcze nie wszystkie mnie lubią, bo się nie znamy, a wie pan, ja tu mam dziary, tu pół zęba, tu łeb wygolony. Ale ja anioł jestem, do rany przyłoż. A kobietę to bym na rękach nosił. Ze mną jak z dzieckiem. Dziewczynę zobaczę z typem, jak on do niej skacze, to bym go zajebał. Nie mam nerwów. Albo jak do dzieciaka jakiś kutas mordę drze, serio, od razu się wyrywam. Wie pan, o co chodzi? Jak szedłem na deptaku i patrzę, jakiś cwel szarpie dzieciaka i coś tam do niego pruje, zerwałem się, trzeba było to zobaczyć, jak z procy i jeb! W łeb. Krótka piłka. Wtedy mi zęba złamał, frajer. Ale ja to poza tym jestem ugodowy. Tylko mnie strzela, jak widzę takie kurewstwo, to od razu leję. Nie patrzę! Ale w Boga wierzę. I wiem, że potrafi nieźle przypierdolić z tej góry, jak z nim zadrzesz. Oj, nieźle potrafi przypierdolić. Ale nie mogę o tym mówić. Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

To co, godzina minęła?

o o o

Majka zadzwoniła kilka dni później, akurat, gdy siedział ze wzrokiem wlepionym w ekran komputera w więziennej bibliotece. Czytał zachłannie i rozgryzał kolejne frazy w umyśle. Umysł... Zwierzę... Natura... Bóg. Czuł się już prawie jak dalajlama, ba! lepiej! Jak filozof, mędrzec, a jednocześnie maleńki okruch życia, który zapragnął zgłębić niezasypane przepaści tajemnic. Miał poczucie jakiejś straty, braku, a nawet winy. Właściwie zawsze miał lekkie poczucie winy, ale wciąż próbował się tego pozbyć, wciąż się starał, by ją gdzieś zrzucić. Ale wina, przyklejona do niego na stałe jak implant, rosła wraz z wiekiem, coraz większa i coraz bardziej nieznośna.

Zapadał już mrok, zaraz każą wracać do celi. Wiktor

złapał kolejne wersy jak oddech, po czym zgasił ekran. Niechętnie wyrwał się ze swoich filozoficznych rozważań i krzyknął do słuchawki.

– Co jest?!

A Majka, że dostała receptę na leki, jakieś tabletki na wrzody, trzeba je brać przez tydzień i obserwować co i jak.

– Dobrze – skwitował, a potem dodał, jakby przestraszony, że ona pomyśli, że za mało się angażuje w tę sprawę: – Będzie dobrze, nie martw się.

Majka przez chwilę zamilkła, jakby badała samą siebie, czy powinna się teraz wkurzyć, czy nie, ale zdecydowała wypuścić powietrze z płuc i mówiła dalej:

– Zuzia ma nowy piórnik, tornister, bardzo się cieszy z tej szkoły i tylko ciągle o tatę pyta.

– Przyrowadź ją – zażądał, ale Majka stwierdziła, że chyba zwariował, po jaką cholere dziecko do pudła ciągnąć.

– Ona ma swoje piórniki, flamastry, lalki, koleżanki, po co jej to? Co ona powie w szkole? Ja jej powiedziałam, że wyjechałeś w delegację, niedługo wrócisz. Wyluzuj, zanim się obejrzysz, będziesz z powrotem i po sprawie. Po co jej w głowie mieszać? Swoje i tak już przeszła, uważam, że za dużo jak na taką małą dziewczynkę.

– Co ty tam uważasz, to ja jestem jej ojcem!

– Wiktor, proszę cię, uspokój się. Nie wychowuj jej na syna twardziela. Ona jest taka wrażliwa, po co ma się po dołkach tułać. To jest mała dziewczynka i pozwól jej być małą, wrażliwą dziewczynką. Pomyśl przez chwilę o niej, nie o sobie.

Witek zamilkł na krótki moment, zbierając siły na manifest, który zamierzał wygłosić. Napiętą ciszę przerwał kategoryczny, groźny głos:

– Mówię ci, nie wpierdalaj się w wychowanie mojego dziecka. Ostatni raz mówię. To jest moja córka i będzie taka, jak będę chciał. Zbiera piłkarzy i ogląda mecze, i bardzo to

lubi. Daj mi powiedzieć! Niech Zuzia tu przyjdzie, zobaczy, jak wygląda świat. Jak jej ojca skurwysyny urządzili. Niech cię o to głowa nie boli, to jest mądre dziecko i wszystko zrozumie. A teraz, sorry, muszę lecieć.

I odłożył słuchawkę.

o o o

Tej nocy przyśnił mu się sen. Mieszkanie na białostockich Dojlidach, gdzie się wychował, miało dwa pokoje. W jednym z nich mieszkał Witek, w drugim starzy. Ale tej nocy Witek nie mógł wejść do swojego pokoju. Przez uchylone drzwi ujrzał bowiem, że w środku są trzy lwy. Dwie młode lwice i jeden grzywiasty, wielki samiec. Witek się przestraszył i uciekł do rodziców. Ich jednak nie było. Oczywiście znów został sam. Sam z, kurwa, trzema lwami. Obliczył w głowie, że drzwi, które ich dzieliły, nie stanowią dla lwów żadnej przeszkody. Są zrobione z dykty tak cienkiej, że kiedyś, gdy starzy, wracając z nocnego przyjęcia, zapomnieli klucza i nie mogli dobudzić Witka, żeby dostać się do swojego pokoju, rozłupali tę dyktę jednym uderzeniem i otworzyli zamek od wewnątrz. Taki lew bez trudu roztrzaska cienkie drzwi, rozniesie w drzazgi prowizoryczne zamki. Witek ocenił swoje szanse. Jedyne, co mogło go uratować, to wysoki, gorący piec stojący w rogu pokoju. Może taki lew nie wlezie na piec? Oczywiście, myśl ta była potwornie naiwna, podyktowana chwilową paniką, lew bowiem, jak każdy kot, potrafi się wspinać i wskakiwać na dużo większe wysokości niż kaflowy piec w starej kamienicy. No ale trudno. Witek wlaź na piec. I wtedy do pokoju rodziców weszła lwica. Jedna. Nie musiała się nawet rozglądać, z miejsca wiedziała, gdzie siedzi Witek. I jednym susem wskoczyła na piec. Ale tam jej było niewygodnie. Nie

ze względu na towarzystwo przerażonego Witka, który nie dość, że przestał oddychać, to jeszcze skulił swoje rachityczne ciało w niewidzialną postać tak, aby go w ogóle nie było. Lwicy przeszkadzały gorące kafle pieca. Parzyły jej łapy, które odrywała od podłoża, wypatrując w kierunku Witka jakiejś pomocy. Ona szukała w nim pomocy.

Gdy Wiktor się obudził, nie mógł zapomnieć snu. Próbował go interpretować, a nawet pokusił się, żeby opowiedzieć na stołówce chłopakom. Ale oprócz rechotu i pukania się w czoło, nie usłyszał żadnego wyjaśnienia. A potem, na świetlicy, gdy włączyli Wiadomości, usłyszał tę historię:

„W gdańskim zoo sprowadzono dwie lwice do samca, by założył stado. Jedna z nich została zaakceptowana, a druga nie. Obsługa zoo jednak wyrażała nadzieję na to, że z czasem stado dojdzie do porozumienia. Wydawało się, że są na to szanse, lwy przebywały w jednym pomieszczeniu, tolerowały się bez większych ekscesów. Ale dziś rano stała się tragedia. Jedna z lwic, młodsza Berghi, została zagryziona przez lwa”.

Gdy zamilkł głos spikera, więźniowie w milczeniu odwrócili głowy w stronę Witka. A ten siedział sztywny, jak po ukąszeniu kobry.

CISZEJ MÓW!

W zapisie art. 153 § 1 k.k. ani razu nie wymienia się słowa „ojciec” albo „mężczyzna”. Niczym z automatu jest mowa o kobiecie, o kobiecie ciężarnej i o innych osobach podżegających do aborcji bądź jej ułatwiających aborcję, ale ojca – mężczyzny – w tym zapisie literalnie brak.

Ojciec odpowiada za 50 procent genów dziedziczenia. Zapłodniona komórka jajowa i plemnik wymieniają się materiałem genetycznym równo po połowie. Rozwijający się embriion jest zatem efektem połączenia dwóch komórek, ojca i matki. Bez ojca nie ma mowy o zapłodnieniu, ciąży, a zwłaszcza aborcji. Ale konsekwencje wynikające z ewentualnej terminacji ciąży dotyczą według zapisu w Kodeksie karnym tylko matki.

o o o

Ze mną to było tak, że raczej mnie lubili, dopóki nie zmalowałem czegoś poważniejszego. Bo wtedy to była straszna afera, że nie wiem co. Nauczycielki to były niektóre straszne zołzy. Jedna się uwzięła na mnie i mnie tępiła. Dawła nagrody za to, że ktoś mnie podpierdolił. Że coś tam

zrobiłem. O wszystko się czepiała. Że po drzewach chodziłem, że biegałem po boisku. A co się na boisku robi, sorry? Serio, ta szkoła to mi bokiem wyszła. Chciałem przy komputerach pracować, ale w szkole mnie tylko tępili. Chociaż niektórzy mnie lubili, że mnie wszędzie pełno. Wiciu, Wiciu, wołały te baby z szatni i się śmiały, że łobuz. One lubią łobuzów. A nauczycielki lubią tajniaków. Żeby spokój był, najważniejsze. A ze mną spokoju nie było, ze mną to nie. Wie pan, o co chodzi. Story of my life. Facet od wuefu był spoko. Chciałem nawet na jakiś wuef albo do wojska, ale mi przeszło. Kiedyś raz powiedział, żebym przyszedł do kantorka pogadać. Ja zaraz zesrany, bo wie pan, o co chodzi. Jak się wiecznie do ciebie przypieprzają, to wiadomo. Człowiek zaraz w lęku. Więc idę, pytam, a on mówi: skąd masz te pręgi na nogach? A ja nic, cisza. Kurwa, co? Co miałem powiedzieć?! Że, kurwa, ze schodów spadłem? Ale nigdzie nie zgłosił.

o o o

Majka nie przychodziła przez dwa tygodnie, a potem pojawiła się sama, bez Zuzi. Poza ustalonym powodem nie chciała rozmawiać przy dziecku, kiedy nią trzepało jeszcze po tym wszystkim, po tym, że musiała przez to przechodzić sama. Wyglądała koszmarnie. Cała zielona na twarzy, kuliła się na krześle. Włosy miała przetłuszczzone, spięte do tyłu w kucyk. Brak makijażu, o który zwykle bardzo dbała. Witek się z początku lekko przestraszył, ale nie spytał jej, co się stało, bo nie zobaczył przy niej Zuzi i na tym skupił swoją uwagę. Zrozumiał, że jego słowa przestają mieć znaczenie, bo przecież Majka i tak robi, co zechce. Nie jest w stanie wyegzekwować swoich wymagań, nie jest w stanie nic zrobić. Poczł się dezorientowany, a potem lekko pogodzony.

– Gdzie Zuzia? – spytał. – Oglądała mecz? Wczoraj grała Jagiellonia! Musiała oglądać! Oglądała?

– Daj spokój, Witek – odpowiedziała miękko. – Głowa ją bolała, było jej niedobrze. Chyba się czymś struła. Albo jelitówka, teraz krąży po szkołach. Zostawiłam ją z matką.

– Czyją matką?! – Podskoczył na krześle. Jego gniew znów wrócił. – Bo chyba nie z moją! Ja i moja matka to dwa bieguny, a raczej ona to dwa bieguny, dwie skrajności zjebstwa. Story of my life, sorry.

– Jej.

– Kurwa, jeszcze lepiej! Mówiłem ci, żebyś jej nie zostawiała z tą... – Wiktor przełknął ślinę gwałtownie. – Tyle razy się umawiała z nią i nie przychodziła. Dzieciak tylko przez tą... tą... – ściszył głos na moment, żeby wypowiedzieć to słowo – ...kurwę, dzieciak tylko przez to cierpi. Niech się w ogóle nie przyzwyczajają! Lepiej dla Zuzi, żeby jej nie było. Niech spierdala, powiem ci. Wiesz, o co chodzi. Jak ja o niej myślę, to się cały trzęsę, serio ci mówię. Serio. Taka kobieta nie powinna mieć dziecka w ogóle, taka matka. Mamuśka, proszę ja ciebie. Kurwa ją mać.

– Witek... – powiedziała Majka zmęczonym głosem. – Chciałam pogadać.

Witek uderzył pięścią w ścianę, kontynuując w myślach jeszcze wątek z matką Zuzi. A potem nagle spojrzął płochliwie w kierunku strażnika.

– Dobra. Co jest? – I nie dając Majce dojść do słowa, wypalił nagle zupełnie innym tonem: – Słuchaj, Majka! Posłuchaj mnie! Ale weź mnie posłuchaj! Miałem wizję! Nie wyobrażasz sobie, słuchaj! Ale posłuchaj! Padniesz. Miałem wizję!

Majka zeszywniała w tym momencie, na jej twarzy pojawiła się złość.

– A ja, kurwa, miałam skrobankę. Interesuje cię to?

Wiktor nerwowo rozejrzał się dookoła, po czym stuknął

się w czoło i głośno wyszeptał:

– Ciszej mów, bo cię zamkną!

– Super. Będę sobie siedzieć i nic nie robić, jak ty. Może jakąś wizję zobaczę?

Witek już cały wrzący od niewypowiedzianych historii, przełknął ślinę, wznosił oczy ku niebu, a potem spojrzał na Majkę badawczo.

– Tabletki nie pomogły?

– Nie... nic nie dały. Czułam się po nich strasznie, w końcu mi powiedział, że trzeba ten...

– Ile wziął?

– Dwójkę.

– Nnno...

– Wzięłam z kasy ojca.

– Spoko. Oddamy.

Cisza. Wiktor kręci się nieco zbyt niecierpliwie, jakby chciał odpękać ten temat.

– Długo to trwało?

– Z dziesięć minut. Może piętnaście...

– Bolało?

– Znieczulenie miałam.

– No i dobrze.

– Ale teraz boli. Jest coraz gorzej. Boję się, że są komplikacje...

Znów cisza.

– Zadzwoń do niego.

– Nie odbiera.

– Może idź do innego...

Majka spojrzała na niego wzrokiem pełnym wściekłości.

– Do innego!? Kurwa, Witek, przecież to jest nielegalne, zamkną mnie!

– Ciszej mów – syknął i znów się rozejrzał. – To co teraz?

– Nie wiem, ale czuję się okropnie, strasznie boli i...

– I co?

– Wykrwawiam się.
– Jak tu przyjechałaś?
– Jakoś przyjechałam. Witek, proszę...
– Co?
– Powiedz, że będzie dobrze.
– Będzie dobrze, stara, będzie dobrze, tylko idź do lekarza. Idź do tamtego albo innego, trudno, przecież cię nie zabiją.

– Zamkną mnie.

„To wolisz umrzeć?!” – Chciał krzyknąć, ale się powstrzymał. Zaprzagnął z całych sił, żeby już sobie poszła, żeby ten problem zniknął mu z oczu, żeby mógł zatopić się w swoich filozoficznych myślach, które przecież są ważniejsze. Miał być dalajlamą, a teraz musi rozkminiać jakieś bzdury. Zresztą, czy to jego problem? Majka i tak sobie da radę, zawsze sobie radziła, pójdzie do lekarza i po sprawie. Właściwie, czemu jeszcze nie poszła? Po co zawraca głowę? Poczuł gniew, że musi jeszcze tu jej matkować, dorosła jest w końcu.

– Może trzeba było na tą Słowację?

– Za co?!

Kurwa, jakiś patałach z tego lekarza, irytował się. Chciało mu się palić, chciało mu się wyjść, chciało mu się wszystko, byle już nie gadać o tym, nie mieć przed oczami tej skulonej zielonej Majki, nie słyszeć tych zdań zawierających w sobie „krew”. Czuł lekkie obrzydzenie, kiedy pokonując samego siebie, wypowiadał to pytanie:

– To właściwie, jak się czujesz?

– Zajebicie...

– Majka.

– Zajebicie, że doczekałam się wreszcie tego pytania.

– Majka... no weź. Przecież wiesz, jak się tu, kurwa, martwię.

– No wiem... – zwiesiła głowę.

Pomyślała, że faktycznie czepia się, przecież on nic nie może, nie ze swojej woli tu siedzi, na pewno by jej pomógł, jakby nie musiał tu tkwić. A jego w tym momencie nagle olśniło, musi zejść na inny temat, musi odwrócić uwagę, skupić się na sobie. I znów będzie jak dawniej, bezpieczna wyspa, na której rządzi on, na której martwią się o niego, na której nie ma miejsca na histerie macicy.

– Spać nie mogę, mam napady.

– Jakie napady?

– No te...

– Zgłaszałeś gdzieś?

– Gdzie niby? Żeby mnie tu za cwela wzięli?!

– Nie wygłupiaj się. To może być coś poważnego. Jak wyjdiesz, idziesz do lekarza. Sama cię zaprowadzę!

– Przestań. Powiedzą, że psychol pojebany, weź. Wiesz, o co chodzi. Hehehe...

Teraz atmosfera zrobiła się dużo bardziej przyjazna. Majka postanowiła pociągnąć dobry nastrój i nie wracać do „swojego” problemu. Zawsze tak było. Wyrывała się z początku, a potem wycofywała rakiem, modląc się, żeby Witkowi wrócił dobry humor. Bo on strasznie nie lubił rozmawiać na trudne tematy. Robił się drażliwy, zmęczony, nieprzyjemny. Tężał nagle na twarzy i sprawiał wrażenie chorego. A jej zależało, żeby było dobrze. Zawsze chciała, żeby było dobrze. Żeby był zadowolony. Kiedyś miała taką myśl, że jest zadowolona tylko wtedy, kiedy Witek jest zadowolony. I teraz postanowiła otoczyć go troską.

– Jakie miałeś wizje? Coś nieprzyjemnego?

– Nie, luz. Inne. Śniło mi się, że lew się bał śmierci. Jakby prosił o pomoc. A potem go zagryzł inny lew. W zoo. W Gdańsku. Słyszałaś o tym? Musiałaś o tym słyszeć, w TVN mówili, na świetlicy oglądaliśmy z chłopakami!

– Co ty gadasz?

– Powiem ci jedno, Majka. Bo już wiem.

- Co?
- Nic się nie martw. Mnie się przyszłość śni. Jestem dalajlamą.
- Kim?!
- Takim mędrcom, prorokiem. Teraz będę już wszystko wiedział. Odpękam tu swoje, a potem będzie już wszystko dobrze. Będzie gites, zobaczysz, Majeczka!
- Jak to?
- Nic się nie martw i już. Kupimy kupon i zagramy w totka, tylko jak się przyśnią mi te liczby. Hehehe.
- Boże, nic z tego nie rozumiem. - Majka złapała się za głowę i leciutko uśmiechnęła.
- Boga nie ma, Majka. Nie ma.

BŁĘKITNA CHUSTKA

Po prostu byłem niegrzecznym chłopcem. Gówniakiem nie do zniesienia. I tyle. Nic do starych nie mam, nie mam nic do starego na pewno, a mama też miała ze mną skaranie boskie. No, wie pan, o co chodzi. Dzieciak, co łązi z kumplami za garaże, pali fajki i ziolo od małego, do szkoły nie chodzi. Browar, to ja nie wiem kiedy, ale jeszcze gówniak byłem na pewno. Wszyscy mówią, że najwięcej to się na studiach pije. Ja na studiach nie piłem w ogóle. Wie pan, dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo nie studiowałem, hehehe!

Nie studiowałem, tylko kiblowałem. Stara mnie ganiała po podwórku, przy innych dzieciakach, cały blok miał ubaw. Wszyscy zawsze tylko: Wiciu, Wiciu. Ja mam wszędzie znajomych, przyjaciół. U mnie nie ma problemu. Jak chcę, to bach, dziś decyzja, jutro jadę. Gdzie pan chce? Do Szczecina? Nie ma sprawy, znam ludzi. Do Malborka? Mam kumpla, Piotrka. Spoko ziom. Ja wszędzie znajdę przyjaciół.

Co pan o tych rodzicach? Nic do nich nie mam! Może mama trochę ześwirowana była, ale kto by ze mną nie ześwirował? Może była chora na jakiś podwójny biegun czy schizę, coś tam, ja się nie znam. Czasem jak wytrysnęła z chaty, to jej

tydzień nie było, albo kupowała cuda, przynosiła do domu czekolady, klocki lego, fajnie było. A potem miała taki odpał, że leżała i patrzyła w sufit. A potem znowu karuzela. Najgorzej jak ją dopadła furia. Wtedy brała pasa z taką metalową sprzączką i zapierdalała za mną po podwórkach. A ja biegłem i się darłem wniebogłosy, ale nikt nie zwracał uwagi. To była szacowna pani, zawsze wystrojona, elegancka, pazury czerwone, usta czerwone i trwała na beton. Ojciec kombinejszyn, fajki ruskie na targu sprzedawał, kasa była, to wielki pan. Tylko że w domu taki wielki pan to nie był, bo jak sobie walnął kielicha, to potrafił niezły jazgot mamuśce sprawić. Ona malowała obrazy. I nawet coś tam sprzedawała. Ale malowała tylko, jak starego nie było. Ale kto by się tam wpierdalał? Kiedyś wzięła szlauch ogrodowy i we mnie zimną wodą, hehehe. Ale poza tym, spoko. Ojciec tylko, jak się zjawiał, strzaskał ją i cisza. Stąd mi się to wzięło, że jak widzę typa, co bije kobietę, to nie mogę. Ale ona też nie była lepsza. Co dostała od starego, to na mnie od niej przeszło. Na zewnątrz wielcy państwo, w domu wariaci.

No, zabawni byli.

Ciotka Baśka kiedyś powiedziała, to była moja komunia, ja taki gówniak w garniturku, co stara na bajerze załatwiła, nie wiem skąd, u nas z pieniędzmi to nie było takiego problemu, żeby czegoś brakowało, zawsze na stole ful opcja i jakieś tam ciuchy, nie było tak źle, więc stara mi załatwiła ten gajer... Co ja mówiłem? Aha. Niech pan posłucha! Ta ciotka stoi przy lodówce i mówi: „Szkoda mi tego Wiktorka”. Ale to trzeba było słyszeć, ten pysk w dzióbek i takie słodkie, wie pan, o co chodzi, takie szczebiotanie wkurwiające: „Szkoda mi tego Wiktorka”...

Ten sen mógł należeć do kategorii snów, których się nie pamięta. Ale nie należał. Wiktor obudził się w środku nocy cały zdrewniały z przerażenia. Nogi mu zlodowaciały, jakby je odmroził na nieistniejącym mrozie. Z kolei czoło miał rozpalone, mimo że nie był chory, żadnej grypy ani nic. A jednak czuł się podle. Każdy kadr snu aż go bolał, rył od środka, wybudzał stare demony, te same, od których uciekał do łóżka, gdy był małym dzieckiem, przed którymi krył się po sam czubek głowy, dusząc się puchem gęsim, z którego ciotka Baśka mu uszyła kołdrę. Palec aż gryzł do kości, cały się trząsał i płakał.

Śniła mu się Zuzia. Zuzia przyszła do niego tu, do więzienia, a miała na sobie dziwne ubranie, całe świecące jakby z satyny, a na głowie chustkę. Ta chustka mieniła się kolorami, to fioletem, to czerwienią, ale zdecydowanie wśród nich przeważał błękit. Nie podobało mu się to ubranko. Miał poczucie, jakby Zuza się za kogoś przebrała, nie była sobą. Gdzieś się schowała, zapadła do wewnątrz, ukryła. A może jej w ogóle nie było? Może to jakaś lalka voodoo przebrana za Zuzię? A jednak to Zuzia. Patrzy na niego nieprzytomnie, jakby zaspana, a może wciąż śpiąca?

– Zuzia... oglądałaś mecz? – zapytał i wyciągnął do niej ramiona.

Nie odpowiedziała. Usiadła obok niego i mruknęła coś pod nosem, coś w rodzaju, że jest zmęczona. A potem położyła mu tę głowę w chustce na nogach, jakby układała się do snu. A jej głowa była zimna.

Lodowata.

NA KRAWĘDZI

W gruncie rzeczy wszyscy bali się mojej starej. Wszystkie koleżanki, koledzy. Wie pan, o co chodzi? Jak ktoś ma zajoba, to strach, co nie? Dlatego bali się przychodzić do mnie, to ja chodziłem po kumplach. I kumpelach. U mnie nie było problemu. Towarzystwo to ja zawsze miałem. Wszyscy mnie lubili, serio. Ale do mnie nie przychodzili, ja do nich. Bo stara świrowała. Raz szalała, raz wpadała w letarg. Wie pan, o co chodzi? Leży i śpi i nie wstaje, nie podnosi się, chociaż wołam, za rękę szarpię. Nagle się ożywia, niech pan słucha! Wstaje, ubiera się, stroi i zabiera mnie na zakupy. Ale jakie! Nie tam jakieś zakupy byle jakie. Do Mody Polskiej, do Telimeny. Tu kiecka, tam perfumy. Oczywiście peweks, rzecz jasna, i nowe klocki i resoraki. No cyrk z mamuszką dokumentny. Jak na huśtawce.

Nie przytulała mnie za bardzo. Widziałem, że inne matki to robią i zawsze czułem, że to jakieś takie głupie, wie pan, o co chodzi, nie?

– Nie.

– No takie zażenowanie, coś takiego głupiego mi się robiło. Jakby to nieprzyzwoite było. Jakby, wie pan, z matką? To nie wypada.

– Dlaczego nie wypada?

– Bo to matka, sorry, nie? Ona nie okazuje uczuć, to jak się przytulać? Nie wiem, czasem myślę, że ta laska, Zuzi matka, to jakaś taka podobna była...

Nie, no nie zawsze była taka pierdolnięta. Ale wie pan. Niech pan postucha! Czasem się wygłupia, śmieje się, śpiewa piosenki, rzuca śmieszne słówka, jakieś historyjki. A nagle trach, chowa się, trzaska drzwiami, jakieś z dupy fochy, nie wiadomo, o co! Może ją wkurwiałem, to nic dziwnego, ja niegrzeczny byłem. Nieraz wpierdol pasem dostałem.

O, na przykład. Po lekcjach muszę być w świetlicy, podczas gdy dzieciaki wracają normalnie do domu. Na samym początku odbiera mnie stara, ale to chyba parę razy, bo potem już wracam sam z kluczem na szyi. Tak się chodziło z kluczem na szyi, co nie? No i jak ja wracam z tej świetlicy, to cała banda już na podwórku, kopiają piłę, po obiadach, fajnie mają. To ja do nich. Rzucam tornister na ziemię i gram tak, że nie wiem, która godzina, i katastrofa!

Bo nagle stara idzie do mnie, do tych moich kumpli, przy wszystkich na podwórku, nic się nie czai, tylko idzie, wszyscy patrzą, a ta z czym? No z czym? Niech pan postucha! Z pasem idzie do mnie! A ja w długą, żeby tylko się nie dać, wie pan o co chodzi, żeby nie oberwać na ulicy przy wszystkich, bo to jest dopiero masakra! I zapierdalam po schodach susami, a ta za mną. I już wiem, że tak dostanę wpierdol, że nie usiądę na dupie przez tydzień. I do dziś nie wiem, za co. Tylko widzę kątem oka przez okno na klatce schodowej, jak wszyscy spierdalają! Hehehe, wie pan, o co chodzi. Ona już dawno daleko, leci przecież za mną, a oni taką sraczkę mają przed nią, że też spieprzają!

Spoko. Normalna sprawa.

Sen Wiktora odebrał mu humor na dwa kolejne dni. Nie opowiadał go współwięźniom, nie roztrząsał, co może oznaczać. Odsunął go, wyparł, zapomniał. I już nie chciał być dalajlamą. Chodził struty, omijając bibliotekę i po cichu złorzeczając na „te głupoty”. Nawet zaczął kombinować zioło, żeby się nieco znieczulić. A potem zapadł na gwałtowną gorączkę, która złożyła go na dobre do łóżka. A gdy tak leżał, Kania z Bolem garowali po kryjomu przemycony skądś bimber. Wiktor tęskni za Krzychem. Chciałby, żeby go odwiedził, ale Krzychu wyjechał w jakąś delegację na miesiąc. Majka też nie przychodzi już tydzień, Wiktor siedzi sam jak pies i tęskni. Najbardziej tęskni do Zuzi, ukochanej córeczki tatusia, która tak bardzo chce mu się przypodobać, że zna nazwiska wszystkich piłkarzy Jagiellonii i kolekcjonuje ich fotosy.

Żadna dziewczynka w zerówce nie ma takiego hobby. Nawet chłopaki mogą się od niej uczyć, myśli z dumą Wiktor. Taka córka to skarb, uśmiecha się do siebie, odwracając od chłopaków, którzy robią się coraz głośniejsi. Za Zuzią ciągnie się jednak wspomnienie jej matki, chłodne i kwaśne doznanie, które wypełnia ból. To jakby podobne uczucie do czegoś, co Wiktor zna od dawna, od bardzo dawna, gdy jeszcze był małym dzieckiem. Niezrozumiałe zachowanie, pełne gwałtowności, niewytłumaczalnej złości, obrażania się, wyciągania niepojętych wniosków z jego zachowania, agresji. Matka Zuzi jest chora, tłumaczy sobie, jednak nie umie znaleźć dla niej współczucia, nie umie tak naprawdę zrozumieć, bo tego zrozumieć się nie da. Ten rodzaj świadomości jest jednym wielkim zaburzeniem, które się ciągnie za nim od jego urodzenia. To stawanie na krawędzi okna, szantaż, że przez niego się zabije – skąd my to znamy, Wiciu? – mówi do siebie. Skąd ty to tak dobrze znasz? Skąd wiesz, że zawsze jesteś wszystkiemu winny? Że

jak byś nie spojrzeł, jak byś nie stanął, ona znajdzie w tym dla siebie motyw do zrobienia gigantycznej afery? Że to zawsze musi jej dotyczyć, że to zawsze jest wymierzone w nią, bo ona ma w mózgu opiłki ołowiu i sama tego łba już nie może dźwigać, tak jej się w nim kitfasi.

Ale skąd w tobie, kurwa, była taka potrzeba, że jak się tylko uwolniłeś, akurat taką samą wariatkę wybrałeś na matkę swojego dziecka?! Wiktor się wścieka pod kocem, pot – już sam nie wie, czy z choroby, czy z emocji – zalewa mu powieki. Pod kołdrę docierają do niego skrawki bełkotu pijanych więźniów i coraz bardziej wytrącają z chwiejnej i tak równowagi:

– Ja patrzę, jakie baba ma biodra, bo wtedy wiem, że urodzi.

Witek jest cały mokry, można go wyjąć jak szmatę, co go jeszcze bardziej deprymuje, co go wścieka i już, już ma ochotę zerwać się z łóżka i wypierdolić z bańki temu debilowi Kani, jak on go wkurwia, zero mózgu, same mięśnie i brzuch.

– Jak ci wsadzę w dupę lokówkę, to urodzisz w moment! – charczy do niego, trzęsąc się z gorączki i oburzenia. – Ja nie mam tak, że zawsze się przypierdalałam, ja na wesoło, ale jak już nie można, bo, kurwa, z półmózgiem mam do czynienia, to sorry! Ja z takimi osobami nie mogę. Nie lubię takich zachowań, wódka jest dla mądrych ludzi! – Wali pięścią w poduszkę.

Chłopaki się podnoszą, zaciskają pięści, a drobny Wiktorek zrywa się z łóżka i leci na nich na oślep, jednemu z bańki, drugiemu pięścią w brzuch, ale chwilę potem leży i ledwo może złapać oddech, słysząc kroki strażnika, tamci wskazują na prycze, Witek nie może wstać, obok niego butelka z bimbrem...

POGRZEB

Jest w klasie jeden koleś, spoko ziom. Siedzimy razem w ławce, wygłupiamy się, jest zajebiście. Też jest leworęczny, ale pisze dużo brzydziej niż ja, bo mnie ciągle stara ćwiczy. W ogóle to nas ćwiczą i w chacie, i w budzie.

On się nazywa Krzysiek. Serio, co? Niejeden jest Krzysiek na świecie. Lepiej niech pan słucha. Biegamy do siebie w chorobie, nosimy sobie zeszyty, każdy chłopak powinien mieć takiego kumpla. Jakbym miał syna, to...

– To co?

– Nic, nic. Nie chciałem tego powiedzieć. Tak czy siak, wie pan, o co chodzi. My ze sobą gadamy, śmiejemy się, przyjaźń to przyjaźń, choćby i od gówniaka. Bo my jeszcze gówniaki jesteśmy. Wygłupiamy się na przerwach, wszyscy się z nas śmieją, bo on wielki, a ja mały i chudy. Ale się lubimy. Jak się ludzie lubią, to wygląd nie ma znaczenia. Kurde, to jest nawet śmieszne, jak się teraz wspomina. Bo takie dzieciaki byliśmy, a najfajniejsi kumple.

Ciągle dostajemy po łbach za te lewe ręce. Kuźwa, co ludzie mają za problem, co? Pan pisze prawą?

– Lewą.

– Serio!? Ale zajebiście. I co, studia pan zrobił?

– A jak pan myśli?

– A starzy nie strzelali z ryja? Zajebicie... A nas ciągle za to gnoili. Ja się oczywiście starałem, żeby stara się cieszyła, ale ją zadowolić to rzecz niewykonalna, wie pan, o co chodzi. Prawą ręką piszę jak popapraniec, stara ciągle się czepia. No trudno, kurwa, nie będę o takich głupotach gadał. Właściwie nie wiem, po co to wszystko mówię. Nie mam żalu do starych. Jest jak jest. Było jak było. Wszyscy tak mieli. No może prawie wszyscy.

Na szczęście mam Krzycha, chodzę do niego ciągle, a jak on nogę łamie, to codziennie jestem z zeszytami. Chociaż raz się postarałem wszystko notować, bo nie dla starej, a dla Krzycha, a to jednak różnica jest poważna, co nie?

Stara Krzycha jest miła, ale wypytuje o moją chatę, co w domu, co u starej, jak tam u nas, a mnie stara uczyła, co w domu, to gęba na kłódkę, cicho sza.

Zresztą u nas normalnie, jak u wszystkich, takie czasy były, co? Nigdy pan wpierdol nie dostał?

o o o

Boże jakim on jest chaosem! Boże, ile on jeszcze po dupie dostanie! Kiedy wreszcie odzyska spokój, taką godność jak ma Krzysiek?! Kiedy się wreszcie nauczy, nigdy! On się nigdy nie nauczy, myśli, i do tej myśli się nawet uśmiecha, bo wie, że to jego część, jego kawałek osobowości, którą, w przeciwieństwie do tej pizdy, Rafy, przynajmniej ma! Bo gdyby się tak mu stało, to by z honorem się przyznał, a nie dupę chroni, a najebany jak dzwon. Bo, panie strażnik, ja trzeźwy jak świnia, pobili mnie skurwiele, w dodatku chory! Dajcie mi jakieś prochy, ledwo żyję i zabierzcie mnie od tych zwierząt, bo ja cywilizowany jestem, nie siedzę tu za jakieś gwałty, tylko, kurwa, za pobicie psa, a to jest różnica chyba,

nie?!

On się brzydzi przemocą, ale jak jakiś debil chleje i robi burdy, to co, ma siedzieć cicho? Zresztą chyba jest jakiś paragraf na to, że człowiek chory, w gorączce to są jakieś, sorry, okoliczności łagodzące. Co?! Jak wtedy ten pojeb ludzi na Monciaku rozjechał w Sopocie, to jakoś nie poszedł siedzieć, bo chory. To ja też chory, zmierzcie temperaturę, czterdzieści jak w banku, albo lepiej. Na fioletowo widzę, łeb mi strzela, a tamci mordę prują, o jakichś babach z biodrami, ja się brzydzę takim zachowaniem, ja bym od razu po mordzie lał!

Wiktor się cały trzęsie, dostaje drugi koc i aspirynę, jęczy głucho, w końcu zasypia z kciukiem w ustach, z zaschniętymi łzami na poduszce.

Znów ten sen, powtarzająca się maligna, zmora gorączkowa, w której zaległ i przewraca się bezbrinnie z boku na bok. Błagał w myślach Majkę, żeby przyszła i powiedziała, że wszystko w porządku, żeby przyprowadziła Zuzię, żeby na własne oczy zobaczył, jak rozdziela się sen od jawy. Chciał już wstać i wybiec przed siebie, chciał COŚ zrobić, żeby wreszcie nie czuć tego nieznośnego niepokoju. Skąd to się bierze? Skąd w człowieku ten instynkt, to przecucie czy jak tam, intuicja? Czy może tylko nawbijał sobie do głowy, naczytał się indiańskich bzdur o duchach proroczych, o snach pełnych znaczeń, o niewidzialnej sile podświadomości, o tybetańskich mnichach! To on już woli naszego, polskiego Boga, nasz polski ateizm, ateizm katolicki z bezpiecznym powątpiewaniem w diabły i anioły, z oswojonym od kołyski Bożym gniewem i kotłem smoły, to on już pierdoli wędrówki dusz, Wisznu i srisznu, sny prorocze i wewnętrzznego ducha. On już chce mieć proste prawdy, jeden katechizm i jeden drogowskaz.

Bóg, Honor, Ojczyzna, kurwa! I niech tak zostanie, bez żadnych rozkmin o intuicji i siódmym czakramie. On nie ma

siły na takie mózżenie, nie ma siły na cuda, potęgi podświadomości. Jemu wystarczy czarno-białe widzenie świata, co wolno, czego nie wolno, on już się kłócić nie będzie. Nie ma na to zdrowia. Czterdzieści stopni i sześć miesięcy kibla każdego może zwalić. A on przecież jest wrażliwy, zawsze wrażliwy, zwłaszcza na cudzą krzywdę, o dziecku nie wspomni.

A może Zuzia to symbol, może to o nim, może to on lodowacieje, może jednak jest inaczej, że lodowacieje mu serce?

o o o

– Majka! Co się dzieje? Czemu się nie odzywasz?! – krzyknął do słuchawki.

Gdy wykręcał jej numer, trochę nie wierzył, że w ogóle odbierze. Tak dawno nie rozmawiali, przez ostatni tydzień nikt nie odbierał telefonu w chacie. Odchodził od zmysłów, co z Zuzią, w dodatku ta Majka... Denerwowało go to, co powiedziała ostatnio, może coś złego? Kurwa, jeszcze mu wpierdola coś tam za aborcję, za złe zachowanie, za to pobicie, chuj wie, za co jeszcze. Czuł się zaszczuty, chory i wściekły. A jednocześnie zupełnie bezradny i zrezygnowany.

– Byłam w szpitalu.

– I co? W porządku?!

– Teraz już lepiej. Powiedziałam, że to poronienie.

– Uwierzyli?

– Nie wiem, chyba nie. Ciągłe mnie o wszystko pytali. To było straszne, zwijałam się z bólu, a oni: kiedy pani zaszła, czy ma pani kartę ciąży, obłąd!

– I co? Coś ci grozi?

– Witek, przyszła jakaś baba z ankietami do wypełnienia,

że mam to dziecko, że to... Jezu, nawet nie wiem, jak to powiedzieć!

– Majka, błagam cię, mów, o co chodzi, ja tu przecież szalu dostaję, Majka!

– Żeby pogrzeb zrobić.

– Komu?! Kurwa, gadaj, co z Zuzią! Jaki, kurwa, pogrzeb, ja pierdołę, co ty mówisz, dziewczyno, Jezu, wykończę się. – Złapał się za pierś i zaczął ciężko oddychać.

Zobaczył w myślach pogrzeb i poczuł wściekłość bezmierną i znów bezsilność, dwie najgorsze emocje, bezsilna wściekłość, niemoc, wreszcie... zrezygnowanie. I zrobiło mu się słabo.

Majka usłyszała podejrzany oddech i przestraszona zapomniała, co miała powiedzieć.

– Jezu, Witek, co ci?!

– Miałem straszny sen... – wystękał. Nadal trzymał się za serce, skulił się, zzieleniał. – I ty teraz z pogrzebem. Boże, czyj to pogrzeb, Majka?

– No, temu... tej ciąży.

Teraz jakby wstąpiło w niego życie, zapomniał w jednej chwili, że ma zawał i nagle się wyprostował i parsknął śmiechem w słuchawkę. Śmiał się przez pół minuty, a potem, wyczuwając, że po drugiej stronie ewidentnie wesoło nie jest, machnął ręką.

– Przestań się przejmować czubami.

– Ja byłam w szoku i wypełniłam... To jakiś obłąd, nie mogę już... Nie wiem, co myśleć, oni mi ciągle pierdołą o zbawieniu, że co ze mnie za matka, że mam wybrać imię....

– Jakie imię?!

– No tego dziecka.

– Czyś ty oszalała?! Jakie imię? Przecież to był jakiś zlepek komórek, o czym ty pierdolisz? Przecież nie miało to płci. Kiedy się płęć robi?

– Chyba później. Nie mam pojęcia. W każdym razie nie

wiem, co to za płeć. – Głos Majki się załamuje, Witek stwierdza niemo, że robi się niebezpiecznie. Majka prawie nigdy nie płacze, a teraz musi być już na skraju, skoro... Postanowił załatwić sprawę po męsku i odparł tonem niezwykle w jego przypadku rzeczowym, akcentując każde słowo z osobna:

– Majka. Nie. Przejmuj. Się. Kretynami.

– Zapytali mnie, czy jestem wierząca, czy jestem katoliczką. I powiedzieli, że moim obowiązkiem jest pochować. A to może miało trzy milimetry... Tak mówił tamten lekarz. Trzy milimetry.

– Boże!

– Mówiłeś, że nie ma Boga! Wiktor, posłuchaj, one, te pielęgniary mówiły, że to jest procedura teraz. Że się zmieniło, że teraz jest „po ludzku”. I mam wybrać imię! Imię!

– Maja... uspokój się. Nie wybieraj żadnego imienia.

– Wiki, nie mam już siły... Oni mnie dręczą.

– Co ci robią?

– Zadzwonili z ośrodka pomocy społecznej...

– Co?!

– Mówią, że dostaniemy za ten pogrzeb cztery tysiące...

Wiktor zamilkł na chwilę, zastanowił się.

– Ile?

– Cztery koła.

– To może się zgódź? Cztery koła piechotą nie chodzą.

– Witek! Mam pochować coś, co zostało w tamtym gabinecie?! Czyś ty oszalał?

– Przynajmniej ojcu zwrócimy.

– To jakiś obłąd. Kto zadba o grób? Nie mam siły, żeby jeździć i doglądać. Mam teraz do końca życia mieć w pamięci te chwile? Zastanawiasz się czasem, co ja myślę? Co czuję? Pojechało cię? Pogrzeb zarodka? Co za pomysł, zrozum. Dużo kobiet roni, nawet o tym nie wie. Poroniłam. Może tak być?!

– Wpisz imię: Wiktor. Po tatusiu – i zaniósł się nagłym

rechotem.

Majka poczuła, że jej emocje są powodem czyjejś kpiny, że cały świat z niej właśnie zakpił, że znalazła się na arenie cyrku, ma wymalowaną twarz na pajaca i fika jakieś salto mortale, a widownia z Witkiem w pierwszym rzędzie turla się ze śmiechu. I teraz, kurwa, teraz właśnie przychodzi jej na myśl, że nie powiedziała mu jeszcze czegoś ważnego, że jej problemy to przecież nic, bo Zuzia...

– Co z Zuzią?

Postanowiła powiedzieć to jak najszybciej, mieć to za sobą i zaraz, od razu odłożyć słuchawkę. Nie słuchać nic dalej, żadnych jego przekleństw, gróźb, całej tej słownej miotaniny Witka, którą zawsze próbował coś z siebie wyrzucić i choć niezmiernie się starał, choć nie zamykały mu się usta, jakoś nigdy nie mógł zaznać spokoju.

Zamknęła oczy i usłyszała swój głos:

– Zuzia choruje już drugi tydzień, wczoraj zemdląca na lekcji, zabraliśmy ją z ojcem do lekarza, dzisiaj mam odebrać wyniki.

Witek poczuł, jak mu się obsuwa podłoga. Nagła wściekłość zmieszana z przerażeniem, kazała mu przyjąć ton kategoriyczny, jakby dzięki niemu mógł wpłynąć na wyniki badań Zuzi, jakby mógł wreszcie zakończyć bezsensowne dywagacje o nieistniejącym dziecku i przywrócić Majkę do porządku, do spraw ważnych.

– Majka, błagam cię. Ja chyba oszaleję. Zajmij się moim dzieckiem!

Majka poczuła nagły szok i wściekłość. Ale zamiast uciec, trzasnąc słuchawką, jak sobie obiecała, powiedziała podniesionym głosem:

– A kurwa, a co ja robię!?! Zajmuję się twoim dzieckiem, twoim ojcem alkoholikiem, tobą i, kurwa, zarodkiem Wiktorem! Ciągłe wykonuję twoje polecenia i sama muszę to dźwigać! Zapytałeś mnie w ogóle, czy ja chcę, czy chciałam

tego? Może nie? Może chciałam mieć dziecko?! Ale, kurwa, ty zdecydowałaś, pan i władca, nie było rozmowy! Ty się bijesz z policjantami, a ja muszę tu żyć!

Witek mimowolnie zachichotał, jakby historia bójki z policjantami ciągle wydawała mu się kozacką grandą, z której czuł się dumny.

– Ciebie to bawi?! Bawi cię to, że ledwo z życiem uszłam, bo mnie w jakimś podziemiu potraktowano? Że skręcałam się z bólu, że może nie wiadomo, czy będę mogła mieć dzieci!? Że musiałam ściemniać, że poroniłam, skoro i tak każdy widział, że to była skrobanka?!

– Majka, błagam cię, ten telefon jest na podsłuchu... kurwa, przestań!

– W dupie to mam! Mogę iść siedzieć! Nawet wolę. Przynajmniej będę miała w dupie wszystko, tak jak ty! Będę miała wizje i rozkminy o dalajlamie czy jakimś innym bogu! A tak, kurwa, zajmuję się wszystkim dookoła, tylko sobą nie mogę się zająć! – Zniosła się płaczem, na który nie usłyszała żadnej odpowiedzi, po czym wreszcie rzuciła słuchawkę.

Wiktor odszedł od aparatu, pokręcił się jeszcze chwilę po korytarzu, rzucił gniewne spojrzenie w stronę strażnika i pomału ruszył na stołówkę. To nic, uspokajał się po cichu. To nic, dzieciaki tak mają, leci im krew z nosa, mdleją, zasypiają. Kiedyś on w kościele też zemdlał. Ile razy! A dziewczyny z klasy – to już leciały pokotem. Aśka, co miała trzymać sztandar, też upadła, Witek pamięta. Krzychu też miał jakieś zjazdy, a taki wielki. I co? Nic. Nic takiego. Takie rzeczy się zdarzają, to normalne. To nic takiego. Nic...

I tylko ten obraz ze snu, ta błękitna chustka na lodowatej głowie Zuzi, rozciągnął się jak cień na tym i tak ponurym dniu.

KAJFASZ

Ponury dzień nie jest określany pogodą, słońcem czy wiatrem. Nie musi też padać, zacinać ostrym deszczem zmieszany z rozpaćkanym śniegiem prosto w twarz. Ponury dzień to ból głowy i gęsta jak smoła atmosfera. To duszność ze strachu, to pustka bolesna, która budzi się wraz z pierwszym przytomnym oddechem jeszcze przed nastaniem świtu. Poncjusz Piłat miewał takie ponure dni. Miewał bardzo często. Czasem próbował siebie zapytać, skąd ta ponurość w nim, skąd to czarne wnętrze, skoro ma wszystko – władzę, pieniądze i kobiet do woli? A jednak gniotła go ponurość, wlewała mu się w nozdrza i dusiła niczym czarna woda. Potężny ból głowy rozsadzał mu czaszkę każdego ranka i choć prokurator bardzo się starał o tym nie myśleć, wiedział doskonale, jaka była tego bólu przyczyna.

Pustka, którą zalewał każdej nocy czerwonym, mocnym winem, nie dawała się przegonić. Utopiona wieczorem, powstawała drugiego dnia jeszcze potężniejsza. Prokurator był uwięziony. Był niewolnikiem, więźniem, skazanym. Skazanym przez namiestnika Judei – hegemonia Poncjusza Piłata.

Siedział ciężko i sztywno na wzniesionym fotelu i patrzył z góry na piętnastoletnią dziewczynę z jakimś zdumiewającym wstydem i zażenowaniem. Czuł, że ona go prześwietla tą swoją okrutną kobiecą intuicją, że widzi jego udrękę i słabość, jego małość i głupotę, że tak wielki mąż jak on tak się dał wkręcić we własne sidła.

Role się odwróciły. Nie! One się nie odwróciły, one były ustawione od pierwszego momentu, jak tylko ta niewiasta stanęła przed nim. Patrzyła na niego z troską i współczuciem, podczas gdy on zadawał jej idiotyczne pytania. Poczuł złość wobec tej mądrali, wobec jej mądrości, diabli wiedzą skąd nabytej. I znów pomyślał, że kobieta to zło wcielone, ma zdolność przenikania na wskroś czyjejs duszy, ma możliwość wybadania jak najlepszy lekarz, albo inaczej: jak wiedźma, czyichś emocji. I on, choć skrywał pod białym płaszczem z podszyciem koloru krwawnika całą swoją słabość, został przez nią zdemaskowany w moment.

Gdy to pojął, zaczął się wahać nad swoim planem uwolnienia jej. Poczuł lęk przed tą młodą dziewczyną i pewne zrozumienie dla jej oprawców. Nikt nie może się oprzeć chęci posiadania tego ciała, ale nikt też nie może się nie lękać tej duszy. Jest w niej coś dzikiego, zwierzęcego. No i te ugryzienia! Jakby nie była człowiekiem (czyż jest?!), ale półzwierzęciem, wilkiem, suką.

A jednak coś go korciło, by móc wykąpać ją w mleku i rozprawiać długie godziny, beztrósco poddając się jej mocy. Jakieś przedziwne pragnienie otworzenia się, uwolnienia ze zbroi, oddania w te gładkie ręce swojej zbolącej głowy, trzymało go w postanowieniu rozprawienia się z radą Sanhedrynu. Zmęczony i oszołomiony, kazał wyprowadzić oskarżoną i zawołać Kajfasza.

Arcykapłan wszedł hardo na taras ogrodu, minął dwa lwy strzegące wejścia i zbliżał się do prokuratora z podniesioną głową i wydatnym brzuchem, opierając nań ręce skubiące

długą czarną brodę. Cały był czarny, jego szata lśniła czernią w słońcu, jego oczy błyszczały czernią, a nawet twarz poczerniała z wiecznego zacięcia. Zapadnięty w sobie, a jednocześnie emanujący pychą i świetnością powierzchnową arcykapłan podszedł do Piłata i, nie podając mu ręki, rzucił:

– Bóg z tobą.

– Który? – spytał prokurator, dając tym samym znak, że pozdrowienie to jest zbyt śmiałe, żeby nie powiedzieć: bezczelne. Ale nie drażył tematu, bo pamiętał o swoim planie, na którym teraz – widząc butę arcykapłana – bardzo mu zaczęło zależeć.

– Dlaczego mnie wezwałeś, hegemonie? – zapytał Kajfasz.

Piłat natychmiast uchwycił to samo, co przed chwilą stało się pośmiewiskiem z jego udziałem. Czemu ludzie zadają sobie tak idiotyczne pytania? Przecież ta beka tłuszczu dobrze wie, dlaczego Piłat go wezwał. A nawet nie wezwał! Sam tu przybył i czekał jak pies na swoje pięć minut. Kto, jak nie on, razem ze swoimi spasionymi świętoszkami, skierował tę młodą dziewczynę przed sąd? Komu zależy na jej śmierci, jak nie temu załganemu łapówkarzowi? Irytował się w duchu prokurator, a im więcej o tym myślał, tym większa brała go złość. Ale złość tu nie była dobrym doradcą. Hegemon bowiem chciał dobić pewnego targu, a dobijanie targu z kapłanami zawsze wiązało się z ryzykiem straty.

– Zbliża się Pascha – oznajmił niby obojętnie prefekt.

Kajfasz dobrze jednak wiedział, do czego zmierza ta rozmowa i tylko kiwnął głową.

– Zgadza się, wielki hegemonie.

– A prawo lokalne głosi, że w święto Paschy należy uwolnić jednego z więźniów. W tym piśmie – przerwał na chwilę kiwając sekretarzowi, aby podszedł – w tym piśmie jest dwoje ludzi skierowanych przez wasz sąd do rzymskiego

wymiaru sprawiedliwości. Oboje mają być skazani na karę śmierci. Ale, przez poszanowanie WASZEJ tradycji, jedno z nich musi dziś opuścić areszt i pójść wolno, oczyszczone z win.

– Jest jak mówisz, Poncjuszu Piłacie.

– W więzieniu więc mamy Barabasz, znanego i groźnego mordercę, wiele miesięcy ściganego przez władze miejscowe. To groźny przestępca, który zabił żołnierza. Ma krew na rękach i mnóstwo przewinień z tytułu podżegania mieszkańców do buntu i niebezpiecznych zamieszek. Drugą osobą więzioną jest Miriam, kobieta, którą napadnięto i wykorzystano, a jej próba obrony to jedynie kilka niewinnych ugryzień.

– Nie zapomnij, hegemonie, o usiłowaniu spędzenia płodu.

– To nie zostało udowodnione – uciał krótko Piłat i groźnie spojrzał w oczy kapłana. Ten odwzajemnił spojrzenie równie groźnym wzrokiem.

Hegemona zalała fala gniewu, że kapłan jest tak niepokorny nawet wobec rzymskich władz. Poczulił niepokój, że jego plan być może się nie powiedzie. Nawet w tej sytuacji, gdzie przecież rzymskie władze są ważniejsze od lokalnych brodaczy! Odchrząknął więc i kontynuował stanowczo, choć faktycznie, głos mu nieco drżał:

– Zatem musisz mi powiedzieć, kogo mam uwolnić. Kobietę, a raczej dziecko, czy groźnego przestępcę? Jaka jest wasza decyzja, Kajfaszu?

– Nasza decyzja jest oczywista. Uwolnij Barabasz.

– Czyś ty oszalał!? – obruszył się Piłat. – Barabasz zabił żołnierza! Wam, klechy, już całkiem padło na mózg?!

– Uwolnij Barabasz – powtórzył Kajfasz bez cienia emocji.

– Ale dlaczego?! Skąd tak absurdalny wybór!?

– Hegemonie. Człowiek, który zabija żołnierza, jest

przewidywalny. A kobieta za grosz przewidywalna nie jest. Jeden Bóg być może wie, co jej tam się w głowie roi. Dziś gryzie senatora, jutro wygrzie cały senat.

- Czyżby? Taki dostojnik jak ty boi się piętnastolatki?
- Hegemonie, sam wiesz najlepiej. Każdy mężczyzna boi się kobiety.

CZEŚĆ III. SZPITAL

RÓŻOWA CELA

Gołdap, wrzesień 2016 r.

U schyłku lat dziewięćdziesiątych pojawiła się kampania przeciwko przemocy w rodzinie. W kampanii pokazano, że argumentem do bicia może być za słona zupa. Po szesnastu latach temat wybuchł po dwóch skrajnych stronach sporu politycznego. Ale nie idzie już o kwestię przesolenia zupy. Teraz są dwa dokumenty, o które trwa pojedynek medialny. Dwa dokumenty na różnych biegunach. Oba traktują o sytuacji kobiet w Polsce. Jeden z nich – konwencja o zapobieganiu przemocy – ma zagwarantować ofiarom przemocy domowej prawną ochronę, między innymi zapewnienie ofiarom prawa do mieszkania. Drugi – klauzula sumienia – odbiera kobietom możliwość korzystania z pomocy medycznej z tytułu wiary i przekonań lekarza.

Statystyki dotyczące przemocy domowej nie są całkowicie wiarygodne ze względu na fakt niezgłaszania spraw na policję. Wiadomo tylko, ile jest ofiar śmiertelnych. To blisko 200 osób rocznie. Brak zgody na ratyfikowanie międzynarodowej konwencji o zapobieganiu przemocy wynika ze sprzeciwu wobec zagrożeń dla polskiej rodziny.

Zarzuca się jej nieposzanowanie religii, kultury i tradycji. Politycy prawicowi twierdzą, że nie może być równości płci, bo przecież mężczyzna nie urodzi dziecka. Ten argument plasuje kobietę na pozycji ofiary, której nie należy się ochrona przed przemocą. Przemoc staje się podstawą religii, kultury i tradycji. Wiara: podstawą do odmowy dostępu do pomocy medycznej i zapobiegania ciąży. Jest 2016 rok. Początek XXI wieku. Argument sprzed szesnastu lat przestał razić. Zbyt słona zupa to tylko pretekst. Powodem jest tradycja.

o o o

Mama. Stoi przy oknie, jej włosy są potargane, w jakimś takim straszliwie niepokojącym nieładzie. Jej blad różowa koszula nocna lekko drży na ciele. Wydaje się cała potargana, niepasująca, nie taka jak trzeba. Widzę to zupełnie inaczej, nie oczami, tylko jakby skórą. Czuję drżenie powietrza, całego pokoju, jakby stała się znów częścią filmu o czymś absolutnie strasznym, o takim jednym człowieku, który oszalał i...

Na parkiecie widzę-czuję czerwoną plamę. Na koszuli, na blad różowym materiale też widzę-czuję tę samą plamę, z tego samego czegoś. To się nie dzieje naprawdę, w mroku nie widać kolorów, ja nie mogę tego zobaczyć, ja jestem po prostu w filmie, ktoś zaraz przyjdzie i wyłączy telewizor i wszystko będzie znów dobrze... znów?!

Mama ma potargane włosy, jasną, blad różową koszulę nocną...

Bose stopy, na parkiecie jest czerwona plama, jej koszula też ma czerwoną plamę. Nie. Plamy. Czerwone plamy. Jest ich więcej.

Jest ich więcej, bo je widzę, czuję ich kolor i zapach przez skórę, bo przecież mam zasłonięte usta i nos, zasłoniłam sobie

usta i nos dłońmi, żeby nie krzyknąć ze strachu, bo taki straszny film ktoś włączył...

Mama ma potargane włosy, jasną, bladoróżową koszulę z plamami...

Leżę nieruchomo w swoim łóżku, to jest metalowe łóżeczko z białymi, zimnymi prętami i siatką z przodu. Nie umiem jej opuścić niżej, jest zbyt ciężka, dotykam stopami metalowych prętów, a one są tak zimne, aż wykręca mi nogi, czuję to zimno całym ciałem, czuję, jak dochodzi do kolan, bardzo mnie bolą kolana od tego zimna. Zimne są ściany, różowe ściany mojego pokoju, mojej celi. Różowa cela. Leżę przy ścianie i wygrzebuję tynk spod odrapanego miejsca.

Wymyślam, że pod moim łóżkiem mieszka wilk. On tam siedzi, a ja nie mogę się ruszyć, ani ręką, ani stopą, niczym, bo jak tylko wystawię cokolwiek poza łóżeczko, ten wilk mi to odgryzie. Ciągle sobie coś opowiadam, a te historie są straszne i bardzo źle się kończą.

Gdy zamykam powieki, pod nimi pojawiają się najpierw kolory, wściekłe, jadowite, agresywne kolorowe plamy, czerwone, zielone, żółte plamy przybierają wreszcie kształt klauna. Kiedy go widzę, wymiotuję. Bardzo często wymiotuję.

Nikt nie wie, dlaczego.

Ja też nie wiem. Musi upłynąć sporo czasu, żebym się dowiedziała. Żebym usłyszała od siebie samej na co choruję.

Ja choruję, proszę pana, śmiertelnie choruję na brak miłości.

o o o

Tylko nie świt! Tylko nie to! Noc byłaby cudem, gdyby się nigdy nie kończyła, myślała w panice Maria, patrząc ponad drzewami na chłodną poświatę. Tymczasem świt nadchodził. Ten moment nie był wcale ostrym promiennym brzaskiem,

to raczej wspomnienie dnia skracanego przez nadchodzącą jesień. Jezioro było zupełnie gładkie, niczym tafla zwierciadła, w którym jeszcze przed chwilą chełpliwie przeglądały się gwiazdy. Teraz jednak zaczęły się zbierać na inną arenę, znikać jedna po drugiej, a ich lustro przesłoniły kłęby mgły. Maria siedziała w drewnianej altanie na moło i, kuląc się przed poranną wilgocią, analitycznie i z niemal fizyczną precyzją rozpatrywała różne metody samobójstwa. Wiadomo było już, że jezioro odpada. Ustaliła to od razu, jak tylko tu przyszła. Za nic w świecie nie wejdzie do zimnej wody, a już za żadne skarby nie sięgnie dna, gdzie są jakiegokolwiek wodorosty. Jak już się zabijać, to przyjemnie. Z pewnością nie ma sensu dodatkowo cierpieć przez zimno czy jakieś obrzydlistwa w mrocznej toni.

Magiczne miejsce jednak sprzyjało dalszym rozmyśleniom, dlatego postanowiła zostać, zachłannie obserwować piekielne piękno nocnego pejzażu, gdzie raz były gwiazdy, raz chmury rozświetlone na niebiesko przez ten morderczy księżyc, do którego wyją wilki i wilkołaki, całe to podejrzane towarzystwo z wampirami, strzygami i czarownicami włącznie. Wyobrażała sobie, że nie jest już cielesna, że jest jakąś formą świadomości unoszącą się nad wodą i kołysze się bez czucia wśród mgieł. Tego pragnęła najbardziej. Ten stan nicości, nieczucia, niesłyszenia, niewidzenia, niemartwienia się, nieistnienia. Nie ma zimna, nie ma gorąca, nie ma stukotu młotów pneumatycznych, nie ma hałasu ulicy, nie ma wrzasków i bluzgów, nie ma wreszcie jazgotu ze stołówki, na której ostatnio przyszło jej jeść.

Niedawno jej się śniło, że jej nie było. To znaczy, niby była, ale tylko jako świadomość, nic poza tym. Nawet w tej swojej świadomości odnotowywała: ręka – nie ma, noga – nie ma, głowa, tułów – nie ma nic. I było jej niezwykle dobrze bez tego ciała, bez tego przekłętego ciała, własnej klatki,

więzienia jej udręczonej duszy. A teraz nic. Lekkość. Wolność. Przeczytała potem w gazecie, że w Warszawie jest kapsuła odpływowa, czyli takie ustrojstwo, do którego się wchodzi, zanurza w ciepłej wodzie z solą, kapsuła się zamyka, zero światła, zero dźwięków, zero czucia, odjazd. Pojechała tam tylko po to, żeby chociaż przez chwilę nie czuć. Jej czucie było na co dzień tak mocne, tak uwierające, że zaczęła podejrzewać siebie o jakąś nadwrażliwość, nienormalność, neurotyczność. To czucie, od zawsze, od kiedy pamiętała, ciążyło jej boleśnie, drapało, gniotło. Nawet gdy była sama w pokoju, nawet gdy było cicho i ciemno, czuła, słyszała, widziała jakieś nieokreślone COŚ, co jest coraz głośniejsze niczym *Bolero* Ravela, coraz większe, jakby rosło, pęczniało, obezwładniało ogromem i mocą coraz bardziej wnikliwych dźwięków, coraz mocniejszych uderzeń, coraz potężniejszym bezmiarem. Wtedy chciała po prostu zniknąć, stać się wiatrem, liściem, czymkolwiek, co nie czuje już niczego. Zanurzyła się więc w tym małym „morzu martwym” i znieruchomiła, czekając na wielkie NIC. Początkowo myśli bombardowały ją boleśnie, co było, co będzie, przeszłość zmieszana z oczekiwaniami, mój Boże, jakie to nieznośne. Ale potem myśli ustały, ustało wszystko. Maria znalazła się gdzieś między jeziorem a chmurami, nie wiadomo, czy było słońce, czy noc, czy zima, czy lato, czy upał, czy deszcz. Zawisała jak spławik, lekko kołysana podmuchami wiatru, ruchem delikatnych, niewidzialnych fal. Kiedyś czytała o czyjejś śmierci klinicznej, o opuszczeniu ciała, o spokoju i błogostanie, unoszeniu się ponad wszystkim i wszystkimi. Tak właśnie było teraz, niby była, a jej nie było, jedyne, co z niej zostało, to strzęp świadomości, jakieś takie bycie myślą, ideą, pomysłem, który jeszcze nie nadszedł. Vonnegut pisał o tym: wiązka jednorodnej nicości. I tak, ona wtedy była wiązką jednorodnej nicości i jako wiązka jednorodnej nicości czuła

się najlepiej, lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Nagle usłyszała jakiś dźwięk – i całe jej wnętrze przeszył bunt. Był to mechaniczny „szum morza”, puszczonego z automatu po skończonej sesji. Vonnegut ostrzegał. Do wszystkich wiązek jednorodnej nicości: nie powstawajcie z siebie.

STRZEŻCIE SIĘ ŻYCIA.

Strzeżcie się, kobiety. Strzeżcie się życia, narodzin, urodzin, spowiedzi, komunii, szkoły, kolegów, koleżanek, chłopaków, ciotek, matek, wujków i dziadków. Strzeżcie się pytań i odpowiedzi, strzeżcie się obietnic i oczekiwań. Strzeżcie się małżeństw, strzeżcie się ciąży, macierzyństw, prac, obiadków, śniadań, stosunków seksualnych, samotnych kroków w nocy, obcych mężczyzn w bramach, strzeżcie się każdego dnia, każdej minuty, każdej sekundy tego najniebezpieczniejszego z niebezpiecznych zjawisk: życia. Nie wychodźcie ze swoich dziurek, nie wrywajcie się na ten bal, bo macie odgórnie, systemowo, definitywnie, na każdym jego etapie

PRZEJEBANE.

o o o

Potem już ciągle szukała tego. Tego niczego. Przemalowała swój pokój, kupiła rolety i zatyczki do uszu, zadbała o kompletną ciszę i mrok, z których czerpała swoją wiązkę jednorodnej nicości. Kiedyś w nocy obudził ją kot, wstała, pogłaskała go i poszła go wypuścić na taras, a gdy wróciła do swojego azylu, spojrzała w gęsty mrok pokoju, zastygła dla usłyszenia ciszy i pomyślała, że tak właśnie wygląda Niebo. Jej Niebo. Żadnych bodźców, zero, ona i ta cisza, i ta gęsta czerń nocy.

Teraz, kiedy znalazła się w ośrodku psychiatrycznym, nie mogła pozbyć się myśli, jak to zrobić, żeby do swojego Nieba

się z powrotem dostać. Od tygodnia rozpatrywała najróżniejsze techniki. Powieszenie. To już miała w głowie od dawna. Wiele razy, po kłótni z kimkolwiek, po zderzeniu z innością, czyjąś kamienną introwersją, tak straszliwie niezrozumiała, niepojęta dla niej, która była chodzącym nerwem na wierzchu, w tej hysterii bezsilności, wyła do swojej poduszki i jedyne, co ją ratowało przed kompletnym obłądzeniem, to ta myśl o pasku. Skórzanym pasku do spodni. I tak. Po kolei. Bierzesz pasek, robisz pętlę na klamercie... i, kurwa, co potem? Ktoś wyjaśni? Rozmawiała o tym nawet z koleżanką, dziewczyną z terapii. Paulina miała tak posrane dzieciństwo, że to cud, że żyje do dziś. Ale kombinacje z paskiem też miała. Tylko że ona wpadła na to, jak to zrobić. I nie powiedziała Annie. Celowo nie powiedziała?

Tak że – pasek niewypał.

Potem była wanna. Wanna pełna wody, koniecznie ciepłej wody – temperatura podnosi ciśnienie czy coś tam – i chlast po żyłach. Tylko teraz tak: w poprzek czy wzdłuż? Bo ona całe życie myślała, że w poprzek, ale ostatnio przeczytała w książce *Małe życie*, że jednak najlepiej wzdłuż. Głęboko wzdłuż żył. Patrzyła więc w wannie na te żyły, tak czy siak, potem pomyślała, że żyłkę ma w golarce do nóg, potem pomyślała, że najpierw trzeba by jej poszukać, znaleźć i położyć na brzegu wanny, potem pomyślała, że jest jej strasznie, ale to rozpaczliwie, smutno, potem pomyślała o kocie, o matce. Czy to będzie dla niej dobre, lepsze? Potem pomyślała o wszystkich bliskich, potem pomyślała z kolei o tym, że na terapii uczą nie myśleć tak o innych, tylko o sobie, więc jak o sobie, to ona ma prawo zrobić, co chce, a potem znów, co z matką. Vonnegut stwierdził, że „synom samobójców rzadko dobrze się powodzi”. A potem znów, gdzie ta żyłka, woda się lała, napełniała się wanna, a jej myśli szalały: spierdoliłam swoje życie, spierdoliłam życie własnemu dziecku wewnętrznemu, gdzie jest ta mała

Marysia, którą terapeuta kazał nosić w portfelu, gdzie jesteś mała Marysiu? Lepiej będzie, jak jej nie będzie, wtedy na pewno nie będzie tak strasznie smutno. A potem usłyszała jakiś stukot, pomyślała, że ktoś przyjdzie. Ktoś ją tu odkryje nagą w wannie, poskręcana, nieładną i będzie wstyd, znowu ten wstyd. Zabiorą ją do szpitala, odratują, potem do zamkniętego zakładu, ona tego nie przeżyje.

No i chuj, zadzwonił telefon, zadzwoniła matka, jakby wiedziała, co się święci, i po samobójstwie.

Drugie podejście do wanny już nie zakładało użycia żadnych ostrych narzędzi, tylko po prostu utopienie się. Nie ma wodorostów, nie ma zimna, nic nie ma, ciepło, miło, niebo, raj. Ale wtedy akurat wlaźła do pokoju Teresa, mój Boże, czemu Maryśka zapomniała zamknąć drzwi, to już naprawdę trudno wytłumaczyć, jej wrodzone roztrzepanie, ADHD nie do zniesienia, które się tak pieprzy z jej próbami racjonalizowania śmierci, nieszczęsnych samobójstw, które zawsze okazywały się fiaskiem.

A teraz wymknęła się w nocy nad jezioro, jakby coś tam mogło ją czekać, jakieś olśnienie. Olśnienia nie było, za to wizje i czary, czyli to, co zaraz po nicości Maria lubiła najbardziej, jeszcze od czasów nastoletnich. Kiedy się nie zabijała, często zakładała słuchawki na uszy i puszczała sobie The Cure, płytę *Faith*, bas i labirynt ciemności, duchy, zielony dym w podziemiach, trumna, cmentarz, dzwony, kaplica. Wszystko się rozpadało w jej głowie, a ona z lubością przyglądała się tej destrukcji, rozpływała się w tym, jakby sama była zielonym dymem, mrocznym nie-stworzeniem. Oczywiście, że miała wizje, słyszała też głosy, wszystko to prawda. W teście MMPI zakreśliła prawidłowe odpowiedzi, a oni, że to przesada. Że... jak to było? Agrawacja. Kurwa, jaka agrawacja?! Wołanie o pomoc, a nie agrawacja. Nadmierna wrażliwość i reaktywacja. Nadmierną wrażliwość to dziś, kochani, każdy ma. Maryśka miała

hiperwrażliwość, taką z pajęczą siecią synaps bez najmniejszych osłon. Jeśli ktoś żyje całe życie z pajęczą siecią synaps bez osłon, to nie marzy o niczym innym, jak nirwana, nicość, niebyt.

Czasem, gdy kładła się spać, słyszała w głowie rozkaz:
– Maryśka!

Maryśka, wstawaj. Biegnij. Uciekaj. Spierdalaj! Zrywała się przerażona, choć wiedziała bardzo dobrze, że ten głos pochodził tylko i wyłącznie z jej głowy, że to jej wewnętrzny głos, który ją opierdala za to, że się położyła. Nie można się kłaść. Nie można odpocząć. Bodźce są wszędzie. Wszędzie są demony.

Którejś nocy przyszedł. Przyszedł do niej i stanął przy drzwiach. Spojrzała w tamtą stronę tylko raz. Jedno spojrzenie i śmierć. Nie mogła złapać oddechu. Cała w środku się trzęsła, ale nie mogła uciekać. Nie miała dokąd. Zresztą on by nie pozwolił jej uciec. Był wielki, straszny potężny. Był czarny, cały złożony ze smolistej czerni. Był złem. Skondensowanym złem. Ciało doskonale czarne. Ciało doskonale gęste. Ciało doskonale ciężkie. Tak ciężkie, że nawet gdy stało przy drzwiach, dusiło ją za szyję. I już myślała, że po niej, że będzie jedną z tych ofiar, które znikają z tego świata nie wiadomo dlaczego, po prostu umierają w łóżku, a potem są znajdowane przez męża, partnera, rodzinę, albo kota, przechodzą sekcję zwłok, która nic, kompletnie nic nie wykazuje, żadnych przyczyn zgonu. On potrafi zatrzeć ślady, idealnie wyprzeć ze świadomości patomorfologów swoje istnienie, swój współudział w śmierci.

Ale właśnie wtedy, gdy już zegnała się pokornie z życiem, on puścił i rozmył się po ścianach sypialni, zostawiając lęk tak straszny, że nie było już mowy o ponownym zaśnięciu. Wtedy podjęła dwie decyzje. Pierwsza była bardzo stanowcza, wręcz histeryczna. Otóż ona zrobi to na własnych warunkach. Nie pozwoli, aby on wrócił i ją udusił.

Kurwa, nigdy nie wiadomo, co się potem stanie. Poza tym, kto by chciał umierać w taki sposób? Kto by chciał tak pokornej, upokarzającej, beznadziejnej śmierci? To jak gwałt, morderstwo w lesie, tortura i odcinanie uszu. I co potem? Co potem, gdzie on by ją powłókł? Czy pozwoliliby być wiatrem, liściem, niematerialną, niezamarzającą i szczęśliwą świadomością bez czucia? Skąd! On by ją zabrał na dno piekła, na parking Ikei, camping w Łebie, na stołówkę sanatoryjną, do tramwaju w upał, na koncert disco polo, na dansing. Tam by ją zabrał. I ciągałby po krzakach, gdzie pijani narodowcy, kibice Arki, żołnierze, policjanci i radni obracają panienki z paznokciami UV i rzęsami z lateksu. Kurwa! Do końca wieczności mozół hałasu, wrzasku, pijanych gąb, migren. I bez oddechu. Bez oddechu w smrodzie latryn toi toi, kibli PKP, odór spod koronek emerytów, dymu papierosowego z bezzębnych ryjów karcianych kolegów.

Druga decyzja była już bardziej przyziemna i mogła się wydawać prozaiczna, a nawet zaskakująca w tym kontekście. Ale tak jej nakazała intuicja, a w zgiełku głosów akurat ten głos Maria szanowała, zwłaszcza ostatnio, po przeczytaniu *Biegnącej z wilkami*. A więc: palenie. Trzeba przestać palić. Przestać upalać się każdego dnia, przestać uciekać w dym, w inną rzeczywistość, w przestrzeń między światami. Żadnego dławienia w gardle, żadnego ucisku, nic, co może przypominać tamtą wizytę. I rzuciła. Z dnia na dzień przestała palić. Wywaliła lufki i woreczki z resztką jej samej, jej imienniczki maryśki. Nie przewidziała jednak, że ucisk w gardle sam przyjdzie. W najczystszej postaci, bez grama substancji smolistych, po prostu któregoś dnia się pojawi, zdławi ją i już nie puści.

Mama odchodzi od okna. Nie wiem, jak to się dzieje, jak się mieści, ale wciska się do mojego łóżeczka. Do pokoju wchodzi ojciec. Pali papierosa. Widzę tylko ruch żaru, gdy podnosi rękę do ust i się zaciąga. Pod ścianą stoi duży karton z moimi zabawkami. Gdy tata idzie, potyka się o ten karton i mówi coś brzydkiego przez zaciśnięte zęby.

Mama leży obok mnie i w miarę jak zbliża się ojciec, ona przyciska się do mnie coraz mocniej. A ja patrzę, patrzę szeroko otwartymi oczami, bo chcę patrzeć, chcę widzieć, coś mi mówi, że muszę to widzieć, bo jak zamknę oczy, to wszystko poleci w dół, tam do jaskini wilka.

Mama prawie nie oddycha, ja też chyba zapominam oddychać, gdy mnie tak z całej siły ściska. Nie wiem, czemu jest tak źle, tak strasznie, ale czuję, czuję strach przez skórę, czuję nadchodzący kataklizm, czuję swąd palonej skóry. On podchodzi do nas, my leżymy jak dwie nieruchome jaszczurki, spłaszczone w niebycie, w nieistnieniu, zastygłe jak dwa maleńkie posągi dwóch maleńkich ofiar.

I nagle on pochyla się nad łóżeczkiem i gasi papierosa.

– Gdzie?

– Na mamy ramieniu.

ATŁASOWE PUENTY

W polskich szpitalach coraz rzadziej można przeprowadzić zabieg przerywania ciąży, nawet w wymienionych na mocy ustawy z 7 stycznia 1993 roku przypadkach. W mediach zaczyna być głośno na temat kobiety, u której stwierdzono wady letalne płodu i nie pozwolono na terminację. W internecie można przeczytać sporo na temat utrudnień, jakie stawiają szpitale na drodze do legalnej aborcji. Zgwałcona czternastoletnia dziewczynka jest szantażowana przez obrońców życia, że nie wolno jej „zabić dziecka” – czyli komórki zapłodnionej przez gwałciciela. Matka trójki dzieci pisze w liście do redakcji jednego z pism kobiecych: Pękł mi pęcherz płodowy, trafiłam do szpitala, zostałam zasypana pytaniami, czy „nie majstrowałam przy tej ciąży”.

Kobietę położono w szpitalu, lekarz oznajmił, że sytuacja jest na razie patowa, bo dziecko żyje, a im nie wolno go zabić. Podano ciężarnej antybiotyki i kazano czekać, aż... dziecko umrze. W międzyczasie odczyn zapalny pacjentki podskoczył. Lekarz poradził pacjentce, żeby pojechała do innego szpitala i skłamała, że była na zakupach i pękł jej pęcherz. Powiedział wprost, że jeszcze pięć lat temu lekarze

ratowali matkę, ale teraz, w obawie przed obrońcami życia, muszą poczekać, aż dziecko umrze i dopiero wtedy mogą ją ratować. O ile nie będzie za późno.

Kobieta czekała dziewięć dni. Ważyły się losy jej życia. Tymczasem jeden z lekarzy puścił jej na KTG bicie serca obumierającego płodu.

o o o

Najbardziej lubię bawić się na garażach. Wchodzę na dach i skaczę w dół. Kasia mi towarzyszy. Dachy garaży obite są czarną papką, w słońcu rozgrzewa się i pachnie specyficznie. Pełno tam gwoździ wystających i dziur, przez które można wpaść do wewnątrz. Obdzieram nogawki spodni, ryzykuję życie, ale czuję, że żyję, czuję spontaniczną radość, której mi potrzeba, a której mam tak mało.

Dziś z Kasią nudzimy się trochę. Garaże obskoczone, trzepak obwieszony. I nagle wpadam na nowy pomysł. Pójdziemy na Zatorze. Tam są stare mosty kolejowe, ogromne. Piętrzą się nad rzeką Łyną i dwoma pasmami drogi miejskiej łączącej Stare Miasto z dzielnicą koszarową miasta. Nie jest łatwo na niego się wspiąć. To naprawdę wielkie budowle, stare z dziewiętnastego wieku trójprzęsłowe mosty, z których widać przepiękną panoramę Olsztyna. I to właśnie teraz wpadło mi do głowy. Wdrapać się na jeden z mostów i zobaczyć panoramę miasta. Kasia oczywiście oponuje. Boi się, nie chce na tory, a co jak będzie pociąg jechał, a co jak spadniemy, a co, a co? Ja się nie boję, ja potrzebuję mocnych wrażeń, już wtedy mam ten głód. Chcę coś przekroczyć, przejść na drugą stronę, doświadczyć czegoś bolesnego, ostatecznego. Dlatego ciągnę tę biedną Kasię na tory, na podniebny most, pod pociąg, do rzeki, na ulicę. Gdziekolwiek, gdzie jest niebezpiecznie, strasznie, dramatycznie. Widział

pan ten rysunek? Odczuwam ciągłą potrzebę dramatu. To ja jestem na tym rysunku. Kiedyś zobaczyłam szczura wodnego w tej rzece, stałam jak zahipnotyzowana, przerażona, a jednocześnie zafascynowana, jak to musi być strasznie w tej rzece płynąć, gdy ociera się o ciebie taki szczur.

Tymczasem Kasia tłumaczy, naiwnie i uparcie wierząc, że do mnie jakiegokolwiek tłumaczenia mogą dotrzeć.

– Nie idźmy. Nie idźmy tam, Maryśka...

Nic do mnie nie dotrze. Ja już pędzę na oślep, ja już lecę jak ćma do ognia. Ona za mną. Idzie i marudzi. A ja z przodu. Idę i podskakuję. I tak sobie idziemy, piękna pogoda, świeci słońce, a my idziemy, dwoje dzieci wesoło idzie na śmierć.

o o o

Sanatorium dla pacjentów z zaburzeniami depresyjnymi, zwane także szpitalem uzdrowiskowym, położone jest w głębokim lesie, tuż za miejscowością Gołdap.

Budynek położony jest w pobliżu granicy rosyjskiej, na terenie Puszczy Rominckiej, znanej onegdaj z upodobań Hermana Göringa do polowań na jelenie. Tuż przed wojną puszcę przekształcono w łowiecki rewir, a po wybuchu wojny stała się ona miejscem spotkań Niemców i Rosjan w sprawie polskich jeńców wojennych. Na terenie lasów rozpoczęła się budowa bunkrów III Rzeszy, a po ataku Niemiec na ZSRR w tym miejscu powstała Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa Wojsk Lotniczych (Oberbefehlshaber der Luftwaffe Hauptquartier) oraz kompleks wojskowy o nazwie Robinson. I właśnie w tym kompleksie, a ściśle w jego części składającej się ze schronów przeciwlotniczych, powstało sanatorium. Dawne kasyno zamieniono w stołówkę, a duchy faszystowskich dygnitarzy mszczą się na polskich pacjentach szpitala przez tę wściekle wielką

i akustyczną, rezonującą opętańczo jadalnię, tłukąc po ścianach i sufitach trzaskiem talerzy i brzękiem widelców.

W sanatorium panują rygorystyczne zasady regulaminowe. Niektóre mogą dziwić. Na budynku i w jego pobliżu witają nowo przybyłych pacjentów osadzone wykrzyknikami komunikaty:

ZABRANIA SIĘ GŁASKANIA KOTÓW!

I owszem, w kompleksie kręci się cała masa potężnych, wykarmionych i pewnych siebie kotów, które z ostrzeżeń niewiele sobie robią, podchodzą bowiem do wychodzących na papierosa kuracjuszy i ocierają się o ich nogi wprost bezczelnie. Zresztą logiczne. Nie ma zakazu głaskania ludzi czy ocierania się o nich, jest jedynie zakaz odwrotny. Żaden więc zanurzony w smutku człowiek nie ma prawa pocieszać się miękkością sierści dostępnych wokół zwierząt, może jedynie liczyć na to, że jakieś zwierzę zlituje się i go pogłaszcze. Koty podobno mają zdolności terapeutyczne, są nie tylko wybitnymi psychiatrami, ale leczą złamania serc i skołatane nerwy. O ile wizyta u psychologa zalicza się do najdroższych fanaberii współczesnego świata, kot nie kosztuje nic, można go adoptować za darmo, a niejeden jeszcze dopłaci do interesu. Teresa to dawno zrozumiała, przygarnęła kota tuż po tym feralnym telefonie od Bożenki, która ostrzegła ją o rychłym zwolnieniu z pracy. Teresa pracowała w banku i, jak większość pacjentów szpitala w Gołdapi, z tej pracy wylądowała na zwolnieniu, potem na terapii, w końcu tutaj. Szpital psychiatryczny gościł pracowników banków różnego szczebla. Byli zatem zwykli pracownicy, tak zwani szeregowi, zajmujący się sprzedażą kart kredytowych i obsługą firm. Opowiadali, że w pracy był mobbing, nie mieli kiedy zjeść kanapki, szef ich rugał i nimi pomiatał, a na wszelkie sugestie, że na przykład starsza pani ma zaledwie rentę i nie będzie mogła spłacić kredytówki – otrzymywali radykalny rozkaz z góry zawarty mniej więcej

w takich słowach: „Banan na twarzy i dzida za ladę!”.

Bez dyskusji.

Ci pracownicy mieli jeszcze i tak dużo energii, zdarzało im się chcieć nawet wyskoczyć do pobliskiej Matrioszki na browar albo jeszcze lepiej: na kartacze z wódką. Ale leczyła się tu też była kadra kierownicza banków. Z kadry kierowniczej trudno było cokolwiek wycisnąć, oni już znaleźli się na poziomie dramatycznym, z trudem wstawali z łóżek, z trudem wychodzili z pokoi, z trudem poruszali się po zawiłych korytarzach szpitala. Przypominali pacjentów po lobotomii z filmu *Lot nad kukułczym gniazdem*, a ich pobyt w sanatorium albo dopiero rozpoczynał żmudną podróż po oddziałach psychiatrycznych, albo był kolejnym aktem desperackiego ratunku czegoś, co im jeszcze po korporacyjnym praniu mózgu pozostało. Nie nawiązywali kontaktu z innymi, unikali spojrzeń i rozmów. Bali się własnego cienia, a najbardziej bali się pytań z kategorii: zawód. Ich zawód to był największy zawód życia, coś, co kiedyś błysnęło nadzieją, a potem wysssało z nich krew, wyrwało wątrobę i serce, przemielilo na papkę i wyrzygało na bruk.

Teresa miała za sobą już jedno wyrzeganie siebie, wyrzygał ją bowiem balet, wyrzygał ją festiwalowo, natychmiast po kontuzji kostki, zanim jeszcze skończyła dwadzieścia pięć lat. A teraz przyjechała do szpitala, nie przyznając się za żadne skarby, jak bardzo czuje się znów wyrzygana. Wyrzygana brutalnie i co ważne: dyscyplinarnie przez potwora o tysiącu głowach, pod nazwą Bardzo Kolorowy i Przyjazny Bank Mini Ratka, Kredyt Zero Procent.

Ale jak ją ktoś spyta, mówi, że nadal tam pracuje. I na pewno nie jest z trzeciego piętra, z psycholi. Ma chore serce.

- Lubisz karty?
- Nienawidzę – odparła Maria.
- Dlaczego?
- Mam swoje powody.

- Ale ja mówię o kartach do wróżenia. Karty są różne, nie tylko do gry. I nie tylko tarot. Są też układy runiczne, anielskie, intuicyjne, tradycyjne i cygańskie. Ta moja wróżka stawia karty runiczne. Jest specjalistką w swoim fachu. Ukończyła Szkołę Doradztwa Życia w Gdańsku. Ja osobiście znam się tylko na chiromancji. I nie wierzyłam za bardzo, jak do niej szłam. Ta poprzednia, rok temu, stawiała tarota. I powiedziała, że wyjdę po raz drugi za mąż. Niedługo. Ale wiesz, nie powiedziała, kiedy. A ta, teraz, w sierpniu – że do końca roku.

- Tego roku?! – zapytała zdumiona Maria.

- Tak.

- Ale mamy wrzesień.

- No nie wiem, może zmyślała, ale ja jednak w to wierzę, bo od razu powiedziała, jaki jestem znak zodiaku. Mówi: pani się boi, ogląda.

- Na co się oglądasz?

- No tak w ogóle, wiesz. Na innych, wiecznie na innych. Pilnuję się, żeby dobrze wypaść, muszę trzymać się zasad.

- Jakich?

- Żeby na przykład nie zdradzić męża. Dlatego nie staram się nawet o tym myśleć, co mi powiedziała, staram się to odsuwać, bo nie wyobrażam sobie go skrzywdzić.

- To jak masz wyjść drugi raz za mąż?

- „Mężczyzna majątny, dobrze wykształcony, podróżuje” – zacytowała Teresa, nie zważając na pytanie Marii. – Powiedziała, że z nim wyjadę do ciepłych krajów i będziemy mieli dom nad morzem. Pasuje mi to. Zawsze chciałam mieć dom nad morzem. Trochę myślę, że to może być ten

Wacław.

– Jaki Wacław?!

– No przecież ci opowiadałam, ten od Lenina.

– Ale przecież on już opuścił szpital.

– No właśnie. Tęsknię za nim okropnie. To był prawdziwy facet z klasą. Wykształcony, widać, że majątny. Pasowaliśmy do siebie, jak mało kto. Widziałam jego samochód.

– Jaki ma samochód?

– Nie znam się na markach, po prostu widać, że drogi.

Ach. Spędziliśmy cudowne chwile, mieliśmy wspólne pasje...

– Tego Lenina?

– Nie Lenina, nie tylko Lenina, ale historię. Widać, że facet zna się na rzeczy, odczytany, znający języki.

– Mówiłaś, że tylko rosyjski.

– Jak zna rosyjski, to na pewno zna i angielski, i francuski. Ja się uczyłam francuskiego, ale już zapomniałam. Widziałaś ten teledysk?

Teresa łapie za pilot, robi głośniej telewizor i zaczyna tańczyć. Tańczy naprawdę dobrze, zupełnie nie wygląda wtedy na pięćdziesięciolatkę. Szczupła, elegancka, zasznurowana. Pełna wystudiowanego wdzięku, który nabyła jeszcze w dzieciństwie i który wciąż trzyma ją prosto. Maria przygląda się jej tańcowi, wyobraża sobie, jak wyglądała na scenie, zanim złamała ją kontuzja. Ile w niej życia, ile energii. Energii, którą codziennie spala na budowanie własnych iluzji.

– Nic mi nie jest – powtarza. – Niepotrzebnie tu siedzę. Nic mi nie jest, jestem zdrowa. Tylko niech tego chama, mojego dyrektora, z pracy wyrzucą. Wtedy już będzie OK. Wtedy wyzdrowieję całkowicie. Nawet leków mi już nie będzie trzeba. Zresztą, ja uważam, że ja w ogóle nie potrzebuję leków. Jedyne, czego mi tutaj brak, to facet. Podkreślam: tutaj! Bo w domu to ja mam męża. Nawet, jak widzisz: dwóch. Tylko tego drugiego jeszcze nie poznałam...

O, pomyślała Maria, skąd ja to znam? A więc to nie tylko dotyczy mężczyzn. Kobiety są jeszcze bardziej zainteresowane nieistniejącymi partnerami. Ludzie uwielbiają ludzi, których nie ma. Na przykład sąsiad Marii. Był utracjuszem i nicponiem. Otwierał drzwi kopniakiem i krzyczał: „Kto tu rządzi?!”. Był samozwańczym królem ulicy, królem wszystkich awanturników. Wściekle agresywny i zaczepny, jako młody człowiek trwonił niewielki dobytek rodziny pod budką z piwem. Z biegiem czasu jednak dorósł jego syn i w wieku lat szesnastu stanął w obronie matki, rozkwaszając ojcu nos na framudze drzwi wejściowych.

Spektakularna porażka samca alfa zwykle kończy się dla niego nędznie. Sąsiad utracił moc, skurczył się, złagodniał i z miejsca stał się pośmiewiskiem małżonki, dzieci i potem wnucząt. Głupi stary – przywarło doń jak imię, Dziad – jak nazwisko. Głupi stary dziadygo! – krzyczała jego córka na całą klatkę schodową. Za tym szły obelgi i oskarżenia. Ech, głupi stary – wzdychała pogardliwie żona, znacząco pokazując kuku na muniu, gdy tylko się pojawiał. I tak się skurczył, że mówił już tylko do siebie coś pod nosem, co nikogo nie obchodziło. W końcu umarł.

I stał się święty.

Nigdy nikt nie nazywał go dziadem. Nikt! Nigdy! Ani starym, ani głupim. Takie rzeczy nie miały miejsca. Teraz szpaler w czerni boleśnie zgina rozpacz. Na cmentarzu jeden szloch. Dramat. Tragedia. Umarł święty człowiek.

Postawiono mu pomnik. Chrystusa naturalnej wielkości.

Chrystus nie był zbyt wysoki, chociaż w jego pomnikach dawno już zatracono skalę. Miał łagodne usposobienie i skłonność do filozofii. Głosił miłosierdzie i pewnie nie miał takich wyskoków jak sąsiad. Ale podobnie jak on, został pokochany po śmierci. Męczeństwo dało mu splendor. To znaczy, niekoniecznie jemu, bo już nie żył, ale na pewno tym, którzy na jego śmierci zrobili kariery. I robią

do dziś. Bo potrzebna jest czyjaś śmierć. Czyż nie na tym opiera się kultura? Kultura zmienia historię, wypacza fakty. Ktoś zginął w katastrofie, będzie, że poległ w zamachu. Na żywego mówiono „Kartofel”, martwemu stawiają pomniki. Żonę mieszano z szambem, w trumnie stała się święta. Ofiarom oddają salwy, ocalałych lekceważąc. Nie ma się co dziwić w tym kraju. Tu super jest nie istnieć. Nieżyjący, w przeciwieństwie do żywych, mają masę przywilejów. Miłość. Uwagę. Chwałę. Nikt nie liczy pieniędzy, jakie pochłania ich niebycie. Przemowy, transmisje w mediach, miesięcznice, spotkania, zebrania, tablice, rzeźby, szarfy, pomniki, wieńce, ulice, osiedla. Szkoły! Ich imieniem ponazywane, im POŚWIĘCONE. Apele, publikacje, książki, traktaty. Filmy! Całe pokolenia nauki, kulturowe dziedzictwa! Wojny! Podboje! Rzezie!

Dla nieistniejących powstają idee i prawa. Nieistniejące dzieci decydują o życiu żywych. To ich, tych których nie ma, najbardziej kochają władze i kościoły. Im poświęca się wystawy, msze i wielkie pieniądze na niekończące się debatowanie na temat ich ochrony. Wszystko. Dopóki się nie urodzą.

A Bóg? Ktoś go widział? A jednak cała miłość tego świata, turbina napędzająca sens życia, poświęcona jest Jemu.

Teresa też żyje marzeniem o nieistniejącym mężczyźnie, nieistniejący mężczyźni mają wiele zalet, mają majątek, czas, kwiaty na zawołanie i pełne zrozumienie. Nieistniejący facet Teresy zabierze ją z tego małego miasteczka i wszystko będzie już w należyтым porządeczku. Ona się zna, zna się na ludziach, zna się na facetach, i wie, że niektórzy potrzebują czasu, żeby sforsować zamek.

– Niektórzy faceci lubią zdobywać drewniane chaty, raz-dwa i po sprawie. Ale są i tacy, którzy szturmują zamki. Już drugi raz mi stawiała te karty, najpierw tarot, potem te runiczne i zawsze wychodziła wieża. Nie wiem, do jakiego

rodzaju budowli ty należysz, bo ja należę do zamków – mówiła Marii.

I nie tylko Marii. Ciągłe przychodziły do ich pokoju nowe koleżanki i dowiadywały się prawd o sprawach damsko-męskich. O tym, że trzeba być zamkiem, że ona jest właśnie takim zamkiem. I dźwiga zamek od lat, od dziesiątek lat, czekając aż wreszcie jakiś odważny rycerz zdobędzie się na jego podbój. Strasznie ciężki ten zamek, ma mnóstwo komnat, w których są obrazy w bardzo ciężkich ramach, okropnie ciężkie meble i złocenia, zasłony na oknach z ołowiu i kraty. Zamek jest obwarowany fosą, wysokimi wieżami, z których ona posyła światu swój dumny wzrok. Dumy ją nauczyło życie.

Tatusz bardzo ją kochał, ale tylko wtedy, gdy był trzeźwy. A gdy wypił, był surowy, a nawet był okrutny, bo bił. Bił matkę i dzieci. Ją i braci. Kiedy jej najmłodszy brat miał dwa lata, rzucił nim o ścianę. Teresę katował w weekendy. A ona: same kości. Tańczyła od małego w balecie, szkoła baletowa to taki obóz koncentracyjny, wyjeżdżała do szkoły z internatem, przyjaźni tam nie uczyli, tylko rywalizacji do krwi, do kości, gdy palce i paznokcie u stóp pękały. I zero litości, zero czułości, zero zmiłuj, obóz koncentracyjny dla dzieci, z obozu na weekend do domu, a w domu tatuś.

Powiedziała o tym Marii jakoś tak szybko, na jednym wydechu, między tańcem, kawą, telefonem, książką i gadką o podrywach kuracjuszy. Maria zastygła z sękaczem w ręku, z szeroko otwartymi oczami, i siedziała tak aż do kolacji. Ale potem już nie było opowieści o ojcu, który wracał z morza zawalony jak bomba i rzucał niemowlakami o ścianę. Potem już nie chciała wracać do tych wspomnień, bo się strasznie bała, że popłacze się przy niej.

– Nie wolno mi płakać przy ludziach. Nie ma mowy! – Rzucała w siebie kamienne zasady i gdy już naprawdę nie mogła w tym betonowym gorsecie oddychać, chowała się do

łazienki. Raz.

Raz się zdarzyło. Kiedy Krysia jej przypomniała o jej pierwszym chłopcu, jej pierwszej miłości, którą dawno już pogrzebała w pamięci. Wszystko, co pierwsze, jej umierało. Dzieciństwo umarło. Młodość umarła. Kariera umarła. Przyjaźń umarła. Umarła miłość.

– Powiedziała jeszcze, że mam nad sobą boską protekcję – ciągnęła teraz opowieść o wróżce z Doradztwa Życia. – Mam podobno jakiegoś opiekuna w Niebie, on nade mną czuwa, dlatego ten mężczyzna pojawi się w moim życiu do końca roku i wtedy wreszcie dostanę to, co mi się należy, dostanę swój dom nad morzem.

I tańczy przy teledysku, obraca się, zgrabnie mijając odrapany szpitalny stolik, płasząc wokół zapadniętego tapczanu, na tle ścian pociągniętych skromną emulsją, ruchami dłoni prując uzdrowskowe powietrze. Tańczy mała, jasna, pięćdziesięcioletnia Tereska, czekająca na Wacława, z którym tak naprawdę zamieniła dwa zdania o Leninie na korytarzu, w drodze na zabieg. Nigdy więcej nic sobie nie powiedzieli, tylko te dwa zdania o dyktatorze, i jeszcze to, że on czytał *Dziela zebrane* po rosyjsku. I że jeśli ona chce, on jej wyśle na e-mail. A teraz już ma z nim wspólne pasje, wspólne plany, samochód i dom nad morzem. Tańczy więc, zapamiętała, przepięknie, z uśmiechem na ustach, zanurzona w iluzji. Tańczy, nie zdradzając cierpienia, małe, białe chuchro z krwią w atlasowych puentach.

OBDUKCJA

Miałam swoją tajemnicę. Nie, nie jedną. Miałam wiele tajemnic. Na przykład to, że spadając ze skarpy na Zatorzu – góra, dół, góra, dół, głowa, nogi – nie zdążyłam się niczego złapać i wpadłam pod koła pędzącego szosą samochodu. Facet zaczął hamować tuż przede mną, stracił panowanie nad kierownicą i odbił w stronę rzeki, uderzając w rachityczną bandę przy drodze. Nie wiem, co z nim było dalej, bo resztką sił – cała połamana, posiniaczona – zerwałam się i zaczęłam w panice uciekać w stronę budynków. Z tego stresu nic mnie nie bolało, chociaż potem nie mogłam się ruszać. Wybłagałam Kasię, żeby nikomu nic nie mówiła. Zwłaszcza mojej mamie. Bo moja mama mnie zabije. Dlatego potem przez tydzień z zaciśniętymi zębami wychodziłam do szkoły cała obolała i nic nie powiedziałam. Dopiero nauczycielka w szkole mnie złapała na przerwie i zaprowadziła do pielęgniarki szkolnej. Nic mi nie było, dzieciak jest jak kot, ma dziewięć żyć, więc po co komuś coś mówić? Pielęgniarka złapała się za głowę, myślała, że mnie ktoś pobił. Nikt jednak nie wiedział, że poszłam na tory, że sturlałam się z tej wielgachnej skarpy wprost na drogę i przeze mnie facet wjechał do rzeki. Bo gdyby to ktoś wiedział, a ściśle: gdyby wiedziała to moja

matka, to by mnie wcale nie pobiła, tylko po prostu zabiła. I nie byłoby dziewięciu żyć. A tak proszę pani, spadłam z garażowego dachu na własnym podwórku i koniec.

Żyję dalej.

Ale tej tajemnicy nikomu nie wyjawiałam. Wiedziałam, że absolutnie nie mogę, nie wolno mi, bo jeśli powiem, to zginę naprawdę. Złamane żebro czy pęknięty obojczyk to po prostu nic. Nic. Nie powiem. Nikomu. Nigdy.

Nawet księdzu.

Tym bardziej księdzu.

Boże, jak nie wyjawić księdzu, skoro to właśnie ksiądz na religii o tym ciągle mówi? Że to grzech największy, ciężki, tak ciężki jak morderstwo?! Niektóre dziewczyny się cięły, ja się onanizowałam. Stało się to moją obsesją, czynem zabronionym, z którego nie sposób się uwolnić, którego nie sposób zaakceptować. Nie umiałam tego nie robić, nie umiałam o tym zapomnieć, nie umiałam tego nie żałować. Napadało mnie kompulsywnie, w łazience, w łóżku, na podłodze. Napadało i brało w swoje sidła, zniewalało, kazało. Byłam coraz bardziej brudna, coraz bardziej grzeszna, coraz bardziej potępiona. Brzydziłam się sobie za to, brzydziłam się swojego ciała, z którego nie mogłam się uwolnić. Robiłam to tak, jakbym chciała samą siebie tym zniszczyć, a jednocześnie ucieleśnić. Taki paradoks w głowie – jestem, nie jestem. Nie chcę mieć ciała, jestem ciałem. Znów to robię, nie należę do siebie. Coś mną kieruję, to ja sobą kieruję. Nie wiem, nie mogę, nie umiem, nienawidzę. I doprowadzałam się na tej podłodze, w łazience, w wannie, w łóżku, gdziekolwiek, po kryjomu, żeby nikt nie widział, doprowadzałam się do dreszczu, do ekstazy piekielnej, za którą sekundę potem chciałam się zabić. Myślałam, zawsze wtedy myślałam, że JUŻ NIGDY. Nigdy więcej.

A potem znów do tego wracałam, jak pijak do monopolowego, tylko jedna mała flaszką, tylko piwo, tylko

kieliszek, tylko małe dotknięcie.

Ja rozdarta, rozdzielona na siebie czystą, w niebieskiej sukieneczce w białe groszki i ta druga, zła, brudna, odgoniona od tej drewnianej budy, od konfesjonatu, odgoniona w pizdu, na dno piekła!

Przepraszam.

Przepraszam, że mówię takie rzeczy, przepraszam, że przeklinam. Nie wiem, czemu ktoś mnie tak rozduwił, czemu mnie tak rozdarł. Byłam tylko małym dzieckiem, nic nie chciałam, nie chciałam wiele, chciałam tylko trochę miłości, ale nie dostałam nic, ani trochę, ani troszeczkę, ani tyci, tyci. To sama ja sobie próbowałam dać!

Ale to się nie udawało, bo ja się nigdy nie nauczyłam siebie kochać, skąd mogłabym wiedzieć, jak to zrobić, skąd miałam się nauczyć, jak kochać tak zepsutą, brzydką, obleśną i zbrukaną pokrakę jak ja?

Kto miał mnie tego nauczyć?

o o o

Siedzi sztywno, cała napięta, widać wręcz, jak drży. Na kolanach reklamówka z TESCO, w niej jakieś papiery poskładane na płask, chusteczki do nosa i grzebień. Zosia musi być uczesana, baczna, przygotowana. Ma skromne kolczyki w uszach i bardzo szeroko otwarte oczy. Uważnie przygląda się grupie, jakby chciała ich wszystkich ogarnąć, zadbać o nich, zatroszczyć się. Dzień wcześniej uspokajała na zajęciach Marię, która z niejasnych przyczyn wpadła w histerię i spazmatycznie się rozpłakała. Teraz obserwuje, kogo by tu pocieszyć, gniecie swoją reklamówkę, czasem wyśle lekko spłoszony wzrok w stronę prowadzącego, ale potem znów rozgląda się po pacjentach. Jest tu od czegoś. Ona zawsze jest od czegoś. Czeka jak owczarek niemiecki na

zadanie. Zadanie pojawia się samo, przywołane przez nią samą, gdy na pytanie prowadzącego: „Jak się państwo czują?” zapada krępująca cisza. Ona tej ciszy nie może znieść, czuje, że jest winna, że to przez nią ta cisza, ona ją musi wziąć na siebie i rozpruć natychmiast, żeby ta zagubiona grupa ludzi, a zwłaszcza ten, który zadał pytanie – żeby nikt, absolutnie nikt nigdy nie poczuł się źle.

– Ja się czuję bardzo dobrze – wypala i już nie może przestać mówić. – Ja tu się czuję bardzo dobrze, bo im dalej od domu, tym czuję się lepiej!

Wszyscy odwracają od niej wzrok i czują lekką niechęć do tej niemłodej już babki, która nie dość, że wkurwia swoim dobrym nastrojem, to jeszcze najwyraźniej szykuje się do jakiejś długiej, zaangażowanej opowieści, podczas gdy w dobrym tonie jest mieć wszystko w dupie, okazywać znudzenie, milczeć kamiennie i zawijać się w kłębek na fotelu. W dobrym tonie jest być niezadowolonym ze wszystkiego, z tego, co tutaj jest, z tego, że w ogóle tu się jest, z pogody, z jedzenia, z towarzystwa. Każdy jest senny, zmęczony, zniechęcony, samotny i w tej swojej samotności zatrzaśnięty. Każdy z ociąganiem zwłókł się dziś z łóżka, z niechęcią zjadł śniadanie, ze wstrętem zamienił z kimś „dzień dobry”. Każdy ma ochotę, ba! nawet nie ma ochoty, nikt tu nie ma na nic ochoty, ale po prostu to wybiera, wybiera milczenie, bo milczenie jest bezpieczne, bezpieczniejsze od rozmowy. Rozmowa to zasieki, pole minowe, krzaki i dżungla. Nigdy nie wiadomo, co ktoś powie, po co i jak długo. Ta ostatnia pułapka jest najgorsza. Bo, o ile mamy już w dupie, czy ktoś nas ocenia, czy się przypieprza i w ogóle po co się odzywa, to jednak lawina słów stanowi realne niebezpieczeństwo. Bo trzeba by SŁUCHAĆ. A to jest najtrudniejsze.

– Nie mogłam się doczekać, kiedy tu przyjadę – wyznaje z uśmiechem, ale nikt się nie uśmiecha. – Już raz byłam na

terapii i było wspaniale, wróciłam do domu taka ten... Cała się jakoś tak podniosłam, z tymi ludźmi, z koleżankami razem się śmiałyśmy, i one mnie tak, wiecie. Do góry. Ale potem...

– Co się stało potem? – zapytał prowadzący psycholog, na którego wszyscy mówili pan Adam.

Mimo jego zainteresowania grupa nadal była zatrzaśnięta, odwrócona, milcząca. Zosia jakby nie widziała ogólnej niechęci, żywo zareagowała na pytanie psychologa, wręcz podskoczyła na fotelu jak pilna uczennica, której zadano pytanie i która musi skwapliwie pospieszyć z odpowiedzią.

– Potem wróciłam i znowu wszystko opadło tak, że czułam się taka mała, bez sił.

– Ale dlaczego?

– Bo ja mam takiego męża... – patrzy na innych, a oni pomału, bardzo pomału, wręcz niezauważalnie podnoszą głowy. – Mój mąż jest... On pije i jest bardzo trudny.

Zosia nagle wpada w niepojętą wesołość, ale to trwa tylko małą chwilkę, po czym zaczyna płakać. A razem ze łzami wyrzuca z siebie pełne pretensji wyznania.

– On jest agresywny i w dodatku się znęca psychicznie, mówi, że ja mam chłopów, że jadę z chłopami się spotkać, a ja przecież... Jak tak można, ja mu przed wyjazdem zrobiłam obiady na trzy tygodnie, a on nic nie zjadł, tylko z tą panią w restauracji jadł! Bo on jakąś panią poznał, on ma cały czas jakieś panie. A teraz spotkał tą, co do restauracji go wyciąga. A ja co? A ja tu siedzę i lecę się psychicznie. Nie mam jak odejść, bo oni mówią w sądzie, że dostanę mieszkanie zastępcze na trzy miesiące, a co ja mam się wyprowadzać, jak on to wszystko?! A co potem? Ja mam siedemset złotych renty, gdzie ja się przeprowadzę? Dlaczego ja? To on pił i bił, synowie mogą potwierdzić, ale nie potwierdzą, bo to ojciec, oni tacy są, ja nic nie mówię, ale oni nic nie mówią, sąsiedzi też nic nie powiedzą, chociaż

widzieli, słyszeli. – Zosia teraz już płacze na całego.

Pacjenci już teraz bardziej zdecydowanie odwracają głowy od okien i sufitu. Ktoś się kręci na fotelu, ktoś chrząka. Kobiety są zainteresowane, mężczyźni sceptyczni.

– Jestem feministką – wypala Maria, wszyscy na nią patrzą. – Przeczytałam wiele w życiu na temat sytuacji kobiet w Polsce. Ale nie mogę tego słuchać...

Zapada bezradne milczenie, Maria natychmiast zaczyna żałować, że się wyrwała. Po co? Co jej słowa znaczyły? Co pomogły? Całe szczęście nikt tego nie komentuje. Ktoś z sali rzuca pytanie o obdukcję.

– Byłam na obdukcji, mam dokumentację taką grubą, ale co mi z tego?! Nieraz mnie nabił, a kiedyś jak mnie walnął, to poleciałam fru na kuchenkę i rozbiłam głowę, aż w szpitalu leżałam dwa tygodnie. A on z tymi paniami łąził. I co? Teraz ja mam opuścić mieszkanie? – Rozkłada się Zosia w drobny pył. Zupełnie już nie przypomina uśmiechniętej kobiety sprzed chwili, która czuje się „bardzo dobrze”.

– E tam – twierdzi starszy mężczyzna spod drzwi. Inni go popierają. – Trzeba się wziąć w garść. Poszukać prawnika.

– Za co? – pyta Zosia i zanosi się płaczem. – Za co, ja mam siedemset złotych świadczenia. Do pracy się nie nadaję, nie mogę nawet do ludzi wyjść! Biorę leki, dwa razy dziennie i na noc, i kurację w szpitalu, nawet tu nie powiem, co ja przechodzę. Nigdy go nie zdradziłam, a on z tą panią się spotyka i mówi wszystkim, że ja mam chłopów. Wyprowadziłam się do syna, bo on mi życie nie dawał, ciągle mi mówił, że ja tych chłopów mam i mówi do Marka. – Tu Zosia wykrzywia i tak już skrzywioną od płaczu twarz i stara się naśladować męża: – A ty wiesz, Marek, co matka tu wyprawia? Ile ona tu chłopów sprowadza? A ja przysięgam, żadnych chłopów! Przysięgam. – Płacze i bada wzrokiem, czy wszyscy jej wierzą.

– Dla mnie możesz mieć nawet setkę chłopów – odpala Maria. – Mnie nie musisz przysięgać. I tak jestem po twojej stronie.

Ale Zosi to nie przekonuje, i słusznie, bo Maria wcale nie jest po jej stronie. Ona tylko POWINNA być po jej stronie, bo się właśnie uniosła z tym całym feminizmem, ale przecież tak naprawdę wewnątrz wcale nie jest po stronie Zosi, która ją tak naprawdę wkurwia, zabiera czas, siąka nosem i wygląda jak siedem nieszczęść. To nic, że jest encyklopedycznym przypadkiem ofiary patriarchatu. Strasznie trudno jest polubić ofiarę. Maria to wie. Czuje to. I kłamie: jestem po twojej stronie. Zosia się nie poddaje, łapie innych za ręce i zarzeka się o swojej wierności do męża, który jest kanalią, pijakiem i ostatnim łachudrą.

– Jak się pani mąż nazywa? – pyta facet przy drzwiach.

– Kazik.

– Panie Adamie! – zwraca się do prowadzącego. – Czy możemy nie mówić o panu Kazimierzu bez jego obecności?

Zosia na te słowa kuli się na fotelu, wbija paznokcie w folię z TESCO, ugina ramiona pod niewidzialnym ciężarem. Ale psycholog nie przychyła się do prośby faceta spod drzwi i ten wychodzi z sali obrażony. Inni się ożywiają i mówią, jedno przez drugie. Zosia płacze i słucha, ale wciąż nie czuje się rozumiana. Mówią coś o mieszkaniu, o adwokacie, o tym, że może lepiej wyprowadzić się w diabły. Jakaś dziewczyna zaczyna też płakać, bo miała takiego ojca, a starsza babka z trwałą na głowie i głosem przepitym i przepalonym huczy, że to wszystko nie jest takie proste.

– To nie jest takie proste! Ja żyję z takim skurwysynem od lat, mieszkanie ścianką przedzielone! I co? Mogę sobie skoczyć, jak jest takie prawo w Polsce!

Mimo wszystko, dla mężczyzn sytuacja wydaje się prosta jak drut, wzruszają ramionami podczas wygłaszania złotych rad. Zosia trochę z nimi walczy, trochę się jednak poddaje,

jest jej trudno, więc zamienia się w małą dziewczynkę, która płacze i jest bezradna, choć bardzo by chciała pohasać z koleżankami w gumę. Właśnie po to tu przyjechała, daleko od domu, z dziewczynami, które ją wesprą, z panem psychologiem, który ją zrozumie, życie stanie się lepsze choć na chwilę.

Maria ma zamknięte oczy. Słucha tej historii, a pod powiekami widzi siebie. Swoje życie. Widzi młodą dziewczynę, która tuż po maturze rodzi pierwsze dziecko. Ucieka z domu, wychodzi za despotę. Jej mąż stawia warunki, szantażuje, zakazuje spotykać się z przyjaciółmi, z siostrą, potem z matką. Siada codziennie wieczorem do karcianej partii z kumplami albo znika na kilka dni „na ryby”. Potem wraca i wykręca jej ręce, rzuca nią o ścianę. Dziecko płacze. A ona? Przecież ona go strasznie kocha i czeka, aż on się zmieni, aż zmieni go pierwsze dziecko, które go nie zmienia, aż zmieni go drugie dziecko, które go nie zmienia, ale ona wciąż uparcie cementuje związek. Kurwa, ile poradników przeczytanych, ile programów na TVN obejrzanych, ile listów do „drogiej redakcji” – „Kobiety i Życia”, „Poradnika Domowego”, „Claudii”, „Twojego Stylu”, wreszcie „Elle” – napisanych. I żadnej zmiany, żadnej porady, rok za rokiem, lato za latem, on wraca, bierze ją brutalnie, a po trzydziestu sekundach zostawia samą na jej bezludnej wyspie, gdzie tylko czarny sufit zastępuje niebo – i zasypia.

Chrapie głośno. Coraz głośniej. Coraz ciężiej.

Coraz ciężiej znosić upokorzenia i te chwile, kiedy on nerwowo nie wytrzymuje i musi ją „przywołać do porządku”. Najgorsze są pytania znajomych, co ci się znowu stało, czemu masz siniaki na ramionach? Ale to tylko epizody, jej nie wolno spotykać się z koleżankami, tylko w pracy wrywa sobie chwilę na papierosa. Pracuje, taszczy nad ranem dzieci do przedszkola, urywa się przed szesnastą, żeby zdążyć

odebrać, potem leci na zakupy, siatki są takie ciężkie, życie jest takie ciężkie...

Nagle otwiera oczy, wizja znika. Nie ma żadnego męża, żadnych dzieci.

– Trzeba wziąć świadków! – dochodzi do niej basowy głos męczyzny spod ściany. Otwiera oczy i patrzy na faceta. Ma wydatny brzuch i coś tajemniczego w sobie. Nie wiadomo, czy jest fajny, czy wkurwiający, czy do rzeczy, czy burak. Siedzi w swetrze, robi wrażenie osoby, która się niby na czymś zna, ale też do końca nie wiadomo. Maria dziwi się, że Zosia patrzy na niego z zaciekawieniem. Dziwi się też, gdy Zosia pyta cicho, jak on się nazywa.

– Kazimierz.

– Och! – twarz Zosi się nagle rozpromienia. Zupełnie nieoczekiwanie wstaje z fotela, podchodzi do Kazimierza i obejmuje jego plecy czułym ruchem. – Musimy się trzymać razem, panie Kaziu! Wszystkie Kaziki to fajne chłopaki.

JEDNA OSOBA

Sala do terapii grupowej w gołdapskim sanatorium została urządzona w części starego bunkra. Mury były tak grube, że nie działała żadna komórka, nikt nie miał zasięgu, co może i dobrze. Na środku stał fotel dla psychologa, a wokół pod ścianami ustawiono dwanaście foteli dla kuracjuszy. Czyli na świrów z „psycho”. „Psycho” nazywano turnus chorych na depresję i takie tam świrstwa. Inni, z działu narządów ruchu, trochę się bali „psycho”. Teresa mówiła, że spotkała ich w windzie, jak z lękiem przekazywali sobie sensacyjną wiadomość, że w tym budynku są psychole. Teresa spokojnie wysłuchiwała rozmowy, a na koniec przyznała im rację, podkreślając, że jest tu z powodu choroby serca. Gdy jednak zapytali o szczegóły, bo przecież kto jak kto, ale staruszkowie doskonale znają się na wszelkich chorobach serca i układu krążenia, odparła: „to skomplikowane” i czym prędzej, bez wyjaśnień, wyrwała się z windy – co wprawilo grupkę staruszków w osłupienie i jeszcze większy lęk.

Na pierwszym czy drugim spotkaniu na terapii grupowej psycholog zaproponował ustalenie reguł i już pieprzněło. Kazimierzowi zupełnie nie spodobała się reguła: nie

oceniaamy, nie krytykujemy. Postulował o wykreślenie... „nie”. Resztę zgodził się zostawić. W tym samym momencie Maryśka podskoczyła z wściekłością i wywaliła salwę wprost w postulującego:

– Jeśli chcesz wiedzieć, najwyższa forma inteligencji polega na tym, że w rozmowie nieużywane są w ogóle żadne oceny. Wyraźnie nie jest ci po drodze z tego typu inteligencją! – Po czym naburmuszyła się i wymamrotała pod nosem, z czego ostatnie słowo mamrotnęła ciut za głośno: – Kurwa, oceniać się mu zachciewa. Dureń!

Psycholog wtedy nic nie powiedział. Inni, owszem, chcieli się z nią kłócić, ale taka ją wzięła wściekłość, że przez moment podkusiło ją, by czymś rzucić o ścianę. Fotele jednak były za ciężkie, jedyne lekkie krzesło zajmował prowadzący, więc głupio. Zagryzła wargi i jeszcze wyraźniej rzuciła pod nosem obelgę pod adresem Kazimierza. Wtedy ktoś się odezwał, że ona właśnie ocenia. Tak ją to rozjuszyło, że zaczęła krzyczeć coś o szpitalu dla wariatów, że ona się nie dziwi właściwie, co ich tu przygnało, że ona nie widzi dla nich szansy. A potem wybiegła, pobiegła do lasu, chwyciła pień drzewa i zaczęła krzyczeć. Krzyczała tak strasznie i długo, że zdarła sobie gardło i nie mogła potem mówić przez tydzień.

– Jest pani wściekła na jedną osobę – twierdził psycholog, a ona patrzyła na niego jak na kolejnego pacjenta sanatorium. – Chciałbym się dowiedzieć, na kogo.

Przecież ona jest wściekła na cały świat, na każdego po kolei człowieka, który za nią idzie, który przy niej stoi, który obok siedzi, który mówi, kaszle, mlaska, kicha i ciąga nosem. Który jest, zaznacza sobą swój nędzny kształt, przecina ciszę swym drażniącym głosem, zaburza przestrzeń swoją marną szarością. Gdy tak ją nosiło po ścianach, gdy tak nie mogła znieść śniadań, obiadów i kolacji, gdy nawet wrzask w lesie nie przynosił ulgi, poszła do psychiatrii

i zażądała czegoś na sen permanentny. Dostała receptę na jakiś środek nasenny, ale jakoś go nie wykupiła. Coś ją trzymało przed ostatecznością.

Dziś na terapii grupowej po raz kolejny rozprawiano o problemie Zosi. To znów denerwowało Marię, to się według niej stało dyżurnym tematem. Ta cholerna kobieta bezradność, ten efekt wielopokoleniowych amputacji mózgu, lobotomii ze względu na płęć. To kalectwo dziejów, ofiara własnej pokory – siedziała dziś znów z reklamówką z TESCO i wyprowadzała Marię z równowagi.

– Policja była, ile razy! – broniła się Zosia, na której ożywionej twarzy wysychały łzy.

Jej łzy w kółko lały się i wysychały na zmieniającej się, a to smutnej, a to nagle niepojęcie wesołej twarzy. Miała jakieś zaburzenia równowagi emocjonalnej, chwiejność totalną, której tak chętnie się nie rozumie i tak szybko ocenia. To jest prawdziwa ofiara, myślała Maryśka, prawdziwa ofiara systemu. Nie dość, że zbiera baty, to jeszcze nic kompletnie nie rozumie. Maria miała niejasne poczucie winy, że ta ofiara wciąż jest atakowana, że wciąż musi się tłumaczyć ze swojego tragicznego życia, że nie znajduje zrozumienia. Ale tak trudno było wyjść z pozycji oceniającego, tak trudno było stanąć po stronie Zosi, bo przecież po stronie ofiary nikt nie staje...

– Sąsiedzi widzieli, co się dzieje i dzieci widziały.

– A dzieci wziąć na świadków? – zapytał polubiony już przez Zosię, a znienawidzony przez Marię, Kazimierz.

– Nie chcą. Nic nie chcą mówić.

– A czego: nie chcą? Niech mówią!

– No jak nie chcą, to co im zrobić?

– Po mojemu powinny mówić. Widziały, przeżyły, powinny.

– A czemu powinny? – wtrąciła się do dyskusji Maria i z miejsca się zagotowała.

Ukradkiem chwyciła czujne spojrzenie psychologa i to ją doprowadziło do wewnętrznego szału. Teresa spojrzała na nią, jakby też coś w sobie zagotowała, ale dzięki jej głosowi zatrzymała dla siebie.

– Dlaczego niby powinny? Wiecie, jak to jest, kiedy dziecko jest zmuszone mówić coś złego o własnym rodzicu? Kiedy się ktoś nim posługuje, żeby pozafatwiać własne sprawy? To jest tak, jakby miały zabić jakąś część siebie. Bez względu na to, jaki jest ten rodzic, to jest jego część!

– Racja – przyznała Teresa. – Zostawcie te dzieci w spokoju. One już swoje przeżyły, dostały za nic, za to tylko, że ktoś je zechciał na ten świat sprowadzić. Myślałaś kiedyś o tym, Zosia? – Zosia wyprostowała się na fotelu, ścisnęła mocniej reklamówkę. Zdawało się, że już przyzwyczajona do ataków, tylko ich oczekiwała. – Myślałaś o tym, że to twoja wina? Że to twój wybór? Wybrałaś sobie takiego człowieka na ojca własnych dzieci i, mało tego, tkwiłaś z nim przez te wszystkie lata, narażając je na przemoc! To ty za to odpowiadasz!

Maria poczuła, jak jej wściekłość ustępuje czemuś dziwnemu. Nagle zalała ją fala wdzięczności do Teresy za te słowa. Coś się otworzyło i ulało w niej samej, kilka kropel z niewidzialnego, pękającego od ciśnienia kotła, i nagle wrząca do tej pory mieszanka wściekłości i żalu jakby się ostudziła. Poczła na sobie wzrok psychologa, ich oczy się skrzyżowały na moment i coś się między nimi wydarzyło, jakaś wymiana bezdźwięcznych słów, w stu procentach zrozumiałych, ale w żaden sposób niemożliwych do wyartykułowania.

To ty za to odpowiadasz...

Jest pani wściekła na jedną osobę...

Chciałbym się dowiedzieć...

Dowiedział się. Właśnie się dowiedział. Słowa Teresy docierały teraz do niej jak przez watę. Nagle stała się zbyt

zaabsorbowana tym, co się w niej zadziało. Po raz pierwszy w życiu Maria poczuła SIEBIE. Po raz pierwszy zajrzała do własnej głowy i dotknęła swoich uczuć. I ta odrobina spokoju, której w tym momencie zaznała, zdawała jej się morzem, oceanem nigdy dotąd niezazanego dobra.

– I teraz byś chciała, żeby oddały ci przysługę? Boże, jak mnie to wkurwia, że kobieta jest taką ofiarą, nic nie robi, żeby ochronić dzieci, a potem je obciąża, że mają złego ojca!
– krzyczała Teresa.

Ale Maria już nie czuła złości. Odcięła się, odpłynęła w swojej nagle zbudowanej kapsule odpływowej. Teresa wyrzucała Zosi wszystko po kolei: jej bierność, jej przyzwolenie na przemoc, przyrządzone przez nią obiady dla męża, jej zaangażowanie w jego romanse, jej uczestniczenie w tym niekończącym się tańcu kat – ofiara i jej egoistyczne pomysły o wykorzystaniu dzieci, by też do tego tańca je przyłączyć. Oddychała głośno i też jakby do siebie, jakby te słowa pełne złości, które wyrzucała, były jej bardzo bliskie, tak strasznie bliskie, że przyklejone do niej samej na stałe, na butapren, albo jeszcze lepiej: przybite gwoździami, które właśnie z bólem wyrwała z własnego serca, żeby wykrzyczeć żal do kogoś zupełnie innego, wcale nie do Zosi.

– Nigdy bym nic złego nie powiedziała na tatusia, w żadnym sądzie! Nigdy! Chociaż miał swoje za uszami. Ale bym nie mogła. Musiałabym sobie serce wyrwać chyba.

– To co ja mam zrobić? – wybuchła Zosia. – Całe życie się z nim męczyłam i teraz ja zła? Ja wszystkiemu winna? Jeszcze on mówi do wszystkich, że ja chłopów sprowadzam! Ja chłopów! Ja mu robię na trzy tygodnie jedzenia i ja zła?! Teraz „tatuś”? A jaki on był tatuś! On nawet nie wiedział, do jakiej szkoły chodzą! Z dzieckiem nigdy do lekarza ani na wywiadówkę, co ja mówię, kanapki nie zrobił, nic nie zrobił, nawet nie gadał, tylko za chabety i żeby mu z drogi zeszedli.

Teresa, cała czerwona od emocji, nagle ucichła. Siedziała

w fotelu, lekko się bujając. Odgięła szyję do tyłu. Oparła głowę o oparcie fotela, spojrzała gdzieś w górę. I nagle powiedziała, nie wiadomo do kogo, cicho i głucho:

– Ja się musiałam chować w pokoju.

Ta nagła zmiana tonu, te słowa zelektryzowały grupę. Wszyscy spojrzeli na nią, wyczekując trwali w milczeniu.

– Musiałam udawać, że mnie nie ma. Chciałam uciec. Chciałam, żeby mnie nie było.

Znów cisza. Długa, zbyt długa.

– Proszę o tym opowiedzieć – zachęca psycholog.

I Maria nie wytrzymuje, nagle zrywa się z fotela i wybiega z sali. W drzwiach wpada z impetem na jakiegoś faceta i to nie jest facet od sprawiedliwości dla nieobecnego Kazimierza. To jakiś mały, ogolony kark z bluzą narodową. Wzburzona Maria się wzdryga i odskakuje od niego z obrzydzeniem. Kurwa, warczy pod nosem i już biegnie, biegnie korytarzem ze łzami na policzkach, biegnie w kierunku wielkich drzwi wyjściowych, wybiega na aleję wśród wielkich sosen, biegnie na oślep w kierunku bramy, tam przecina skrzyżowanie, wbiega do lasu i krzyczy, krzyczy co sił w płucach, wydziera się bez opamiętania, utraty oddechu, do utraty głosu, do krwi w konającej krtani.

SZYBA

Pamiętam ten dzień, jak mnie stara do fryzjera zaprowadziła, a ja wtedy jeszcze nie nosiłem tysej pały. Jeszcze gówniak byłem. Jakoś się wtedy nie chciało mieć łba na zero, dzieckiem się było, wie pan, o co chodzi. Ja w ogóle miałem jakiś lęk z tymi włosami, bo ktoś mi kiedyś powiedział, że dzieciaki w poprawczaku tak mają, a mnie ciągle tym poprawczakiem straszyli, o byle gówno, zaraz, że do poprawczaka pójdę, nawet jak sąsiadce ktoś wyrzucił obierki z ziemniaków na wycieraczkę, to na mnie było. Oczywiście, kurwa, nie miałem co robić, tylko z tymi obierkami zapierdalać pod jej drzwi. To trzeba być pierdolniętym chyba. No, ale co zrobisz, już się łatka przykleiła i pozamiatane, kolego. Stara psychiczna, stary nie lepszy i co. Co zrobisz, jak nic nie zrobisz? Łobuz całym ryjem. No więc jak mnie ta pociągnęła pod kosiarę, to załamka, koniec, amen, story of my life. Myślałem, że serio, pod ziemię się zapadnę. Łzy tylko potajemnie otarłem i idę obok za rączkę z kochaną mamusią. Oj, kochana ona była, bardzo kochana!

A na drugi dzień do budy, dawaj! To jest dopiero ostra jazda. Idź do szkoły z łbem na zero, jak wszarz. Wszyscy na

ciebie się gapią, śmieją się, pokazują palcami i co zrobisz? No, co? Życie. Idę odważnie, głowa do góry, ja zawsze głowa do góry, ze mną nie ma problemu! No i patrzę, stoi Krzychu z kumplami. Patrzą na mnie wszyscy, kurwa, cała buda wybałusza gały, a ja proszę państwa, zakład karny zapisany w przepowiedni Nostradamusa. No i co się dzieje? Niech pan tylko posłucha. Krzychu do mnie podbiega, przecież to jeszcze gówniak był, chociaż taki duży, co, trzecia klasa? Czwarta? No i on podbiega, krzyczy, jeju, Witek, co ci zrobili! I w płacz!

W płacz!

Rozumie pan? Wielki to był dla mnie chłop! Z jajami!
I w płacz! Rozumie pan coś z tego?

– A pan?

– No ja... ja myślę, że on wiedział, co ja czuję. I popłakał się za mnie.

o o o

Ja nie mam tak, że nachlam się i ten. Ja zawsze na wesolo, zapytaj się kogo chcesz, niech pan zapyta. Ja nie zaczepiam, sam nie szukam zwady. Ja z takimi osobami nawet nie mogę pić. Ale, kurwa, jakby Rafała obok nie było, to ja pierdolę, ja bym chyba go zabił. Jakby mnie wkurwił w tym pokoju, a byłby balkon otwarty, to bym go wystawił za nogi i bym go tak trzymał poza balkonem, słowo daję. Nie lubię takich zachowań, bo wiesz. Ja umiem wypić, czemu nie. Ale wiem, że jak wypiję, ja nie chodzę, kurwa, po sanatorium, ja nie szukam zwady, bo mnie to niepotrzebne do niczego. Wódka jest dla mądrych ludzi. A ten siedzi potem na terapii grupowej i nic się nie odzywa. Jak on wiecznie na kacu i najebany, to się nie odzywa. A potem huczy i zaczepia! To co miałem zrobić? Rafał mówi dobrze, bo, mówi, nie fikaj do

niego, bo mu w końcu wpierdolę! Bo najebany idzie i mnie zaczepia. Nawet Krzysiek powiedział.

– Pan mówi o tym naszym Damianie?

– A o kim mam mówić? Idzie debil i mnie szturcha. To ja odstawiłem te piwo, Rafał mnie uspokaja, trzęsie dupą, ja mówię ty, weź, co mnie zaczepia. To ja mówię, chodź na dziedziniec, chodź, kurwa! Porozmawiamy se! Do tej pory nie przyszedł ani wyjaśnić, ani nic. A zaczęło się od tego, że jak chuj się zachował, jak mnie głowa bolała. Nałykałem się tych leków od psychiatry i leżałem. Każdy widział, że jest źle ze mną. A on zrobił imprezę i napierdalał w ścianę. To ja grzecznie do niego, ciszej bydlaku, bo ja nie piję tak jak ty, tylko chory leżę. Frajerze.

Słuchaj, wychodzę, on coś tam powiedział i słyszę śmiech. Wie pan, jak wyglądało drugie wejście? Niech pan idzie do dziewczyn i się zapyta z trzysta jedenaście. Jak w westernie. Jak zapierdoliłem z kopa w drzwi, to na roścież! Do niego lecę, Ewka stanęła obok przerażona, a ja już kopytem mu zawijam na łeb! Małgośka z boku czeka na rozwój sytuacji, a ten frajer do mnie mówi, Witek, ty się uspokój! Kurwa, nie mów mi, jak mam żyć! Mnie ojciec i matka nie mówili, a poza tym, nie jestem dla ciebie Witek, tylko Wiktor! A to jest różnica, bo ja Witek jestem dla przyjaciół, a nie dla pedałów! I lecę na niego, a Krzysiek mnie złapał, ja mówię, Krzysiek, ja sobie z nim poradzę! I do niego, frajerze jebany, nie masz pokoju swojego? Wypierdalaj!

Ale wiesz, wie pan, żeby to krzestem, a to specjalnie w ścianę łup, łup, napierdalał. Wie pan, o co chodzi. Krzysiek woła, uważaj, bo szybko potłuczysz, a będę patrzył, czy szyba cała. Łeb mnie boli jak sklep, nałykałem się tych leków, a ten rozwiesił pizdę. To poszła szyba. Szkoda mi tylko tego telefonu, bo już raz mi wymieniali. Ale mówię, nie wytrzymam psychicznie, a u mnie, jak nie wytrzymam psychicznie, to koniec, amen. Story of my life.

Żebym chociaż najebany był. Jakbym był najebany, to bym powiedział, chłopaki, pijecie? To ja biorę swoje piwo i się dołączam i pijemy. Ze mną nie ma problemu. A tak, jakbym mu zapierdolił, to bym go zabił. A Teresa, że ja mam problem z agresją. To chyba raczej on ma problem z agresją. To niech się, kurwa, leczy!

– Panie Wiktorze, musi pan zrozumieć, że gdy się pan denerwuje, to jest pana problem. To nie jest tak, że ktoś jest temu winny. Jak pana denerwują geje, to jest pana problem. Jak rozbije pan szybę, to nie przez kolegę, tylko przez siebie. To pan to robi i pan się swoją agresją krzywdzi.

– Jakie geje? Pedały chyba.

– A wie pan, że najczęściej agresja wobec homoseksualistów świadczy o własnych skłonnościach? Być może ma pan ukryte i niezdiagnozowane pragnienia, które chce pan wyprzeć agresją. Denerwuje pana to, co podobne w panu i w gejach.

– No chyba teraz, kurwa, wyjdę.

– Może pan wyjść. Ale może pan też postuchać, warto czasem otworzyć się na inną perspektywę.

– Ja się zaraz otworzę na inną perspektywę! To te kraty w oknach wylecą. Jak ktoś chce mieć coś w dupie, to niech lokówkę se wsadzi, a nie zaczepia normalnego człowieka.

– Ten motyw lokówki znów się powtarza, zdaje sobie pan z tego sprawę?

– Panie Adamie, niech pan mnie, delikatnie mówiąc, nie wkurwia, bo ja też mam swoją wytrzymałość. Przyszedłem się tu leczyć, a nie wkurwiać.

– Ale, jak już zaznaczyłem, to nie ja pana wkurwiam. To pan wkurwia się na mnie. A zawsze ma pan wybór. Może się pan nie wkurwiać.

– Jak to: nie wkurwia mnie pan?! To co pan robi?!

– Pomagam panu ograniczyć wydatki.

– Jakie wydatki?!

– Na kolejne potłuczone szyby i telefony.

PIERWSZE SAMOBÓJSTWO

Siedzę na tapczanie. Matka gdzieś się szykuje, chce wyjść, uciec, jak zwykle. W tym czasie ojciec jest w domu. Nie rozmawiają ze sobą. Nie przebywają nawet w jednym pokoju. Ojciec do mnie też się nie odzywa. Ani cześć, ani dzień dobry, nic. Ani słowa. Idzie do swojego pokoju, zamyka się tam na klucz. Ja też muszę pamiętać, żeby zamknąć swój pokój. Mama też się zamyka. Wszyscy się zamykamy w pokojach jak w więzieniu. Kiedy matka mnie zamyka i wychodzi, zostawia mi klucz. Ale teraz z jakiegoś powodu nie chce mi zostawić klucza. Przynosi nocnik. Nie mogę skorzystać z toalety, muszę załatwiać się do nocnika, choć mam już dziesięć lat.

Ten nocnik jest metalowy, z czasów, gdy byłam jeszcze małą. Zostaję więc w pokoju zamknięta od zewnątrz, sama z nocnikiem.

Zostaję zamknięta w pokoju, w swojej różowej celi.

Boję się. Nie mogę spać. Nie zapalam światła, żeby ojciec mnie nie widział. Oddycham jak najciszej, żeby mnie nie słyszał. Udaję, że mnie nie ma. Ale czy jestem?

Nie ma mnie.

Nie ma mnie w tym pokoju.

Nie ma mnie w ogóle.

*Nie istnieję. Czy mogę być lubiana, jeśli nie istnieję?
Zawsze to jakaś szansa na odrobinę miłości.*

Nie wiem, kiedy matka wróci. Bo przecież jeśli nie wróci, to ja tu umrę, bo przecież nie wyjdę, nigdy w życiu nie wyjdę z tego pokoju, nie mam klucza, nie mam nic, nie ma mnie. Może kiedy mnie znajdą, po długim czasie, wtedy już będę naprawdę tylko duchem? Może w ogóle nawet nie będzie tego mojego okropnego ciała, co się tak za mną ciągnie przez całe życie? Może zdążę już gnić, rozłożyć się, zostać zjedzona przez robaki i muchy?

Jeszcze siku mi się zachciało! Siku właśnie teraz, kiedy jestem zamknięta z tym upokarzającym nocnikiem z czasów niemowlęcych. Długo staram się wytrzymać, bardzo długo, zwijam się po podłodze, trzymając się za krocze. Myślę, czy to też grzech, czy teraz jestem równie plugawa, jak wtedy, gdy robię te „brzydkie rzeczy”? I myślę, że jestem jeszcze bardziej odrażająca, bo nie mogę już wytrzymać, wszystko mi puszcza mimo woli, ledwo zdążam zdjąć majtki, ledwo wytrzymuję, żeby nie zasikać podłogi, siadam na ten cholerny, metalowy nocnik i sikam, i co czuję?! Że to nie tylko siku mi się chce, że teraz już nie wytrzymam nic, bo to wszystko, co wytrzymałam do tej pory, puściło i już nie mam siły, nie mam, nie dam rady!

Poszło.

Siedzę zdrewniała przez chwilę na tym nocniku i zastanawiam się, co zrobić. Wreszcie wpadam na pomysł. Znajduję jakąś folię na zajęcia techniczne. Owijam ten nocnik folią. I przychodzi mi do głowy, żeby otworzyć okno i wyrzucić to na zewnątrz, ale ktoś zobaczy, ktoś przyjdzie na skargę i wtedy naprawdę zginę, naprawdę zjedzą mnie robaki, bo zupełnie już na serio matka mnie zabije.

Mija noc. Rano nie idę do szkoły, jestem nadal zamknięta, mama nadal nie przyszła. Jestem jakaś odrętwiała, jakbym przestała cokolwiek czuć. Wchodzę na parapet okna. Za

oknem tory. Na torach pracują więźniowie. Nie otwieram okna, tylko kładę się całym ciałem na parapecie, opieram się o szybę. Czuję, jaka jest zimna. I wtedy właśnie przychodzi ta myśl. Moja pierwsza myśl. Moje pierwsze samobójstwo.

Mnóstwo pytań. Czy jak otworzę okno i wyskoczę, ktoś mnie dostrzeże? Może podbiegnie? Może mnie pożałuje? Może za mną popłacze? Wyobrażam sobie, jak zbiega się tłum i widzę, jak płaczą i nie mogę uwierzyć, że tyle ludzi płacze, Jezu, jakie to szczęście, że tyle ludzi mnie żałuje! Co mówią? Niemal słyszę. Taka mała. Taka ładna! Ładna?! Ja ładna? Nikt tak nie powie, bo przecież jak ja wyglądam! Brzydka, wykrecona, połamana. W dodatku w piżamie, nieuczesana, z tymi włosami sterczącymi byle jak, z włosami, których nie ma?!

A więc muszę się ładnie ubrać, wyszykować, wyglądać – zanim skoczę. Chcę wyglądać jak martwa królowa Śnieżka, a nie jak połamany trup w piżamie. I nagle: olśnienie! Mama trzyma w szafie swoją kieckę ze ślubu. Schodzę z parapetu, idę do szafy, dotykam welonu ślubnego, śliskiego materiału ślubnej sukni. Tylko dotykam, bo nie wolno mi ruszać jej rzeczy.

To proste. Jeśli założę jej sukienkę, to mnie zabije. Ale nie zdąży, bo będę już martwa. Martwa i ładna. A jednak będzie zła. Okropnie zła, bo nie dość, że ruszałam jej rzeczy, to jeszcze uwaliałam w żwirze. I we krwi. Bo na pewno pojawi się jakaś krew. Uderzę głową w kamień i nic nie poradzę. Trzecie piętro to nie skarpa z trawą przy moście kolejowym. Może jestem mała, ale umiem ocenić rzeczywistość. Będzie krew. Sukienka poplamiona. Matka w furii. A ja leżę. Nikt mnie nie żałuje, wszyscy kręcą głowami: Boże, jak tak mogła, jak można rodzicom coś takiego zrobić. Gówno! Gówno w nocniku, smród na całą kamienicę. Nie, nie mogę na to pozwolić! Już widzę na własnym nagrobku. Niewdzięczna dziewczyna, rozgrzeszenia nie dostała, zniszczyła ślubną suknię i nasrała

w pokoju.

Świeć Panie nad jej duszą.

o o o

– Słuchaj – mówi Teresa do Krysi, która wróciła z domu z przepustki. – Słuchaj, jak ci coś powiem, to padniesz!

Maria leży zwinięta w kłębek na tapczanie i słyszy tę rozmowę, bo w słuchawkach skończyła się płyta. Od kilku dni bez przerwy słucha starej płyty, która napawa ją jedynym bezpiecznym uczuciem – rozpadającym się smutkiem. Płacze po cichu pod kołdrą, a potem zasypia. Gdy się budzi i słyszy ciszę, znów włącza w swojej komórce tę samą płytę i znów płacze, i znów zasypia. Tym razem jednak poczuła w sobie kompletną, totalną bezradność, taką, która uniemożliwiała kliknięcie w komórcie zapętlonej ikonki. Przez ciszę w słuchawkach słyszy więc rozmowę Teresy z Krysią i apatycznie rozważa ich słowa:

– Pojechałaś do domu z pomalowanymi paznokciami?

– No, coś ty! Teraz pomalowałam.

– A tamte zmyłaś?

– No jasne. Przecież by mnie zabił, idiota.

Znów wróciło wspomnienie, tamte dni, miesiące, lata ukradzione z jej życia, całe dzieciństwo i młodość pozbawione jej samej. Jakby ktoś pożyczył od niej ciało i duszę i siał w nich spustoszenie od pierwszych dni pojawienia się na świecie. Postać wypełniona pustką, bolesną, rozpadającą się na kawałki pustką, w której nie ma miejsca na nią samą, bo jej dawno już nie ma, nie ma i nie było. Zmyłaś paznokcie? Oczywiście, przecież by mnie zabił. Co za absurd, pomyślała. Krysia jest niemłoda, ma już pod pięćdziesiątkę, może nawet więcej – a jednak nie ma nic swojego, nie ma nawet paznokci. Gotuje obiady na

przepustce dla męża, na przepustce ze szpitala. Jedzie do niego nakarmić, przewinąć, ogarnąć, kurwa, a paznokcie musi zmywać, boby ją zabił. Jak to zabił? A jakby zabił, to co? Umarłby z głodu? Co za paradoks, dwa trupy w mieszkaniu, TVN Uwaga, żółto-czarna taśma wokół i spiker relacjonuje: „Nieprawdopodobna tragedia. Mąż zabija żonę z powodu manicure, nie ma kto ugotować mu obiadu, męzczyzna kona w straszliwych męczarniach”.

I nagle, po niemal tygodniu Maria się uśmiecha. A nawet zaczyna lekko chichotać pod kołdrą. Jesteśmy śmieszne, myśli. Jesteśmy śmieszne i żałosne z tą swoją łatwowiernością. Podobno ofiara ma największą władzę. Czemu po nią nie sięga? Czemu nie sięgamy po to, co nasze? Czemu Krysia od trzydziestu lat małżeństwa zmywa paznokcie przed wejściem do domu? Bo co? On ją zabije? Skoro tak, trzeba przed powrotem zadzwonić po policję. Albo kupić owczarka. Albo po prostu nie gotować obiadu?

Teraz już rozmawiają o czymś innym. Innym? Kobiety zawsze rozmawiają o tym samym. Kobięce pisma piszą o tym samym. Programy telewizyjne dla kobiet – o tym samym. Wciąż to samo najważniejsze, najciekawsze, najbardziej emocjonujące. Maryśka poczuła irytację. Jej nastrój od tygodnia wędrował od rozpacz po furię na przemian. Dziś jednak coś się przełamało, jej rozbawienie sprzed chwili zostawiło ziarno i mimo irytacji, pojawiło się coś jasnego, coś mobilizującego. Może jakaś chęć wbicia szpili, prychnięcia na tę babską paplaninę, jakaś forma szyderstwa po to tylko, aby przez moment poczuć się lepiej niż one, mniej babsko, mniej głupkowato? Kobięcość ciążyła jej, pęczniała, upokarzała, ściągała w dół, odmóżdżała, rozdrabniała. Maria potrzebowała się od niej odciąć jakąś złośliwością, wyraźnym sygnałem, że ona nie, ona nie wpisuje się w ich gdakanie, w ich idiotyczne miłostki, paznokietki, uległość, w tę drażniącą rozpulchnioną tkanekę, w ten napęczniały od

progesteronu, bezbronny matriks. Miała ochotę przeciąć to wszystko, wbić się szpikulcem żelaznej złośliwości w tę gąbkę kobiecości, zabić ją, zamordować, zasuszyć.

Nienawidziła tych rozmów o okresach, ciążach, porodach, pryszczach, proszkach, mężach, dzieciach, bólu podbrzusza, kaszce niemowlęcej, kaszce na twarzy, obrzmiałych piersiach, peemesach, przepisach na ciasto, obiadach, decoupage i zielonej herbacie.

I rzecz jasna, o facetach.

– Jeśli ktoś patrzy ci prosto w oczy dłużej niż sześć sekund, to znaczy, że chce cię zabić albo się z tobą przespać – trajkotała tymczasem Teresa. – A ten facet nie patrzył mi w oczy sześć sekund. On patrzy mi w oczy codziennie, trzy razy dziennie przy każdym posiłku na stołówce!

– No, coś ty, który?!

– Ten młody, siedzi po przekątnej, pod oknem. Taki na sportowo ubrany, krótko obcięty. Nie wiesz, który? Pokażę ci.

– Aha, aha...

– No więc przychodzę dziś na śniadanie, a wiesz, ja schodzę na śniadanie zawsze pico bello.

– No wiem, modnisia!

– Słuchaj, założyłam taką białą koszulę, delikatnie prześwitującą, a pod spodem czarny stanik!

– Żartujesz?! No, to odważnie.

– Pomyślałam: facet padnie.

– I co?

– No i gapił się, mało mnie nie zjadł razem z tą owsianką.

– Podszedł w końcu?

– Nie.

– I co teraz?

– No wiesz. Jest niewiele rozwiązań tej sytuacji. Albo chce mnie zabić, albo się ze mną przespać. Zobacz! – Zerwała się nagle z krzesła i stanęła przed Krysią na baczność. – Spójrz

na mnie. Czy uważasz, że jestem atrakcyjną kobietą?

– Ależ, Terenia. No oczywiście, że jesteś atrakcyjną kobietą!

– No więc? Chce się ze mną przespać – wyrokuje wreszcie. I dodaje, jakby jej wyrok mógł lec za moment w gruzach wątpliwości: – To pewne.

Krysia chichocze jak nastolatka, a Maria leży już z jawnie otwartymi oczami wbitymi w sufit, manifestując przy tym swoje bezkresne zdumienie głupotą koleżanek.

– Co?! – wykrzykuje nagle Teresa w kierunku Marii. – Co?!

Maria nie odpowiada, więc tamta rozkręca się w prowokacji.

– Co?! Co robisz oczy!? Dziwne?! Dziwne, że facet chce się przespać z kobietą?! Statystycznie rzecz biorąc, każdy młody mężczyzna chce się przespać z jakąś obcą kobietą! Moja kochana, może tobie się to nie zdarzyło, mnie owszem. Więcej! W życiu natknęłam się na tłumy młodych mężczyzn, którzy chcieli się przespać z obcą kobietą! Tak, sorry, nie będę owijać w bawełnę! W moim życiu spotkałam wielu młodych mężczyzn, którzy chcieli przespać się ze mną! Którzy uważają mnie za atrakcyjną kobietę!

– Ależ! – potwierdza potulnie Krysia.

– Pokażcie mi faceta, który nie może oderwać wzroku od kobiety, tylko dlatego, że coś tam. Nie ma mowy! Facet się gapi, bo chce WIADOMO CZEGO!? Chyba że na Maryśkę gapi się z jakiegoś innego powodu! Co? Maryśka, co!?

Maryśka wciąż leży z teatralnie wytrzeszczonymi oczami, ale teraz jeszcze podnosi powoli rękę, strzela z dłoni palcem w skroń.

– Ty się tam nie strzelaj, ty się tam nie strzelaj! – ostrzega ją Teresa bojowo. – Ty mi lepiej powiedz, w co mam się ubrać na obiad?

Krysia reaguje żywo:

– No, tak jest dobrze.

– Oszalałaś?! Byłam w tym na śniadaniu, to już opatrzone. Maryśka, co ja mam włożyć?

Maria wyrywa sobie poduszkę spod głowy i chowa się pod nią. Ale Teresa już zapomina o niej, już wywala walizkę na środek pokoju, już przewraca w niej ubrania.

– Wiesz, żebyś to widziała! Wchodzę, rozglądam się, jest. Siedzi przy stoliku i gapi się. I świdruje mnie wzrokiem, aż czuję w szpiku kostnym. Mój Boże! Oczy, słuchaj, jak oczy szaleńca, musisz to zobaczyć.

– Jaki kolor?

– A bo ja wiem? Stalowe chyba takie, niebieskie. To są, mówię ci, oczy psychopaty.

– Może jednak chce cię zabić. – Słysząc spod poduszki Marię i jest to pierwsze zdanie, które wypowiedziała od kilku dni. Teresa ripostuje od razu:

– Patrz ją! Niby leży w katatonii, a jak trzeba, to zawsze pysknie. Zazdrości! – Zaśmiewa się i dodaje: – Może i morderca, ale jaki przystojny! Umrzeć w takich rękach to rozkosz!

– Ja pierdolę – mruczy Maria i zawija się ciaśniej.

Coś w niej drga, niepokój, wspomnienie, jakieś znane uczucie. Za chwilę coś zrobi, coś strasznego, ale coś zrobi. Może się zerwie, wyjdzie ze swojego lochu i uderzy czymś w ścianę? Może pobiegnie do lasu wrzeszczeć? A może po prostu...

– Lepiej byś wylazła do ludzi, na dansing, zakręciła się, to najlepsze lekarstwo! Ciebie trzeba uczesać, umalować, do chłopaków wysłać, zaraz coś zaiskrzy. Od razu ci się poprawi i cała depresja minie – wykrzykuje Teresa i rzuca w Marię fatałaszkami, które według niej idealnie pasują do lokatorki i jak tylko zostaną na nią wciągnięte, z miejsca odegają wszelkie demony.

I Maryśka faktycznie się zrywa, pędzi do łazienki, odkręca

wodę, leje płyn do kąpieli, zapala świece, włącza muzykę i już, już chce włączyć się do wanny, gdy przypomina sobie, że ma gdzieś na dnie torebki resztki marihuany i lufkę. Wyskakuje w samych majtkach, biegnie przez pokój, łapie za torebkę, ale czuje na sobie wzrok obu pań, więc zatrzymuje się, odgarnia włosy przyklejone do czoła od kilkudniowego leżenia, odchrząkuje i wygłasza:

– Jeśli ktoś się na mnie gapi dłużej niż sześć sekund, to znaczy, że chce mnie zabić albo się ze mną przespać. Mam zadzwonić na policję?

A potem zatrząskuje się w łazience, wskakuje do wanny i łapczywie zaciąga się pierwszym buchem. Świat składa się w przytulną morską muszlę, dryfującą po ciepłych wodach kosmosu.

ZWIERZĘCA REAKCJA

Kobieta, której lekarz odmówił legalnej aborcji, przerywa milczenie i opowiada przed kamerą o swojej historii. Mimo stwierdzenia wad płodu, mianowicie wodogłowia, nierozwijającego się mózgu, braku części kości twarzoczaszki i daleko zaawansowanej deformacji, które według ustawy z 1993 roku pretendują do legalnego przerwania ciąży – lekarz powołał się na klauzulę sumienia i zmusił kobietę do urodzenia. Dziecko po dziesięciu dniach męczarni zmarło. Lekarz nie zaoferował żadnej pomocy.

Ten sam lekarz przed 1993 rokiem wykonywał setki zabiegów przerywania ciąży. Odpłatnie.

o o o

Strach jest jak narkotyk. Ja się uzależniłem najpierw od strachu, potem od fajek, potem od browaru, potem od marihuany, a potem od koksu. Jak się zorientowałem, że mam już dziecko, że mi się Zuzia urodziła, bo ja, wie pan... Wtedy miałem ochotę palnąć sobie w łeb. A potem też. Potem jeszcze bardziej. Bo jak się dowiedziałem z kolei, że ona jest chora...

Pamięta pan może ten przypadek... Z tym facetem, co

zostawił dziecko w samochodzie na upale?

– Tak.

– Nie wie pan, co z nim? Czy się pozbierał? Czy po czymś takim można się pozbierać?

– Nie wiem, czemu pan o to pyta, panie Wiktorze?

– Bo ja wtedy byłem na niego tak strasznie wściekły, życzyłem mu jak najgorzej. A teraz tak się czuję. Jakbym był zatrzaśnięty w rozpalonym samochodzie. I nie mogę oddychać ze strachu...

□ □ □

Zadanie pozornie było trudne. Albo nie. Pozornie było zawiłe. Zadanie pozornie było trudne i zawiłe. Ale tak naprawdę nic bardziej prostego jej dotąd nie spotkało. Nic tak pięknie prostego. Nic mniej ludzkiego.

To były zajęcia grupowe, których nie znosiła przecież. Wyszli na zewnątrz, w chłód wrześniowego poranka. Pan Adam kazał połączyć się w pary. Stała chwilę na środku, niezdecydowana i załęczniona. Spojrzała wokół, wszystkie dziewczyny miały już parę, tylko ona jedna stała jak głupia. Nie chciała z facetem za nic. Chociaż nawet jeszcze nie wiedziała, co ich czeka – za nic nie chciała tego robić z facetem. Poczowała się źle, niepewnie, a nawet strasznie. Zawsze w takich chwilach zdejmował ją przerażający lęk o to, co się stanie. Jakby miała utonąć, nigdy już nie wrócić do swej dawnej postaci, rozplątać się w tej niepewności.

Faceci też już mieli pary. Sam stał tylko ten kibic. Kurwa. Ale za moment zrozumiała, że jak nie przyłączy się do kibica, będzie jeszcze gorzej – za rękę ją weźmie psycholog i w tym momencie będzie totalnie w dupie. A ona nie chce być znowu w dupie. Ona ma już dość bycia w dupie. Cokolwiek by nie mówiła, jakkolwiek by nie chciała się

wieszać, topić, zabijać – nie chce być w dupie!

Podeszła do kibica, wzięła go za rękę.

– Maria – przedstawiła się.

– Wiktor – odpowiedział.

o o o

To była matematyczna kalkulacja. Intuicja jej po prostu nigdy nie zawiodła. Decyzje niezgodne z intuicją wiodły ją zawsze na manowce. Od dziś miała słuchać wyłącznie intuicji. Od rana tego dnia – od chwili, gdy podjęła decyzję o chronieniu samej siebie, od momentu, gdy przestała godzić się na krzywdzące kompromisy. Czy to jest ludzkie? Czy ludzkie jest słuchanie intuicji? Nie. Ludzie tego nie robią. Ludzie komplikują własne myślenie, uciekają od podszeptów podświadomości, liczą, mierzą, sprawdzają w horoskopach, w internecie, wszędzie, tylko nie w sobie. A w niej był ten szept, coś, co jej kazało podejść do niego i wziąć go za rękę. Wiele razy potem myślała, że miała przecież inne możliwości. Bo czemu niby nie mogłaby być w parze z Adamem? Przecież był całkiem przystojny i miły. A jednak nie. Podeszła do Wiktora, pozornie ostatniego człowieka na ziemi, z którym by chciała przeżywać terapeutyczne zadania. Kiedyś wpadła na niego na korytarzu, odskoczyła jak poparzona. A jednak. Jej reakcja była jakimś stereotypowym zachowaniem, zachowaniem intelektualnej mądrali, która stroni od takich typów jak on. To była zwierzęca reakcja. Albo nie. Zwierzęca intuicja dziś zaprowadziła ją do niego i kazała wziąć go za rękę.

Za rękę!

Od razu poczuła się lepiej.

Jego ręka była drobna, trochę jakby dziecięca. Chłopięca. Cały był drobny, mimo tych pozorów, jakie zdawał się czynić

specjalnie, żeby nieco „przykogucić”. Ta za duża bluza z orłem, ten chód, sposób bycia i głośne gadanie, żeby go było słyszeć z daleka. Nagle to wszystko przestało ją drażnić. Dziwne. Wystarczyło podać rękę.

– Maria.

– Wiktor.

Oczywiście, że wiedziała. Takie rzeczy się wie. Wie się od pierwszej chwili, od pierwszych trzydziestu sekund. Tylko że człowiek za żadne skarby się do tego nie przyznaje. Nie przyznaje się przed nikim i, co ważne: nie przyznaje się przed samym sobą. Woli przejść okrutnie skomplikowany proces oszukiwania siebie, podtrzymywania stereotypów i kopiowania kolejnych kalek z przeszłości. Nie daje mu to kompletne nic, ale z jakiegoś powodu to robi. Maria miała przed sobą wybór. I oczywiście, skorzystała z opcji: nie mam z tym nic wspólnego. Ten facet jest w szufladce z napisem POGARDA.

A teraz miał być jej przewodnikiem. Wziąć jej rękę i poprowadzić przez teren. A ona miała zamknąć oczy i „dać się ponieść”, jak określił Adam. Dać się ponieść! Czy ktoś, ktokolwiek na tym oddziale kiedykolwiek dał się ponieść? Może ktoś. Ale na pewno nie ona. Ona nie miała pojęcia, co oznacza: daj się ponieść. A to z tego prostego powodu, że ona do tej pory niosła wszystko sama. A już, sorry, na pewno nie może dać się ponieść jakiemuś facetowi ze złamanym zębem. Ale zamknęła oczy. Podała rękę.

I poniosło ją w diabły.

Jak ślepe, nowo narodzone zwierzę.

W pierwszej chwili poczuła lęk. Trwał jakieś półtorej sekundy. Minął niemal natychmiast. Potem zdziwienie. Skąd ten lęk w ogóle się wziął? Potem ciekawość. Głód poznania. Radość. Zachwyt. Wdzięczność. I jeszcze to coś, czego nie czuła nigdy. Nigdy nie czuła się tak czysto, tak w pełni, tak zwierzęco wręcz zaopiekowana.

Wiktor trzymał ją za rękę, drugą wsunął jej pod ramię. Dłonią, którą trzymał jej dłoń, pokazywał jej świat. Najpierw deszcz. Krople na liściach, zimne, mokre kamienie. Maria wzięła go w palce, rozmyśla. Był miękki. Pierwotny. Jak... jak kobieta, pomyślała od razu i w tym właśnie momencie zrozumiała, co oznacza intuicja. Kobieta jest deszczem. Kobieta jest wodą, rzeką, jeziorem. Ta miękkość, obfitość, życiodajność. Deszcz. Wiktor zaprowadził ją do wody. Do brzegu jeziora, przy którym włożył jej do ręki kamień. Kierując jej dłoń nad powierzchnię, ruchem ręki zasugerował, by go upuściła. Rozległ się plusk wody, a ona roześmiała się głośno. Boże! Co za przygoda. Nikt jej nigdy nie pokazywał tego wszystkiego. Ile ona go zna? Chwilę, pięć minut? I nagle pokazał jej wszystko. Cały świat. I to, czego tak naprawdę do tej pory nie znała. Kobiecość.

Pokazał ją innymi zmysłami, dotykiem, zapachem. Intuicją.

Deszcz! – wołało jej w głowie nowe odkrycie. Jestem deszczem! Nie jestem ciężką, rozdygotaną galaretą złożoną ze znienawidzonego ciała toczzonego progesteronem. Jestem deszczem. Jestem czarnym deszczem – krzyczała z radości, myśląc o swoich czarnych włosach. I złapała się na tym, że oto łączy swoje powierzchniowe kawałki z tą piękną ideą, że jej dusza zlewa się z ciałem. Szła teraz, stawiając kroki o wiele mocniej, o wiele śmieiej. Poczowała się piękna, ważna, potrzebna. Zaopiekowana.

Jej ciekawość rosła, rosła też euforia, że poznaje to wszystko, że to takie piękne. Poczwała nagle łyzy na policzkach. Przełknęła ślinę, gdy Wiktor skierował jej dłoń w górę, by dotknęła jakiejś twardej od spodu, a jednak pokrytej czymś miękkim – mchem? – powierzchni. Daszek! To był daszek na budynku, którego tynk właśnie poczuła pod palcami. Ruchem dłoni przesunęła po chropowatej powierzchni. Przeszli kilka kroków, minęli krzaki, zarośla

w deszczu, drogę wśród traw. Widziała wszystko oczami Wiktora, który też nic nie mówił, tylko po cichu pokazywał jej zapach, dotyk, ufność, jakiej nigdy dotąd nie czuła. Ufność. Tak, to było to słowo. To był taki stan, kiedy wiadomo, że ta druga osoba obok ciebie nie pozwoli cię skrzywdzić. Coś zupełnie nowego.

Nagle prowadzący kazał im się zamienić. Przestraszyła się, czy będzie potrafiła tak jak on. Tak dobrze, tak czule, z taką nienarzucającą precyzją, bez najmniejszej presji, bez napięcia – tak pokazywać świat. I znów lęk, stres przez sekundę. Bo za chwilę czuje już ulgę, siłę i jakąś zwierzęcą pewność, że da radę. Wiktor ulega jej krokom, jej prowadzeniu. Teraz on jest partnerką, ich płcie się mieszają, ich role się zatracają. On jest teraz nią, jej częścią. Podchodzą do krzaka dzikiej róży, Maria kieruje jego dłoń ku owocom. Wiktor wyczuwa kulkę, obraca w dłoni, uśmiecha się. Jego białe zęby szpeci nieco ułamany fragment z przodu, ale Maria i tak dostrzega tylko jego uśmiech. Chce jej się chichotać, podskoczyć jak dziecko. Czuje się oderwana od myśli, od tych wszystkich swoich zasad, rozważań, postanowień, przeszłości. Ta chwila trwa jeszcze trzydzieści sekund, dopóki trener nie każe im zakończyć zadania.

Potem znów stoją obok siebie w oddaleniu, znów takie zwykłe, szare, zagubione ludzkie istoty.

o o o

Najgorsze, że na terapii grupowej przyłgnęła do Wiktora łatka gejowska. Wszystko przez to, że wtedy wybił szybę i nabluzgał na pedałów. I teraz za każdym razem coś. Za każdym razem. Niby śmichy-chichy, ale Witek trochę się wkurza. Trochę się buntuje. Ale jakby coraz mniej. Jakby

robiło mu się to takie zwykłe, normalne, wcale nieoburzające. A co ciekawe, im więcej się o tym gada, tym bardziej, wyraźniej jest lubiany. Trudno to pojąć, ale tak jest. Na przykład ta Maryśka. Przez tydzień nie wychodziła z pokoju, aż wreszcie przyszła sama do niego i Krzycha. Zapukała, zapytała, czy może się z nimi napić piwa. Usiadła obok Krzycha, ale wciąż wodziła wzrokiem za niespokojnym Wiktorem, który biegał po pokoju i starał się wypełniać jak najlepiej obowiązki gospodarza.

– Nie przejmuj się, stara, żadnym obchodem! – paplał, gdy Maryśka spojrzała na zegarek. – Siądziesz tu za ścianą, a my powiemy, że wszystko w porządku i gra gitara! One cię nie zobaczą przecież, jak ty za ścianą siedzisz. Co nie, Krzysiek? Spytaj Krzyśka, jak nie wierzysz. Zresztą sama zobacz! Zobacz, ja tu siedzę, a ty weź stań tam przy drzwiach i weź zapytaj: „Wszystko w porządku?”. I ja ci odpowiem: „Nie, proszę pani, jest na maksa nie w porządku, bo u nas siedzi taka laska z trzysta dziewiętnaście i dupę zawraca!”. Nie, sorry, żartuję! Siedź z nami, coś ty. Ja ci tu nie dam krzywdy zrobić...

Maria wciąż go obserwowała, jak zahipnotyzowana, nie mogła wprost oderwać wzroku. A Wiktor gadał jak najęty, wypełniał ciszę co do decybeli tym swoim charakterystycznym słowotokiem. Był tu jednym z nielicznych, którzy tak chętnie mówią. Maryśka złapała się na tym, że lubi słuchać tego strumienia świadomości. Było w tym coś zarówno zabawnego, jak i głęboko skrytego, przerażająco tragicznego. Coś, co chciało się odkryć, dotknąć. A przecież to był człowiek z innego świata, z tej krawędzi, której ona nigdy nie przekroczy. Jeszcze niedawno była taka wściekła, taka wściekła na świat złożony z tępych ludzi, narodowców z orłami i bez mózgu. Chciała ich wszystkich wysłać na inną planetę w tej swojej złości i niezgodzie na nietolerancję, na ocenianie, na brak

rozumienia, że sama przepełniła się nietolerancją, potrzebą ocen, niezrozumieniem.

A on? On pomyślał: walnięta feministka. Słowa z nią nie zamienię. A potem mijali się w milczeniu, patrząc na siebie spod brwi z rosnącą ciekawością i ustępującą niechęcią. Ona prychała pogardliwie, że faceci mają tylko jeden organ, bo nic bardziej skomplikowanego niż skojarzenia z „drażkiem”, „kijem” na ćwiczeniach im do głowy nie przychodzi. On wzruszał ramionami obojętnie.

A teraz siedzą razem i piją piwo.

– Tak się tylko wydaje, że on taki wesoły – szepcze jej do ucha Krzychu podczas nieustannego monologu Wiktora. – Zasypia z płaczem, budzi się w nocy i krzyczy.

– Boże... – mówi bezgłośnie Maryśka i odwraca głowę w stronę Krzycha. – Co mu się stało?

– Coś bardzo złego – odpowiada Krzychu. – Ale nie wiem, co.

Maria podchodzi do wewnętrznego telefonu szpitalnego, wybiera numer swojego pokoju. Teresa podnosi słuchawkę.

– Pogotowie psychiatryczne, słucham? – mówi aktorsko poważnym głosem, a Maria równie poważnie odpowiada:

– Będę później, jestem u chłopaków.

– Jakich chłopaków?! – ożywia się Teresa, ale za chwilę pojmuję, słysząc w oddali paplaninę Wiktora. – Dobrze, powiem na obchodzie, że wszystko w porządku.

– Jakby co, jestem w łazience.

– Cieszę się, że wreszcie wstałaś z łóżka. Baw się dobrze.

A Wiktor rozprawia teraz o głośnikach na Bluetooth, o zapachu piwa Perła, o marihuanie, którą kiedyś palił, o jakimś gostku, tym razem z pierwszego piętra, który go wkurwia, i o psychologu, który zrobił z niego geja i trochę się nawet z tego zaczyna śmiać, i o Krzychu, o Jagiellonii i o karaoke. Tego jest tyle, że Maria nawet nie słucha, traktuje jak muzykę, jakiś rodzaj rapu, który o dziwo,

w ogóle jej nie przeszkadza. Tak, Wiktor rapuje, czasem nawet słowa składają mu się w rym, zupełnie przypadkowy rym, ale pasujący jak klocki Lego, jedno słowo z drugim, przekleństwa wymieszane z nowomową, wszystko to takie niegroźne, trochę głupie, a trochę zabawne. Maria przypomina sobie o ludziach, którzy nie istnieją, i myśli, że akurat Wiktor istnieje i to bardzo istnieje, a jednak dała radę go polubić, przynajmniej tak jej się wydaje...

Wiktor nagle przypomina o testach, jakie pisali na początku kuracji. Wymieniali się doświadczeniami po odpowiedziach na pięćset pytań, pukali się w głowę, że obłąd, że bzdura, po co to komu?

– A idźcie w chuj z tymi testami, spościłem się jak szczur, pięćset pytań, pojechało ich chyba, ja tam napisałem na chybił trafił, nie Krzychu? Wiesz, o co chodzi, łeb ci się lasuje, trzy godziny bez fajki, a ty pisz, jak ten pojeb umysłowo chory. Ja to pierdolę, co tam wyjdzie, jutro te wyniki, co?

– No.

– No nic, jakoś to dźwignę, chyba że nie dźwignę...

I nagle Maria pojmuje, że właściwie nie musi słyszeć, co Wiktor mówi. Ona i tak wszystko wie. On jest w głębokiej depresji, bo przeżył jakąś tragedię. I tak strasznie się boi, że nie da rady, że mu się nie uda wyleczyć, że w tej panice chce ją zagadać. Chce ją wygnać z siebie tym mówieniem, tym wypełnieniem ciszy, tym bieganiem, tą nadaktywnością, chce ją wyprzeć, nie dać jej miejsca. Bo im więcej będzie mówił, im bardziej będzie się nerwowo śmiał, im mocniej będzie przeklinał, im wyżej będzie podskakiwał, tym mniej będzie miejsca dla wilka.

Ale wilk i tak przychodzi. Podstępnie, w nocy, podczas snu, kiedy jest cisza i milczenie. Łapie go za gardło i dusi, tak samo, jak dusił Marię.

I znów coś się wydarzyło dziwnego. Znów coś, czego

wcześniej nie było. Ta fala dobra, akceptacji dla swojego uczucia, głębokiego zrozumienia siebie i... dla niego. Tego ogolonego na łyso kretyna z orłem na piersi i bez zęba. Tego samego, którego chciała z początku omijać, nie znać. Poczwała do niego coś w rodzaju współczucia, ale nie takiego współczucia z góry, tylko bardziej współodczuwania. Ja też tak mam, chciała mu powiedzieć, ale czwała, że nie musi. Po prostu wystarczy, że tak jest. Że jest między nimi empatia. I gdy nazajutrz usłyszała na schodach dialog Wiktora z Krzyśkiem, uśmiechnęła się do siebie.

– Krzychu, masz te wyniki testu psychologicznego? Jak on tam... MM... Mdm?

– MMPI.

– I co?

– Nic, ale widziałem twoje.

– Tak, i co mi wyszło?

– No to, że jesteś kryptogejem.

Wiktor zaśmiał się głośno i zupełnie naturalnie. Może nie oswoimy wilka, pomyślała, ale na pewno jakieś małe wilczę tak.

o o o

Mama mojej mamy umarła, gdy mama była dzieckiem. Znam ją tylko z opowiadań. Była ze wschodu, spod Wilna. To tu niedaleko stąd, prawda?

Czemu zmarła? To proste. Zaorwała się na śmierć. Zarobiła się, zakobiecila. Wie pan, co to znaczy? To znaczy siedmioro dzieci i mąż pijak. Mam coś więcej opowiadać? Wie pan, kto odpowiada za życie na tym świecie? Kobiety. Cicho i pokornie toczą pokolenie za pokoleniem do przodu. A faceci przypinają sobie medale. Kobiety rodzą ludzi, mężczyźni ich zabijają na wojnie.

No więc mama oporządziła najpierw młodsze rodzeństwo, potem dzieci starszych sióstr, potem swoje i padła na głowę. Proste. Myślę, że moja mama nie dostała miłości, bo nie było kiedy. Ani miłości, ani zainteresowania. Odsyłana od jednej siostry do drugiej, by dały parę groszy na zeszyty, bo ojciec był tak skąpy, że nie dał ani grosza.

Mówię tak, bo chcę zrozumieć, dlaczego była taka. Dlaczego nie kochała mnie. Może dlatego, że nikt jej nie nauczył kochać? Jak można nauczyć kochać, jeśli umierasz z poświęcenia?

Nie, nie mam dzieci. Wie pan, czemu? Ze strachu. Ze strachu, że się zaoram jak moja babcia, jak moja matka. Bo to jest silniejsze niż poglądy, niż przekonania, niż cały ten feminizm. Teresa mówi, że coś się stanie. Coś, jakiś bunt. Nie wiem, jeszcze nie wiem, ale też to czuję. Nawet tu, w sanatorium, daleko od życia, polityki, telewizji, od rodziny. Wiem to. Kobiety powiedzą: dość.

o o o

Każdy kolejny dzień był jakby napinaniem cięciwy. Z każdej strony czuło się znaki, symbole, bunt. Coraz częściej działo się „coś dziwnego”, coś zupełnie innego niż do tej pory. Coraz bardziej przedzierała się jakaś siła, obudzone zwierzę, dzikie jestestwo. Każda kolejna terapia odkrywała jakąś potworną krzywdę kolejnej kobiety. Każda krzywda kobiety odkrywała kolejną tragedię mężczyzny. Coś się działo, coś się gotowało, coś miało pęknąć. Sanatorium było odcięte od informacji, ale przecież każdy miał komórkę, a kto chciał, mógł mieć też telewizję. Nastroje w ich terapeutycznym bunkrze synchronizowały się z pomrukiem bestii dużych miast, tak jakby coś przenikało przez ściany.

Któregoś dnia Marii przyśnił się sen. To był bardzo długi

i poplątany sen, ale tak wyraźny i tak mocny, że zaraz po obudzeniu postanowiła go opisać. A potem zapytała prowadzącego, czy może go przeczytać na głos. Psycholog powiedział, że dziś nie ma czasu. Nie było czasu również nazajutrz. Ani dwa dni później. Wkrótce wrzuciła go do szuflady i zapomniała.

Ale on był.

Przyśnił się.

I nigdy nie zniknął.

o o o

– Podobno mają całkowicie zakazać aborcji – wypaliła Teresa, czytając coś w komórce, gdy Maryśka wróciła z terapii indywidualnej. W szpitalu codziennie były sesje terapeutyczne w grupach i raz w tygodniu – indywidualnie. Był też relaks z tym samym psychologiem, ten sam relaks, na którym Maria wpadła w histerię i trzeba było przerwać zajęcia. Teraz stanęła w drzwiach jak wryta, słysząc w głowie niewypowiedziane jeszcze, własne słowa: czuję, że coś się stanie.

– Przecież jest zakazana.

– Całkowicie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, kochana, że jak cię zgwałcą, to masz rodzić.

Nie mówiąc już o tym całym przypadku ze szpitala Świętej Rodziny. Słyszałaś o tym? Kobieta musiała rodzić dziecko zupełnie zdeformowane.

– Tak, słyszałam...

– No więc teraz to będzie norma. Taki projekt został złożony do Sejmu przez obrońców Życia.

– Czekał, co ty mówisz? Przecież to już się dzieje.

– Co się dzieje?

– No przecież... – Chciała wyjaśnić, że przecież to się ciągle dzieje, ale wołała jednak tego nie mówić, nie wiedziała czemu, wołała zwalić to na przyszłość, na przyszłość, w której będzie można coś jeszcze zrobić, skoro do tej pory nie zrobiły nic. – I co teraz?

– Teraz będzie wojna – wyjaśniła jej Teresa i przeczytała w komórce komunikat Obrońców Życia. Po czym wzruszyła ramionami i dodała: – Święta wojna. Dla mnie to wiesz... Ja już mam swoje lata, ale ty... – zawiesiła głos i spojrzała z jakimś dziwnym wyrzutem w stronę Maryśki. – Ale ty twierdzisz, że jesteś feministką. Pomyślałam, że to cię może zainteresować.

Kurwa, pewnie. Wszystko na jej głowie teraz! Słowo „feministka” ją denerwuje, czuje się jak w szkole, gdy nauczycielka wywoływała ją do tablicy po nazwisku. Było w tym coś strasznie irytującego, mimo że przecież to jej nazwisko. I teraz wyczuła coś w głosie Teresy, coś zaczepnego, prowokującego, a może nawet pogardliwego. Miała ochotę coś odpysknąć, ale zupełnie nie wiedziała, co. Nie da się nie powiedzieć, nie da się przemilczeć, ona nie umie przemilczeć, ale nie umie też powiedzieć. Ma problem z zachowaniem spokoju, łatwo kopie i się rzuca, więc teraz, gdy słyszy te słowa, ma naprawdę ochotę być niebezpieczna, chciałaby zrobić coś bardzo złego. Kilka dni temu rozmawiała z pielęgniarką, podobno coraz więcej chorych na głowę trafia do kliniki, choć na początku to było tabu. Teraz też jest tabu, myśli, słuchając Teresy. Tabu to choroba tego kraju. Choroba, która toczy wszystkich, absolutnie wszystkich, nie tylko ją i Teresę, nie tylko staruszków z windy, ale cały ten kraj, calusieńki.

Ogromne tabu, feminizm. Tabu, kurwa. Równouprawnienie. Podejmowanie decyzji o sobie samej. Tabu. Jak dzuma jakaś, przekleństwo odwieczne, od średniowiecza do dziś. Niewola myśli. Poddaństwo.

– Nie ma żadnej obrony życia – powiedziała głośno. – To jest pogarda wobec życia. Nikogo nie obchodzą dzieci narodzone. Nikogo nie obchodzi zgwałcona nastolatka. Wiem coś o tym.

Zapadło milczenie. W tym milczeniu było coś złego, bardzo złego. Nie to, że niepokój czy niepewność. To był wielki, potężny lęk przed kolejnymi słowami. Panika, że zaraz pokój wypełni jakieś wyznanie z ołowiu, zielony dym trującej prawdy. I że zarówno słuchająca, jak i mówiąca tej prawdy nie udźwignie. Bo taka prawda, takie wyznanie nie ma prawa brzmieć. Jak tabu.

Maria przełknęła tę ciszę, pokornie chyląc się przed własnym i Teresy lękiem. Ale w środku tłukła się w niej niezgoda na tabu, więc wypuściła zdławioną energię pełną złości tyradą:

– Wiesz co? W latach sześćdziesiątych przeprowadzono pięćset tysięcy skrobanek! Wiedziałaś o tym?! Podobnie w kolejnych dziesięcioleciach. To daje co najmniej milion winnych aborcji! Pomnóżmy to przez ten okres, kiedy aborcja była legalna. Otaczają nas ludzie, którzy są za to odpowiedzialni. Ci sami, którzy chcą jej całkowicie zakazać! – Wzięła oddech, żeby się uspokoić, ale spokój nie przyszedł. Spojrzała na Teresę i podniosła głos: – Kurwa, zrobią z nas niewolnice, a my będziemy siedzieć tu i oglądać teledyski! Słyszysz mnie?!

Teresa oderwała wzrok od telewizora i przeszyła Marię kategorię spojrzeniem.

– Jesteś dobra w wygłaszaniu regułek, wiesz? I szukaniu winnych wokół. Ale sama powiedziałaś, że to już się dzieje. Od dawna tak jest, a ty tu siedzisz i się mądrzysz. To wszystko, co robisz, kochana. Aha, i jeszcze oglądasz teledyski.

Maria patrzyła tępo w dal, gdzieś ponad drzewami, ponad chmurami, prosto w słońce.

UKRZYŻOWANIE

Miriam patrzyła tępo w dal, gdzieś ponad drzewami, ponad chmurami, prosto w słońce. Czuła, jak wypala jej źrenice, niemiłosiernym upałem niszczy wzrok. Pomyślała, że już jej niepotrzebny, nic jej przecież nie ocali. Prokurator czytał wyrok, jękając się przy tym potwornie, a ona, chcąc go oszczędzić, łaskawie nie patrzyła mu w oczy. Duma jednak kazała jej unieść głowę i pokazać, że ona wszystko znosi z godnością. Tak więc wypalała sobie oczy, próbując jednocześnie nieco poluzować powrozy krępujące jej dłonie.

– Długo to będzie trwało? – przerwała nagle deklamację prefekta, a on zmarszczył brwi.

Nikt dotąd nie ośmielił się przerywać mu odczytywania wyroku. Zdumiała go śmiałość dziewczyny, a jednocześnie zrozumiał, że nic poza jej zabiciem nie można już jej zrobić. No, chyba że chłostę. Faktycznie, jest jeszcze chłosta w zapasie. Rzecz jasna, chłosta byłaby tu całkowicie zbędna, bo trzy machnięcia pejczem pewnie ją skruszą na popiół, taka jest drobna. Nie tacy mocni konali od chłosty, a to chuchro zmarłoby natychmiast i kogo by ukrzyżowali? Barabasa nie, jej nie, to kogo? Krzyże wszak już przygotowane. Piłat wzdrygnął się na myśl o Kajfaszu i jego

niedorzecznych argumentach oraz na tę własną myśl, taką małą, tłącą się, a przez Kajfasza wznieconą, że on może mieć rację. Mężczyźni boją się niewiast.

A już na pewno kapłani.

Prokurator wbił więc groźny wzrok w skazaną – nie mógł spojrzeć jej w oczy, bo uparcie wgapiała się w słońce, jakby miała faktycznie jakąś nadprzyrodzoną moc i wzywała teraz swoich bogów na ratunek. Może zemstę?! – i kontynuował czytanie. W tekście roiło się od wysokich tytułów, stanowisk i czci wobec króla Heroda Wielkiego i cesarza Tyberiusza. Wreszcie, po przebrnięciu przez gąszcz szacunku, prokurator odczytał, że Miriam zostaje skazana na karę śmierci przez ukrzyżowanie.

– Długo to będzie trwało? – ponowiła pytanie i Piłat zrozumiał, o co jej chodzi.

Chciała dać mu znak, żeby się postarał skrócić jej męczarnie. Panicznie zaczął szukać sposobu złagodzenia bólu przebijanych dłoni i stóp, palącego słońca południowego skwaru, długiego duszenia się wśród piachu pustynnego i wiatru niosącego pył i suchość w ustach. Przemknęło mu przez głowę, że może poprosi żołnierza, by przebił jej serce w miarę szybko. Jeszcze zastanawiał się, komu powierzyć to zadanie, gdy obiecał Miriam:

– Niedługo. Z pewnością niedługo.

I Miriam cichutko westchnęła. Piłatowi, który nie umiał odczytać znaczenia tego westchnienia, zdało się nawet, że ona żałuje, bo chciałyby jednak pocierpieć. Nie mieściło się jednak mu to w głowie, dlatego odegnał tę myśl. Poleciał więc żołnierzom zabrać ją z placu.

I tak oto odeszła niewiasta, jedyna jego nadzieja na ulgę, na lepsze życie, odeszła, zostawiając po sobie pusty plac pod krytą kolumnadą pałacu królewskiego i niewyleczoną migrenę.

Hegemon schował głowę w dłoniach. Bezsilna wściekłość

rozsadzała mu czaszkę. Wiedział, że jego ludzie szykują się do kaźni. Krzyż czeka na ciało dziewczyny, a gwoździe na jej dłonie. Jakiś łachudra ukradł jeden gwoździe i nie wiedzą, jak rozwiązać problem. Po cichu, by nie denerwować hegemonia, postanawiają przebić jednym gwoździem obie stopy. Sekretarz szepcze mu na ucho, a prokurator zrywa się z furją:

– Jak to: obie stopy? Zwariowaliście do cna? Ja oszaleję, czemu w tym zamku nie ma jednej rozważnej duszy?!

I od razu pomyślał o lochu, gdzie siedzi właśnie jedna rozważna dusza. A nad jej istotą, nad jej istnieniem rozważają ludzie bez głów.

– Da się, hegemonie – szeptał nerwowo sekretarz. – Ale ja bym wyciągnął konsekwencje. I ukarał kogo trzeba.

– Nie chodzi mi o to, żeby karać, tylko o dopilnowanie porządku! Gdzie ten gwoździe?! Szukajcie. Jak znajdziecie, złodzieja przybijcie do krzyża. Ale głową w dół. Za ten jeden gwoździe!

Sekretarz, przyzwyczajony do napadów furii namiestnika, zmrużył tylko oczy i pokiwał głową.

– Nie możecie jej zadawać dodatkowego bólu. Obiecałem.... – zawahał się.

Nie mógł przecież głośno się przyznać, że obiecał Miriam bezbolesną śmierć. A przebijanie dwóch wygiętych stóp jednym gwoździem chyba do lekkich doznań nie należy?

– Oni szukali – wyjaśnił sekretarz. – Szukali i nie znaleźli. A nowego kompletu nie można wziąć, bo jest dla innego łotra.

– Zamieńcie komplety!

– Wykluczone, hegemonie. Nie wolno mi zamienić kompletu gwoździ przeznaczonych dla żydowskiej kobiety na komplet gwoździ przeznaczonych dla rzymskiego mężczyzny!

Prokurator się strapił. Jeszcze chciał coś powiedzieć, gdy usłyszał:

- Po za tym już poszli.
- Gdzie?
- Na górę Giewont.
- Jaki Giewont, u diabła?!
- To taka góra w Polsce.
- A my nie jesteśmy w starożytnej Judei?!
- A jaka to różnica?

Oszołomiony Piłat ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie pobiec za nimi, za Miriam idącą na kaźń na jakiś Giewont. Zacisnął powieki i ujrzał w duszy jej twarz wykrzywioną bólem i zawodem. Poczucie winy dotknęło jego najczulszych miejsc, samego rdzenia kręgowego, podczas gdy bezsilność miotła nim po fotelu. Zwariuję! – krzyczał do siebie. Zwariuję, uduszę się! Przypomniał sobie jej troskliwe oczy, które od razu spostrzegły w nim ból. Jej ręce, które chłodem uleczyłyby żar choroby. Jej ramiona, które zaprowadziłyby go do upragnionego ciemnego pokoju, bez okien i najmniejszego szmeru. A tymczasem? Śmierć. Biada nam! – zawołał bezgłośnie, nieco zdumiony tą formą „nam”, a jednocześnie pewny, że jej zguba zgubi także i jego.

Sekretarz zniknął ponownie, nastąpiła ciężka cisza, gęste i gorące jak smoła oczekiwanie. Piłat wiedział, że powinien teraz zawołać następnego więźnia, ale nie mógł. Po prostu nie mógł. Siedział jak szmaciana lalka, bez swojej sprężystości, bez tego pozoru władzy, bez dumy. Jakby wszelkie siły życia go opuściły, jakby właśnie konał razem z Miriam. Co to było? Czy dopadła go melancholia? Prokurator Judei nie może sobie pozwolić na melancholię – ganił sam siebie, a jednocześnie nie mógł znaleźć w sobie ani odrobiny energii, by kontynuować ten piekielny dzień.

Nagle sekretarz wbiegł i krzyknął:

- Niewiarygodnie wytrzymała ta kobieta! Dźwignęła ten krzyż sama na górę, nie jęknęła nawet, gdy ją przebijali, a teraz wisi i patrzy w słońce.

– Nadal żyje? – słabo zapytał hegemon. – Może przebijcie jej serce włócznią? Niech się nie męczy...

Już nie dbał o wizerunek bezlitosnego kata, już nie chciał się chować w skorupie. Chciał, żeby już był koniec, koniec raz na zawsze.

– Kto ma to zrobić? – zapytał rzeczowo sekretarz, okazując zrozumienie.

– Kawalerzyści.

– Ale który z nich?

Prokurator się nie zastanawiał. Wiedział od razu, na czyj ludzki odruch może liczyć. Tylko on jest zdolny zabić człowieka dla jego dobra.

– obrońca Życia. Niech to zrobi obrońca Życia.

– Będzie, jak mówisz, hegemonie.

I znów ucichło. Słońce przeszło z zenitu odrobinę ku zachodowi i zbliżało godzinę trzecią po południu. Prokurat opadł z sił i siedział nieruchomo na fotelu. Cichy, ciemny, chłodny pokój. Cichy, ciemny, chłodny pokój. Dajcie mi pergamin, podpiszę wyroki bez sądu. Chcę tylko być w cichym i ciemnym pokoju. Chcę być z Miriam...

I nagle konie. Tętent koni drużyny rycerskiej wzniosł obłok kurzu na drodze, sypiąc nim na ogrody. Zgrzane od biegu zatrzymały się nagle przed tarasem, z konia zeskokczył nieznany Piłatowi jeździec w zbroi metalowej, ze stalową siatką na twarzy. Napad! Najazd! Wojna! – krzyczało w uszach hegemonia. Rozejrzał się, wokół jakoś dziwnie się zmieniło, biały pałac królewski zaczął znikać, jego mury wypełniła teraz czerwona, spieczona cegła. Ogród zaś zszarzał, zarósł jakąś paprocią i cierniami. Czary! Czary! – wrzasnęło mu w głowie i pojał, co znaczy strach przed kobietą. Nie miał jednak czasu na dalsze rozważania, bo, ku jego zdumieniu, zza koni wyłoniła się karoca, cała czarna w złocie, a z karocy wyszedł Kajfasz.

Ale jakże odmieniony! Dawne szaty, których czerń była

absolutna, głęboka, jednowymiarowa i kategoryczna, zamieniły się teraz w fioletową sutannę. Kajfasz wyległ z pojazdu upstrzony kolorami, świecidełkami, brokatem! Drogocenne kamienie zdobiły mu mankiety, na palcu pierścienie, na głowie tiara. No i ta broda ogolona, gładka, opasła.

Jedna rzecz pozostała nienaruszona. Nadęta twarz.

– Prokuratorze! Natychmiast nakazuję ci przerwać wykonywanie wyroku!

– Co?! – wydukał niezbyt dyplomatycznie Piłat.

– Czyście oszaleli, na Boga! Krzyż pański jest święty, jak możecie wieszać na nim wiedźmę?!

– Jaką wiedźmę? – spytał ogłupiały do reszty hegemon.

– Nie udawaj głupiego, prefekcie. Stolica Apostolska zabrania krzyżowania kobiet! A tym bardziej, tfu! diabelskiego ścierwa! Natychmiast nakaż zdjąć ją z krzyża!

Prokurator Judei w życiu nie doświadczył takich cudów. Jeszcze nigdy żaden kapłan nie ośmielił się mu rozkazywać. Jeszcze nigdy nikt nie przerwał kaźni! Jednak słowa Kajfasza wywołały w nim tak potężną radość, że w ogóle nie zważał na konwenanse. Zawołał sekretarza, nakazał przerwać karę, a nade wszystko prześcignąć Obrońcę Życia. A potem, cały kipiący od euforii zwrócił się do kapłana:

– Ocalona!

– Niech Bóg broni! – zakrzyknął z oburzeniem Kajfasz. – Po moim trupie! A ja zamierzam żyć ponad dwa tysiące lat albo i dłużej.

– Jakże to?

– Tak, prokuratorze. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis* – wypowiedział oficjalnie i w powietrzu zrobił znak krzyża. – Kobiety palimy na stosie.

CZEŚĆ IV. CZARNY PROTEST

DZIECKO

W 2016 roku rząd wprowadza obiecany dodatek na dziecko w rodzinach wielodzietnych. Dodatek w wysokości 500 złotych jest przeznaczony na drugie dziecko. Prawo nie obejmuje samotnych matek z jednym dzieckiem. Samotne matki, których dochód w rodzinie nie przekracza 574 zł na głowę, mogą się starać o zasiłek na dziecko w wysokości 77 zł.

o o o

Skoro Bóg podał nam kodeks moralny w dziesięciu przykazaniach, a w tym kodeksie był tak drobiazgowy, że nie zapomniał o zastrzeżeniu sobie wyłączności i licencji na swoje imię, nie zapomniał o nakazie dygania co niedzielę do świątyni, nie zapomniał nawet o zakazaniu igraszek na boku czy pleceni dubów smalonych o sąsiadce z naprzeciwka, to dlaczego na – nomen omen – Boga, nie wspomniał o tym, jak traktować dzieci?!

Dziecko, owszem, ma zadanie czcić ojca swego i matkę swoją. Czcić, nawet kiedy oboje wracają na ostrej bombie w środku nocy i krzyczą od progu coś, co się do druku nie

nadaje. Nawet jak kanapek do szkoły nie robią, śniadania nie robią, odłogiem leżą i karzą za nic. Nawet jak szantażują, obwiniają, wyśmiewają, kpią. Nawet jak biją. Nawet jak zrzucają na dziecko obowiązki, które do nich należą. Nawet jak odstawiają ostrą bibę z dozwolonymi od lat osiemnastu ekscesami. Nawet jak nie chronią. Nawet jak zdradzają. Nawet jak porzucają. Czuj. Tak mówi Bóg.

I nie ma słowa, na które by się skrzywdzony, a już uświadomiony malec mógł wobec bigoteryjnych rodziców powołać. Nic. Jakby dzieci nie istniały, jakby nie były istotami ludzkimi. A może dziecko to nie człowiek? Może nic nikogo nie obchodzi? Może pojawia się na tym świecie niczym piesek, bez duszy, bez praw, bez szacunku, jakaś część wnętrza kobiety, która przecież według tej narracji również człowiekiem nie jest? Bo kimże jest? Czy Bóg się do niej zwraca? Czy jest tego zwracania się godna? Nie. Żona, kobieta, nie jest tu odbiorcą Bożego komunikatu. Cały Dekalog kierowany jest do mężczyzny, kobieta jest gdzieś tam obok jakiejś rzeczy. Której nie należy pożądać. No, ale jest. Czymś tam, nie podmiotem, ale jakimś elementem, którego należy pilnować.

Dziecka nie ma wcale. Do niego nie ma stosunku. Bóg, Mojżesz, czy jacyś inni nawiedzeni twórcy, nie raczyli o nim wspomnieć. Dziecko nie jest więc istotną sprawą w naszej kulturze. Jedyna, która spędza sen z powiek Kościoła, to kobieta. A więc ta polityczno-kościelna krucjata o nienarodzone życie to wcale nie jest troska o dziecko. Guzik kogokolwiek to dziecko obchodzi.

Guzik obchodzi ich płód czy zarodek. Tu chodzi o władzę.
– Jaką władzę, pani Mario?
– Bezlitosną, wręcz krwawą władzę nad tą, co jest zaledwie o punkt wyżej od rzeczy.
Nad kobietą.

– Jak się państwu dziś spało?

– Ciężko. To znaczy nie wiem, bo wzięłam tabletkę – mówi Maria.

– A jak się śpi bez tabletek? – pyta Adam.

– W ogóle się nie śpi.

– Wszyscy bierzemy tabletki.

Wszyscy tu biorą tabletki i chodzą jak we śnie, właściwie bez przytomności, w lekkim letargu z poczuciem oderwania od rzeczywistości i odpowiedzialności. Ona sama ma poczucie odrealnienia, trochę tak, jakby znów była dzieckiem, czego się często nawet boi, tak jak boi się tych emocji, które kolejne terapie w niej wybudzają. Śnią jej się bloki na osiedlu Nagórki albo psy, którymi opiekowała się, będąc dzieckiem. Śni jej się, jak jeździ na rowerze po ulicach Olsztyna. Albo jak pływa w jeziorze...

Ostatnio przeczytała w sanatoryjnej gazetce, że do dyspozycji pacjentów jest wypożyczalnia rowerów u portiera przy wjeździe. Z miejsca postanowiła wypożyczyć rower i objechać miasto, poczuć wiatr we włosach i tamte wolność i szczęście, jedne z niewielu pozytywnych emocji dzieciństwa. W przerwie między terapią grupową a obiadem pobiegła do portiera i zażądała roweru.

– Pani chyba żartuje, rowery się skończyły! – odparł rozbawiony jej nagłą determinacją portier.

A ona znów poczuła ukłucie przeszłości, znajome rozczarowanie światem.

– Jak to: skończyły się?

– Jest koniec września, droga pani. Po sezonie.

Zrobiła minę tak nieszczęśliwą, że facet poczuł coś w rodzaju współczucia i zaoferował swój osobisty rower, stary jak świat składak WIGRY.

- Daleko jedzie?
- Do Gołdapi, do miasta.
- Niech bierze.

I oto jedzie mała Marysia, włos rozwiany, kurtka mokra od deszczu i tylko oczy błyszczą jak zmoczone łzami kamienie, a w głowie pustka, przecudowne nic, tylko ta tabletki, generator serotoniny, sztuczne szczęście, trzyma ją w pionie, żeby z tego roweru nie spadła. No więc jedzie. Tam i z powrotem, mknie na rowerze mała czterdziestoletnia dziewczynka, przed którą całe długie życie. Co w tym życiu ją spotka? Marysia jeszcze nie wie. Marysia jeszcze nie rozumie i nie chce rozumieć. Liczy się tu i teraz, mokre powietrze, czas teraźniejszy. Drzewo. Liść. Wiatr.

- Proszę pana, było cudownie! - krzyczy wracając, przekraczając bramę ośrodka sanatoryjnego. - To było wspaniałe, dziękuję! - Rzuca się w ramiona faceta, który stoi przy bramce.

Mężczyzna patrzy jej w oczy i bąka: „Nie rozumiem”, ale w Marysce jest małe dziecko, które podskakuje z radości, że ktoś jej zrobił taką frajdę i pozwolił się karnać na rowerze Wigry 3.

- Co tu rozumieć? Jakie pan piwo lubi? Przyniosę!

Mężczyzna wciąż stoi bez reakcji, ale Marysia już biegnie do budynku, już chce przynieść budweisera temu dobremu człowiekowi, gdy nagle słyszy za sobą wołanie:

- E, szefowa, chociaż dwa złote na piwo się należy!

I już wie, że to do niej, że to do dorosłej Maryśki i że to głos portiera, a nie tego faceta w swetrze, który przecież stoi przy samochodzie, a w samochodzie siedzi jego żona, która właśnie przywiozła chorego męża na nowy turnus...

Wszyscy jesteśmy nienormalni. Zarówno my z trzeciego piętra, jak i tamci z windy. Budzimy się do życia z nadzieją, którą dzień po dniu zabijają w nas najbliżsi. Psycholog mówi, wszyscy mamy wewnątrz inny głos. Głos, którego nie

znamy, a nie znamy dlatego, że nikt nam go nie pozwolił z siebie wydobyć. Maryśka słucha tych słów jak wykładu Teresy o kartach runicznych. Jesteście stłamszeni własną pokorą, własnym bólem i wstydem. Lękiem, że nie pasujecie, że nie spełniacie, że jesteście gorsi. Nikt tu nie jest gorszy! I tylko czekać, aż zaczną bić brawo, jak na zlocie amlejewców albo innych handlarzy odkurzaczami Rainbow. Jakaś dziewczyna z pierwszego rzędu coś głądzi, że ona właśnie tak się czuje, że bierze leki, że coś tam jej pomaga, coś tam jednak gniecie, wszyscy się po kolei wyłączają, każdy zapada się w swojego smartfona albo, jak Maryśka, kładą głowę na pulpit i drzemią. Nie słuchają. Nikt tu nikogo nie słucha, zresztą nie tylko tu. Nikt nie słucha nikogo w ogóle, tak samo jak nas nie słuchano, jak nie słuchają rodzice własnych dzieci. Na peronie stoi matka z dzieckiem, dzieciak gada jak najęty, czeka na pociąg, a pociąg to, a tamto, a jaki kolor, a czy szybko, czy wolno, czy bilety, czy szyby, rower, milion pytań, a matka patrzy w smartfon jak zaklęta, a my patrzymy w smartfon jak zaklęci, mamó, posłuchaj mnie!

Maryśka miała dwa lata, dużo mówiła, mówiła, mamó, posłuchaj mnie, mamó, a to, a tamto, pociąg ma lokomotywę, w lokomotywie jest ogień, czy wąż ma nogi, czy się ciąga, czy tęcza jest twarda, czy samolot się o nią rozbije, mamó? A matka patrzyła w zeszyt, w książkę, co tam było, bez słowa nagle odepchnęła małą Marysię, ta poleciała na framugę drzwi i rozbiła głowę, i ma bliznę do dziś.

o o o

Jak miałem dziesięć lat, to zdarzyła się taka rzecz. Matka mnie ubrała, ubrała moją młodszą siostrę – miała wtedy trzy lata i kazała iść na autobus do ciotki Baśki. Ale ja coś

wyczułem, że ona coś złego kombinuje. Nie wiem skąd, ale wiedziałem. Wydawało mi się, że to jest bardzo złe. Bardzo. Jak mam to wytłumaczyć? Bo nie wiem. Wie pan o co chodzi. Takie na maksa przeczucie, że coś strasznego się może wydarzyć. Matka mi kazała iść na ten autobus, a ja się matki musiałem słuchać, bo wiadomo. Zaraz bym oberwał.

Ale ja od razu zacząłem kombinować, że nie pójdę. Położę trochę przed domem i wrócę. I to wrócę jak najszybciej, żeby TO coś się jednak nie wydarzyło. I tak zrobiłem. Wyszedłem przed dom, pokręciłem się, przeczekałem ten autobus, co przyjechał, pojechał, ja nie wsiadłem, wiadomka. No i zawracam na schody, na tych schodach już biegnę co siłą, mała mi się płacze pod nogami, a ja na całej petardzie, bo czuję, że już, już... Wpadamy do domu, ja waląc całym ciałem w drzwi, po prostu wlatuję jak bomba, a stara stoi w szlafroku i patrzy na mnie wkurwiona jak bokser i jak bokser, przysięgam, pięściami zaczyna mnie walić po ryju.

Pięściami.

Po gębie.

Moja przepiękna mamusia, cud-miód, kobieta z obrazu.

DYWAN

Ja się bardzo wczesnie zasznurowałam, bardzo szczelnie zamknęłam z tym swoim problemem, sama przed sobą udając, że się nic nie stało, że nie ma co. Miałam 17 lat. 48 kilo. I w głowie coś w rodzaju sieczki złożonej z naiwnych pytań o sens życia. A potem zderzyłam się z czołgiem, dostałam wpierdol tak boleśnie, że przestałam się w ogóle odzywać. Wtedy właśnie postanowiłam, że dam radę. Poszłam na studia, skończyłam jedne, drugie, nie poddałam się. Potem ta praca w banku, mobbing, kolejne nieudane związki, praca bez odpoczynku, kolejni pracodawcy. Było mi bardzo trudno. Bardzo.

I chociaż wciąż bardzo się staram udawać, że jestem kobietą sukcesu, mam wrażenie, że ja nie umiem żyć.

o o o

Na zajęciach z relaksu psycholog mówił powolnym głębokim głosem jakieś absurdalne rzeczy, a oni leżeli na materacach i te absurdy sobie wyobrażali. To znaczy, mieli sobie wyobrażać, bo Marii za cholere to wyobrażanie nie wychodziło. Bo jak miała sobie wyobrażać na przykład, że

siedzą nad morzem z niedźwiedziem, a potem zaczynają w tym morzu pływać, spotykają wieloryby, najpierw matkę, potem młode, pływają z tymi wielorybami, potem muszą się z nimi rozstać, wracają do niedźwiedzia i takie tam? Albo że w lesie jest chatynka, oni w niej siedzą i czekają na gościa, jest kominek, fotel, cisza, spokój, przychodzi gość, coś tam rozmawiają, nie wiadomo o czym, bo to już sami sobie muszą wyobrazić, potem gość idzie leśną drogą, znika. Jaki, kurwa, gość, pytała w duchu Maria, bo nie widziała nikogo na tej cholerniej ścieżce, ani przychodzącego, ani odchodzącego.

Jeszcze lepiej: kolory. Facet mówi, zamykasz oczy i widzisz pod powiekami wybuchające kolory, najpierw czerwony, potem żółty, zieleń, błękit, fiolet. Maria zamykała oczy i próbowała nie płakać, ale za cholerę się nie udawało. Potem, gdy wreszcie zobaczyła czerwień, to oczywiście była to krew. Jadowite kolory żółte i zielone, a na koniec klaun. Jestem aż tak chora? – pytała psychologa podczas indywidualnych spotkań, a on oczywiście wiecznie to swoje „nie wiem”.

– Nie wiem, to pani musi wiedzieć. – I jeszcze: – Terapia to nie jest odpoczynek, to bardzo ciężka praca.

To na chuj nazywacie to relaksem, chciała krzyczeć, ale zamiast tego biegła do lasu, tego samego, którego tak rozpaczliwie nie umiała sobie wyobrazić, biegła tą dróżką, na której nie widziała nikogo, podbiegała do tych drzew, jakich w jej snach nie było, bo był tylko krzyk, wrzask, niepokój, lęk. I darła się jak opętana. A potem znów relaks i płacz. Aż któregoś dnia wydarzyło się coś zupełnie innego. Pan Adam wszedł na zajęcia, wzrokiem omiótł grupę leżących na materacach chorych i powiedział:

– Kto mnie dziś wyręczy?

Maria gwałtownie odwróciła się do niego plecami w kategoriycznym proteście, a on, jakby właśnie mówił do

niej:

– Ale to jest czytanie książki. Ktoś tu chyba szczególnie lubi czytać książki? Czy ja się mylę?

Oczywiście, przecież wyrwała się z tym swoim feminizmem. No i zdeklarowała się jako fanka literatury, intelektualistka, grom wie, kto. Potem tego żałowała, właściwie żałowała już wtedy, gdy mówiła te głupie słowa, bo przecież nikt jej nie pytał, po co się wyrwała, po co to idiotyczne wyznanie, jakby, nie daj Boże, ktoś tu mógł wziąć ją za kogoś innego, za zbyt głupią, zbyt zwykłą kobietę. Jaki, kurwa, kompleks z ciebie wyszedł, drwiła w milczeniu, nie słuchając wyznań Zosi, kręcąc się maniakalnie wokół własnych myśli, wokół swojego narcystycznego: a ja jestem kimś tam! A ja, a ja, a ja. Ludzie tak bardzo potrzebują zdefiniować, kim są, że tak naprawdę kompletnie zapominają, że są nikiem. Sama tego nienawidziła, ale w niekontrolowany sposób wyskakiwało z niej to wieczne niedocenione JA. I właśnie teraz wróciło rykoszetem z uderzeniem meteorytu prosto w tę jej głupią głowę. Proszę bardzo, ktoś tu się chyba za bardzo wychylił, że taki mądry. Ktoś się chciał wylansować na feministkę i mądrałą. To proszę, pani Mario, proszę podejść, wziąć książkę i czytać.

– Nie mam okularów – broniła się, ale psycholog zaproponował, że poczeka, aż przyniesie je z pokoju.

Nie było rady. Trzeba było się wygramolić ze studni, zacisnąć zęby i nie rozpłakać się, pierwszy raz nie rozpłakać się na zajęciach z tego cudownego, jakże „relaksującego” relaksu.

W naburmuszonym nastroju usiadła w centrum sali, na niewygodnym krześle. Psycholog z kolei zajął jej miejsce na materacu, zamknął oczy i już się nie ruszył.

W książce był tekst o latającym dywanie. Dywan unosił się nad ziemią, jego miękka wełna otulała, jego ciemna purpura usypiała. Maryśka od pierwszych wersów poczuła

się irracjonalnie, jakby czytanie zabrało ją w inny świat, a ona ze swoim uporem tkwienia w rzeczywistości stała się bezradna. Usłyszała swój głos i to nie był głos jej znany. Tak jakby ten ułamek chwili, gdy przeszła ze swojego pokpiwania w odczuwanie, zamienił ją w kogoś zupełnie innego.

Spodobał jej się ten głos.

Był miękki, bardzo ciepły, spokojny. Niski. Z każdym kolejnym przeczytanym słowem, z każdym podmuchem wiatru kołyszącego latający dywan jej głos schodził w coraz bardziej aksamitne, wygłuszone poziomy wibracji. Czuła, jak opuszcza ją rozdygotanie, jak wygładza się umysł, i coś nieokreślonego, ale bardzo wyraźnego, jakby plusz, ciepły koc, a może faktycznie ten nieistniejący purpurowy perski dywan otulał ją na pierwotnie niewygodnym, a przecież już komfortowym krześle.

Nie wiedziała, kiedy skończyła czytać. Czuła jednak, że bardzo by chciała czytać dłużej, jak najdłużej. Wezbrała w niej ogromna ochota, aby dać jak najwięcej swojego nowego głosu tym ludziom, których przecież przed chwilą nawet nie lubiła. A teraz nagle zapragnęła ich utulić do snu, okryć miękkością, czuła nutą siebie, tym, czego jeszcze przed godziną nie знаła, a teraz odkryła z radością. To ja mam taką moc? – spytała siebie w duchu, podnosząc wzrok znad książki o latającym dywanie. Ja mam taką moc? – patrzyła z niedowierzaniem na Izę, Zosię, Teresę i pana Adama, na wszystkich, którzy posłusznie leżeli na materacach i spali jednostajnym spokojnym snem. Zatrzymała dłużej wzrok na Wiktorze. Pomyślała, że jej głos do niego dotarł, że wypełnił jego niepokój, przepędził wilki. Poderwała się w niej euforia z powodu tego odkrycia, jakby znalazła skarb, milion dolarów, coś najważniejszego, najcenniejszego na świecie. Mój Boże, nie wiedziałam! – krzyczała w duchu, a w jej oczach pojawiły się łzy, owszem, znowu łzy, ale tym razem łzy radości. Tamci się zaczęli

kręcić, przebudzać, domagać się głosu Marii, jak poduszki, którą nagle ktoś im przez tę ciszę wyrwał spod głów. Psycholog jako pierwszy otworzył oczy i patrzył na nią z nieukrywanym zdumieniem. Inni też pomału się wybudzali, siadali z ociąganiem na materacach i patrzyli z tym samym zdumieniem na Marię.

– Niewiarygodne – odezwał się Krzychu. – Chcę jeszcze.

To jego „chcę jeszcze” zabrzmiało tak dziecinnie i tak wzruszająco, że Maryśka mimo woli uśmiechnęła się do niego serdecznie. Wtedy psycholog powiedział, że gdyby nie wiedział, że to ona, w życiu by jej nie skojarzył po tym głosie. Że w ogóle to było niemożliwe do wyobrażenia, że ona to ona. A jednak to była ona. Przecież to ona tu siedziała i czytała im o latającym dywanie, nikt inny. To dlaczego, co się stało? Co się w niej obudziło, czego nie знаła ona, czego nie znali inni?

Długo jeszcze patrzyła w tę zaczarowaną książkę, a potem, gdy wszyscy wyszli z sali, gdy ona też wyszła i poszła w kierunku wyjścia, oparła się o szybę z napisem ZABRANIA SIĘ GŁASKANIA KOTÓW i spojrzała na sosny, przeraźliwie zatęskniła do tego swojego nowego kawałka siebie, do tego swojego nowo odkrytego głosu, do tej głębi. Musiała ją wydobyć, przekopać się tym swoim krzykiem w lesie do niej, wydrzeć ją z siebie. Bo przecież to było w niej od dawna, musiało być, bo coś jej mówiło, że mimo tego całego zaskoczenia, Maria to znała.

Tylko na śmierć zapomniała.

RAK KOBIET

W 2007 roku wprowadzono w Australii program szczepień wszystkich dziewcząt w wieku 12-13 lat szczepionką przeciwko HPV, jako uzupełnienie skutecznie realizowanych przesiewowych badań cytologicznych. Najnowsze wyniki badań potwierdzają skuteczność programu – zachorowalność na raka szyjki macicy w tym kraju zmniejszyła się o 50%.

W Polsce umieralność z powodu nowotworów szyjki macicy jest o 70% wyższa niż przeciętna dla krajów Unii Europejskiej, gdzie większość krajów objęta jest systemem szczepień p/HPV. Raka powoduje brodawczak, a szczepionka chroni organizm właśnie przed nim.

W Polsce trwa jednak batalia o szczepienia. Co ciekawe, prawie wszystkie informacje zwalczające szczepionkę wychodzą z tych samych środowisk, a autorytety, na które powołują się wojujące grupy antyszczepionkowe, to ludzie związani z Kościołem i katolickimi zreszzeniami lekarzy.

o o o

Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, choć mówię, że jestem

taka i taka. Jestem feministką, odważną, walczącą, a gównu o tym wiem. Ciągle mam wrażenie, że gównu wiem, udaję tylko, że się na czymś znam. Opowiedzieć panu coś? Niedawno byłam w Warszawie. Wsiadłam z pociągu, szłam przez Dworzec Centralny, cała taka fiu, fiu, w sukieneczce, z walizeczką, kupiłam sobie nową walizkę w TK Maxx, czarna lakierowana, na czterech kółkach, bardzo wygodna i elegancka. No więc idę, a żeby było śmieszniej, idę na jakiś wiec feministyczny, mniejsza o to, który, teraz jest tego dużo. Myślę pogodnie, czy kupić sobie machciato z wanilią, czy z kardamonem, może nawet strzelę sobie torcik jagodowy? Czemu nie? Nigdzie się nie spieszę, mam czas, miły plan dnia i dobry humor. Tylko jakiś krzyk psuje mi nastrój.

– Emilia!!!

Krzyk się powtarza, przechodzi w histeryczne tony, znów: Emilia! – już mocniej, kategorycznie i groźnie. Młoda kobieta ciągnie walizy w jednej ręce, w drugiej torbę, mleko, picie, zabawkę i już więcej rąk nie ma, więc drze się do małej, trzyletniej dziewczynki, która zostaje z tyłu, bo z ciekawością patrzy na ściany podziemnych korytarzy, prowadzących diabli wiedzą gdzie. Jacyś faceci idą z naprzeciwka i wołają do niej: czego się drzesz, a we mnie odpala się jakiś nerw, bo przecież na mnie też się darli całe życie, matka się darła: MARYŚKA!, więc chciałabym razem z nimi wrzasnąć do niej: CZEGO SIĘ DRZESZ?!

Ale jestem elegancka, proszę pamiętać o walizce, o sukieneczce, więc elegancko mówię do niej: „Niech pani tak nie krzyczy na dziecko”. A ta do mnie z furią, że jest w obcym mieście, że nie wiadomo, gdzie iść, że ktoś porwie jej córkę, że nie ma wolnej ręki, że ŁATWO SIĘ MĄDRZYĆ. A ja jednak swoje, że na dziecko nie należy krzyczeć, można wytłumaczyć, sraty-taty, właściwie nie mam pomysłu na dalszy wywód, pozwalam jej zniknąć w labiryncie warszawskim z tą pełną niemocy furią, z tą samotnością

przestraszonej matki, która przyjechała do obcego miasta i błąka się z dzieckiem, z tobołami, z mlekiem, z piciem i zabawką.

I co pan o tym sądzi?

– A pani?

o o o

Teresa zaczęła znikać. Od tego dnia, gdy zatańczyła z Danielem. Facet średniej urody, łysy i z brzuchem, ale kto by się urodą faceta przejmował, zwłaszcza w sanatorium? Druga rzecz, specjalnie lotny też nie był, co nie uszło uwadze przyjaciółek, zwłaszcza Marii.

– On mówi „poszłem”!

– Jak cię facet całuje, i dobrze całuje, zapominasz, że mówi „poszłem”.

No i tak. Zaczęło się. Jej wymarzony amant z klasą okazał się grubawym nieukiem. Owszem, miał samochód, ale zdezelowany, niedomyty i stary. Nie był historykiem, jego pasję stanowiły raczej kolejno zdobywane kuracjuszki. Z zalet, to może faktycznie tylko to, że dobrze tańczył. No ale był. Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy, dosłownie każdy mężczyzna ma jedną, niepodważalną zaletę: jest. Oczywiście do pewnego momentu. Bo przychodzi też i na niego czas. Ten czas oznacza, że jego dotychczasowa zaleta diametralnie zamieniła się w wadę, tymczasem wartości dodaje zupełnie inny stan, mianowicie: jego brak. I wtedy mówi się, że najlepszy facet to ten, którego nie ma. Dokładnie tak, jak na samym początku, tylko że na samym początku facet, którego nie ma, jest idealny. A potem facet jest idealny, GDY go nie ma.

Kiedyś Teresa zostawała sama w domu, gdy jej mąż wyjeżdżał w delegację. Z miejsca zapraszała przyjaciółki

i robiła wystawną imprezę. Któregoś razu, podczas takiej zabawy zadzwonił telefon. Teresa odebrała i okazało się, że to konsultantka z jakiejś sieci Orange czy z banku, w sprawie telefonu czy kredytu, czy może innej podstępnej usługi. Teresa, z racji własnej pracy w banku, lojalnie przywitała się ciepłym głosem, po czym bardzo serdecznie, z pełnym entuzjazmem wyjaśniła, dlaczego nie może rozmawiać:

– Chodzi o to, że właśnie wyjechał mój mąż. Nie ma go! I ja jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu. Do widzenia!

Kobiety i mężczyźni żyją w dwóch odrębnych światach. W każdym z nich panuje inny porządek, inne zasady i inny stan świadomości. Mężczyźni zwykle są przekonani, że są niezbędni, tymczasem – owszem, byli niezbędni, ale kiedyś. Ale wtedy, kiedy byli niezbędni naprawdę, ich nie było. I określało ich wartość BYCIE. A więc właśnie wtedy mieli tę zaletę, że BYLI, o ile byli. Teraz niezbędne jest ich NIEBYCIE. Po dwudziestu, piętnastu, dziesięciu, a nawet dwóch latach wspólnego (a raczej niewspólnego) życia, kobiety nauczyły się żyć bez nich i najlepiej czują się we własnym gronie, lub w gronie innych mężczyzn, którzy chwilowo SĄ.

Daniel chwilowo BYŁ. I to była jego silna strona.

Za to Teresa zaczęła zniknąć, zwłaszcza wieczorami. A gdy z nim zatańczyła na sanatoryjnym dansingu, zniknęła na dobre. I nie pojawiła się o obowiązkowej godzinie dwudziestej drugiej, kiedy to sztab pielęgniarek wraz z lekarzem dyżurującym wypuszczał się w labirynt korytarzy szpitala w celu sprawdzenia stanu pacjentów w pokojach. A więc około dwudziestej drugiej rozległo się pukanie do drzwi, zaglądała pielęgniarka i zadawała nieśmiertelne pytanie: „Wszystko w porządku?”. Tym razem w pokoju trzysta dziewiętnaście nie było wszystko w porządku, było bardzo daleko od „w porządku”, z tej prostej przyczyny, że po prostu

nikogo w pokoju nie było. W porządku było za to zupełnie gdzie indziej, a dokładnie w Puszczy Rominckiej, gęstym lesie pełnym duchów i mgieł, wśród wysokich sosen, świerków i dębów, pod którymi facet z niedostatkami lingwistycznymi okazał się mistrzem w zupełnie innej dziedzinie, w dziedzinie dużo ważniejszej, i całuje jak wirtuoz.

Tymczasem pod pokojem Teresy zaczynają rozgrywać się sprawy dramatyczne. Pielęgniarka donosi lekarzowi o jej absencji, donosi również, że pukała dwukrotnie, na pukanie nikt nie zareagował, wygląda to na sabotaż lub po prostu „zabalowanie”, a to drugie nie jest dobrze widziane u pozostawionych w domach mężów i żon, co błyskawicznie podsuwa personelowi diabelski pomysł pod tytułem: „już my ją nauczymy porządku”. I tak o wpół do jedenastej w nocy w oddalonym o 650 kilometrów Wrocławiu rozbrzmiewa komórka męża Teresy, którą ów, wyrwany z łóżka niejakej Marioli Baraszek, zdumiony odbiera, po czym słyszy, że jego żona zaginęła pod wschodnią granicą, a z tonu rozmówcy bez błędu odczytuje, że zaginięcie ma charakter frywolny, że ma nawet sprośne zabarwienie i tylko wrodzona przyzwoitość nie pozwala doktorowi psychiatrii w tej sytuacji nazywać tego, co on o tym myśli.

o o o

- No więc, zadzwonili do mojego męża, wyobrażasz sobie!? Zadzwonili do niego i musiałam się gęsto tłumaczyć, gdzie byłam. To jakiś skandal! O dwudziestej trzeciej dzwonią do mojego męża, kiedy on już śpi. To się w głowie nie mieści.
- A twój mąż taki święty?
- Jasne, święty Wincenty. Jak każdy mąż.
- No właśnie, a swoją drogą: do żony Daniela też

zadzwonili?

– Nie. On jest facetem, jemu wolno. Mnie kobiecie – nie wolno. Kurwa!

– No. Kurwa.

– I teraz całe sanatorium o tym gada. O mnie gada. Jak wchodzę na stołówkę, to wszyscy się gapią.

– Zawsze się gapili.

– Ale teraz inaczej! Ostatnio weszłam do pokoju chłopaków i zgadnij, o czym gadali? O mnie! Krzychu nawet nie wiedział, że ja to ja i dalej gadał, jak to jego kumpel poderwał laskę, do której męża zadzwonili. A to było o mnie!

– A o nim co mówią?

– Nic. No co?! Tylko chwała. Poderwał laskę. Wielki szacuneczek. Rozumiesz coś z tego, Maryśka?!

– Rozumiem. Co się tak wściekasz? Zapomniałaś, w jakim kraju żyjesz? Przecież tak jest od zawsze. A ty nic z tym nie robisz, tylko oglądasz teledyski.

o o o

Zosia ścisnęła reklamówkę z TESCO. Maria spojrzała w jej stronę niechętnie i pomyślała, ile można tak bez refleksji gadać o tym mężu. Ale Zosia zignorowała jej spojrzenie, zignorowała spojrzenia innych, jakby coś tam sobie poważnego postanowiła. Jakby przygotowała mowę w nocy i teraz za żadne skarby nie da się odciągnąć od mikrofonu.

– Postanowiłam podzielić się własnym doświadczeniem, odczuciem i tym, przez co samej było mi dane przejść. Być może moja historia będzie mogła być świadectwem tego, z czym my, kobiety, mamy tak naprawdę do czynienia na co dzień.

Maryśka zrobiła minę pod tytułem: no, proszę ja ciebie,

inni zachichotali. Tak oficjalne wejście mogła mieć tylko Zosia, o czym się już dawno przekonali. Przygotowali się już na kolejne opowieści o mężu, na którego nie ma siły i jej rozkrochmalenia nad męskim dziecięciem. Ale Zosia zdawała się odbiegać od poprzednich wyznań. Wyglądała poważnie, bezkompromisowo. Coś sobie przygotowała, przeszło przez myśl Marii. Coś, co jest bardzo prawdziwe – podpowiedziała jej INTUICJA.

– Mam czterdzieści lat, nieudane małżeństwo, dwoje dzieci i raka.

Nastała cisza. Ktoś chrząknął, ale nic nie powiedział. Zosia znów zgmiotła reklamówkę, rozejrzała się dla nabrania odwagi i mówiła dalej:

– Zaczęło się od zupełnie innego organu, też kobiecego. To był guz macicy, o niewiadomej strukturze. Lekarz urzędujący w jednym z najważniejszych szpitali w Akademii Medycznej w Gdańsku, powiedział, że rzecz jest nie wiadomo jaka i najlepiej ją obserwować. Ja chciałam to od razu wyciąć, bo się wykrwawiałam przez tego guza, ale on odmówił zabiegu. Stwierdził, że jestem w wieku rozrodczym i nie wolno mi usunąć macicy. Poleciał obserwować guza. I tak go obserwowałam, że zrobiły się przerzuty na jajnikach. Gdy trafiłam na stół operacyjny, zaczął się prawdziwy koszmar. Bo wyniki biopsji były jednoznaczne: rak typu G3. A mimo to nie usłyszałam żadnego dobrego słowa. Lekarka, która mnie operowała, była wciąż niedostępna, chodziłam z tym wynikiem od drzwi do drzwi, pytając co mam robić. Pielęgniarka wzięła tylko mój wynik i mówi, tak przy wszystkich pacjentach na poczekalni, bez pardonu, bez krzty zrozumienia: ale tu trzeba chemię podać. Potem czekałam na lekarzkę do skutku. Wreszcie ta moja wyszła z sali operacyjnej i mówi do mnie: jest źle, jest bardzo źle. Nie byłam w stanie złapać oddechu, usiadłam z wrażenia, takich nóg jak z waty to ja nigdy wcześniej nie czułam.

Zapytałam, co mnie czeka, na co otrzymałam odpowiedź: jak to co? Pół roku chemii, radioterapia i pięć lat leczenia hormonalnego. Nie usłyszałam żadnego dobrego słowa, choć odrobinę pocieszenia, wręcz przeciwnie, nie wytłumaczono mi wyników badań, dla laika określenie receptorów to magia, a od tego zależy powodzenie leczenia. Do gabinetu wezwano więc ordynator onkologii, która widząc moje długie włosy, powiedziała:

– Ojej...

Dziś, jak widzicie, mam krótkie włosy. I nie wiem, jak długo pożyję, dlatego tak bardzo nie mogę się pogodzić z tym, że nie mam gdzie mieszkać. Czasem z trudem przechodzę przez korytarze tego sanatorium, bo wciąż mijam ludzi, którzy mi mówią, że mam się wziąć w garść. Bardzo chętnie, tylko powiedzcie mi, jak?

ZUZIA

Projekt liberalizujący prawo aborcyjne został odrzucony w Sejmie. Posłowie do dalszych prac skierowali za to projekt całkowicie zakazujący aborcji. Procedowana ustawa całkowicie zakazująca aborcji mówi, że nawet za poronienie może grozić kobiecie kara pozbawienia wolności do pięciu lat.

W Elblągu sąd wydał wyrok dla gwałcicieli dokonujących gwałtu zbiorowego na kobiecie. Jeden z gwałcicieli dostał wyrok 2 lat pozbawienia wolności w zawieszeniu, drugi: 8 miesięcy więzienia w zawieszeniu.

Obaj są na wolności.

o o o

Codziennie dostawałem od ojca. Co? Wpierdol. Normalna sprawa. Ale codziennie, niech pan posłucha. Codziennie. I tak uzależniłem się od tego, co złe. A potem było już samo złe. Pewnie, że stary chciał dobrze. Chciał, żebym się dobrze uczył, żebym poszedł na studia, a ledwo podstawówkę skończyłem. I jeszcze do technikum, ale to pro forma, bo wiadomka, że wylecę. Bo ja już nie umiałem normalnie. Ja

musiałem sobie fundować ten strach, to chodzenie po krawędzi. No, a jak?! Miałbym chodzić normalnie, skoro nie umiałem? Kto miał mnie nauczyć? Tak się od tego uzależniłem, że sam szukałem bodźców i prowokowałem. Może dlatego ta szyba, ja nie wiem. Chociaż Damian sam się prosił... No dobra. Ojciec mnie prał, to i ja patrzę, żeby kogoś sprać. Ale nigdy kobiety! Ze mną nie ma problemu. Ale jak widzę, że ktoś, jakiś cwel pierdolony, no nie mogę...

Nie wiem, czemu nie mam szczęścia. Nie wiem, czy go doświadczyłem, może z Krzychem, wtedy, jeszcze za gówniaka? Nie wiem... Szczęście jest nie dla mnie.

o o o

Bunt przedarł się przez mury sanatorium, zalał korytarze szpitala. Teraz kobiety rozmawiały w grupkach, opowiadały swoje historie. Słyszeć je było wszędzie. Na każdym kroku, za każdym rogiem opowieści, dramaty. Jakaś siła tętniła od tych szeptów. Coraz większa, rozrastająca się moc babskich opowieści. Maria nie czuła już niechęci, nie czuła pogardy, nie stukała się w czoło, nie strzelała z wyimaginowanego pistoletu z palca. Rano wstawiała, wchodziła do łazienki i długo patrzyła sobie w oczy. Chciała prawdy. Pragnęła jej z całych sił. Tej prawdy intuicyjnej, zwierzęcej, z krwi i kości, z dna duszy. Bez schematów, bez stereotypów, myślenia czyjegoś. Chciała się jej od samej siebie dowiedzieć. I gdy tak patrzyła, zobaczyła gdzieś bardzo głęboko w swoich - nie swoich oczach cień. Ten cień mógłby wydawać się śmiercią, martwotą, bylejakością. Mógłby być zignorowany kolejną potrzebą wygłoszenia jakiegoś martwego kazania wobec mniej wykształconych, mniej mądrych i zagubionych kobiet ze wsi, z małego miasta, ze wschodu. Ale ona już nie odbierała na tej częstotliwości. Już nie chciała się mądrzyć,

już nie chciała przesyłać jakichś cudzych mądrości, cytatów, wrywków. Nie chciała być telefonem, przewodnikiem energii. Ona sama chciała być energią. I ten cień, który zobaczyła, aż ją zabolał. To było najprawdziwsze, najmocniejsze, najbardziej dotkliwe, bo wreszcie możliwe, własne, gotowe, dojrzałe do wyartykułowania:

NIE.

Nie. Darło ją od środka. Nie. Dość. Mam dość. NIE.

I z tym NIE poszła do pokoju terapeutycznego, stanęła w drzwiach, spojrzała na kobiety z grupy „psycho” i powiedziała kategorycznie:

– Jedziemy na Czarny Protest.

To był poniedziałek, każdy wiedział, o co chodzi, każdy już słyszał, co się dzieje w Polsce. Kobiety strajkowały, niektóre zakłady pracy grupowo dawały im urlopy w ten dzień, tysiące kobiet wychodziły na ulice. W samej Warszawie naliczono trzydzieści tysięcy protestujących. Zanosiło się na kilkuset tysięczny marsz w całym kraju, nawet w małych miastach. Na każdą lekceważącą wzmiankę rządu odpowiadały kolejne tłumy na ulicach. Ministrowie wycofywali swoje kpiarskie opinie, cały kraj zastygł w oczekiwaniu. Aktywny w mediach patriarchy spuścił nieco z tonu, a kolejni dziennikarze, aktorzy, politycy – dołączali do Czarnego Protestu.

– Widzę – odparł psycholog, mierząc czarno odziane kobiety wzrokiem i uśmiechnął się. Rzadko manifestował swoje poglądy, teraz jednak nie próbował nawet kryć swojej sympatii do tej kobiecej determinacji.

– Wkurwiłyśmy się – oznajmiła Teresa. – Na początku nawet myślałam, że to nie moja sprawa. A jednak moja. Nasza.

– Chcemy iść do nich – powiedziała cicho Iza, gdy nagle gruchnęło coś z głębi sali.

– A dla mnie to jest zjebstwo! – zawołał z kąta Wiktor.

Maria patrzyła na niego już od kilku chwil. Czuła, co myśli, wiedziała, czekała na ten protest. Słuchała jego monologu, który uruchomił natychmiast po pierwszym zdaniu, słuchała z nadzwyczajnym spokojem, a nawet z czymś więcej. Z czymś nieznanym, nowym, bardzo otwartym. Chcę cię zrozumieć, mówiła bezgłośnie, a on krzyczał. Wtedy czekała, aż się wykrzyczy, wypłacze i znów mówiła: chcę cię zrozumieć. Ale on dalej krzyczał.

– Po prostu zwykle zbieństwo! Same nie wiecie, w co się pakujecie! Jestem przeciwny, kurwa! Jakbyście miały jedna z drugą taki problem, to, kurwa... Ja wam coś powiem. Same nie wiecie, co wam życie przyniesie. Nikt nie wie. Jak mój kumpel, taki jeden, super maluje i w ogóle jest spoko, mogę wam pokazać jego malunki, na Fejsie, ale kiedyś jego laska zaszła w ciążę i wiecie, co zrobiła? Kurwa, powiedziała mi, pożycz kasę, ja do niej, pojebało cię, niby skąd. Ale pożyczyłem.

Maria na niego patrzy wciąż z tym samym przekazem. Chcę cię zrozumieć, mówi bez słów, łapie jego wzrok, widzi jego łzy. Wiktorowi załamuje się głos, zaczyna płakać otwarcie, wprost.

– Kurwa, nie umiem kłamać. Dobra, ja pierdolę, panie Adamie, mogę? W końcu, kurwa, jest terapia, co nie? Jest terapia czy pieprzony protest?

Nikt się nie odezwał, ale w powietrzu czuć było, że jest to i to. Terapia i protest. To protest jest terapią, to terapia jest protestem. Mów, Wiktor, myślała Maria, przecież właśnie się zbuntowałeś. Przecież właśnie masz swój protest, najczarniejszy pod słońcem. Mów. A w środku biegła równoległa rozmowa Maryśki z Maryską, tej silnej feministki i tej niepewnej, zagubionej, dziecinnej siedemnastolatki. Żołnierze Wyklęci i Orzeł w Koronie, ja pierdolę, jak mi słabo na ten widok, mówiła feministka, kiedy mijała go na korytarzu i chciała się wkleić w ścianę, żeby za żadne skarby

nie zbliżyć się do tej zakutej pały, która pewnie nic w tym mózgu nie dźwiga, która się pewnie tu znalazła z powodu przedawkowania „mocarza”. Jezu, jak jej go szkoda, Jezu, jak by chciała go osłonić, wygonić całą grupę, zostać z nim sama, bo on pewnie nie chce, żeby inni widzieli, żeby inni zobaczyli teraz, tutaj – jego łzy.

Czemu łzy – Maria zapomina całkiem o Czarnym Proteście, zapomina o wszystkich tych myślach, które przeszkadzały jej go polubić, które go wbijały w odpowiednią szufladkę z napisem POGARDA. Nie było już szufladki, nie było „mocarza”, nie było nic, tylko jej przerażone oczy i jego łzy. Znów poczuła to coś, co czuła wtedy w jego pokoju, gdy Krzychu jej szepnął na ucho o Wiktorze. A on teraz naprawdę płacze, kręci się na fotelu, widać, że chce uciec, chce rzucić wszystko i wybiec, ale coś go trzyma, więc wyciera te cholerne łzy ukradkiem, zły, że się pojawiają. Wszyscy się zastanawiają, czemu jeszcze nie wybiegł z sali, trzaskając drzwiami. Ale on siedzi, kręci się bezradnie, jakby nie mógł się odkleić od fotela. W końcu wybucha:

– Nie idźcie! Nie idźcie tam, dziewczyny, ja was, kurwa, błagam! Nie idźcie, bo to jest najgorszy błąd! Ja to wiem! Jak chcecie, to wam powiem! Przyjdźcie pod trzysta dziewięć, powiem wam! Wypijemy, pogadamy, u mnie nie ma problemu. Tylko nie idźcie na ten jebany marsz! Oni was chcą wykorzystać! Nie bądźcie głupie. Bądźcie mądrzejsze...

– Znów głos mu się łamie, ale siedzi. Siedzi jak zaczarowany, mały chudy Witek ze złamanym zębem na przedzie, wielki fan Jagiellonii, zagubiony w pościeli i życiu. I nagle zrywa się i krzyczy, jakby bardzo, bardzo chciał zakrzyczeć ból:

– Ona usunęła moje dziecko! Kim jest kobieta, która usunęła moje dziecko, co?! Bo dla mnie to jest szmata! Szmata! Zabiła moje dziecko! Dwoje moich dzieci! Kurwa. – Głos mu się łamie, na twarzy łzy i smarki, cały Wiktor, Wiktorek, szkoda mi tego Wiktorka...

TO się działo tak szybko, tak szybko, że nawet nie wiadomo kiedy. Coś jak wypadek samochodowy, w którym nic nie czujesz, a nagle nie masz połowy mózgu. Wiktor tak właśnie to wspomina. Sen, koszmar, poczucie oderwania od rzeczywistości. Szok, płacz, czarna jak smoła depresja. A potem, zaraz po wyjściu, szpital. I teraz to sanatorium.

Zuzia miała tak złe wyniki krwi, że musieli powtarzać. Te białe krwinki... Ich liczba była niewiarygodnie wysoka. Majka patrzyła na to i oczom nie wierzyła. Wrzuciła w Google i stwierdziła, że to na pewno pomyłka. Bo przecież nie TO.

Poszła z Zuzią na drugie badanie, a potem już od razu do szpitala. Sama jeszcze była słaba, ciągnęła anemia i krwawienie, ale jakoś szybko o tym zapomniała w obliczu tego, co się działo. Nagle stała się jedyną bliską osobą dla Zuzi, jej matką, ojcem i babcią w jednym. Ojciec Wiktora robił co mógł, ale zdecydowanie nie odnalazł się w roli dziadka śmiertelnie chorej dziewczynki. A ona sama, Majka, miała tylko siebie. Wiktora w ogóle nie chciała o tym informować. Ukrywała tak długo, jak mogła, mówiła, że Zuzia jest w szkole, u koleżanek, ale w końcu się poddała. Wiedziała, że on podejrzewa najgorsze. Miał te swoje sny, wizje, niepokoje.

Jakaś niewidzialna siła podświadomości wdarła się w jego mózg z tą najgorszą z możliwych informacją. Wiedział. Patrzył na nią z coraz bardziej bezlitosnym gniewem. Rozmawiali o pierdołach, a między zdaniem pobrzmiwały bolesne pretensje:

„Dlaczego nie mówisz mi prawdy?“, „Jak śmiesz odbierać mi, ojcu, świadomość?“, „Czemu wbijasz się między mnie

a moją córkę?”, „Kim ty w ogóle jesteś?!”

Kim ona w ogóle była? Kim, poza łóżkiem i jedną niefortunną wpadką? Nie mieli dziecka, nie mieli nawet wspólnych przeżyć. Po prostu zaczęli się spotykać, potem poznała jego ojca i córkę, potem wpadli, potem poszedł siedzieć, potem poszła na zabieg, potem zachorowała Zuzia i to był początek końca.

– Kim ty w ogóle jesteś?! – krzyczał Wiktor, gdy mu w końcu powiedziała. – Kim ty w ogóle jesteś, żeby zabierać mi moje miejsce przy córce?! – Kurwa!!!

Nie udało się znaleźć przeszczepu. Nie udało się, bo nie zdążyli. Nic nie zdążyli. Zanim skończył się Wiktor wyrok, Zuzia nie żyła. Trzy miesiące. Trzy miesiące od dnia, w którym na żółtej karcie z wynikami badań Majka liczyła białe krwinki. Tak białe, jak Zuzi trumna.

Bo ubranko miała błękitne. I błękitną chustkę, żeby zakryć łysą od chemii główkę.

o o o

Ręka Pana nie jest tak krótka, żeby nie mogła ocalić, ani słuch Jego tak przytępiony, by nie mógł usłyszeć. Lecz wasze winy wykopały przepaść między wami a waszym Bogiem; wasze grzechy zasłoniły Mu oblicze przed wami tak, iż was nie słucha.

(Ewangelia wg św. Piotra)

WYBÓR

Od ponad roku choruję na depresję. Ale tak naprawdę tyle czasu próbuję ją wyleczyć, bo choruję od dzieciństwa. Tu, w moim piekle nie wystarczy leżeć cicho. Tu chce się krzyczeć, wrzeszczeć, wołać, ale nic nie można, bo coś zapycha ci dech. Tu, w nieruchomym leżeniu, nie ma żadnej ucieczki. Tu dopada cię rozdzierająca rozpacz, taka totalna, wiekuista, uświadamiająca, że nic, nic ci nie pomoże, czarna woda, rozpadlina, dół. Cierpienie nie do opisania, gnijąca tkanka, żywe istoty rozpadające się w męczarniach. Jak opisać ból człowieka, który stracił nadzieję? Który wie, że każdy kolejny dzień zbliża go do śmierci, i każdy kolejny dzień będzie tylko gorszy od poprzedniego, bo przecież nic, nic, czarna piana, rozpadlina, dół?

Gdy w środku obudził się mój zrozpaczony demon, takie dziecko z przerażającą twarzą, które nigdy nie zaznało oddechu, choć krzyczy – nikt go nie słyszy, zastyga więc z otwartymi ustami i bezsilnym niemym wrzaskiem, kiedy się to coś we mnie obudziło, zapragnęło rzucać krzesłem po ścianach i wyć jak zraniony niedźwiedź, skapitulowałam. Straciłam wszystkie maski, straciłam siłę do dalszego grania, straciłam nawet rodziców, których zamroziłam tak samo jak

wcześniej zamroziłam swój gniew.

Depresja to zamrożony gniew. To nigdy niewykrzywane NIE. To gula w gardle, ta sama, która towarzyszyła mi w dzieciństwie, gdy strasznie nie chciałam się rozplakać, gdy chciałam coś powiedzieć, ale kurwa, ani nic nie powiedziałam, ani nie uchroniłam się od płaczu. To wstyd, że jestem taka, to ból, że siebie nie znoszę, to rozpacz, że nikt mnie nie rozumie.

o o o

– Nic nie mogłem. To ona poszła na zabieg. Ja wtedy siedziałem, nie widziałem szans, odsiadywałem wyrok za pobicie psów, nie wiedziałem tego, sorry. Kurwa, sam nie wiem, co tam sobie myślałem, bo ja wtedy w ogóle nie myślałem, wydawało mi się, że ten, wiecie jak to jest, co ja się będę. Każdy myśli, e tam, co ja się będę, a potem se włosy rwie, wiecie. Rozumiecie? Gdybym tam był na miejscu, toby było inaczej! Na pewno by było inaczej! Dwa miesiące później zdiagnozowali u Zuzi raka. I po trzech miesiącach już jej na świecie nie było! Nawet z kibla nie zdążyłem wyjść! Dziecka nie zobaczyłem! Kurwa, wiecie, jak to jest? Jak ja ją kochałem! Nikt jej tak nie kochał, rodzona matka... Wiecie, jak to jest?! Jak się dowiecie, to se na marsze idźcie! Ja pierdolę, ja pierdolę, nie mogę... – Wiktor płacze w dłonie, zawodzi głośno, bez wstydu, bez opanowania.

Wszyscy czekają, kiedy nie wytrzyma i wybiegnie, ale siedzi, siedzi, jakby czekał na coś, na coś, co mu pomoże, coś przetnie, rozwiąże, znieczuli.

– Panie Wiktorze... – zaczyna bardzo łagodnym głosem Adam.

Witek nie odrywa dłoni od twarzy, nie rusza się, ale widać, że czeka na te słowa. Czeką, chce się dowiedzieć CO,

CO ON MA KURWA MYŚLEĆ.

– Panie Wiktorze. Czy Majka panu nie powiedziała o ciąży?

– Nie.

Wszyscy patrzą na niego ze zdumieniem. Wiktor czuje, że coś się ślizga, że jakiś zielony dym wylatuje ze szczelin w tej cholernej sali, w tym pieprzonym bunkrze prawdy.

– To znaczy tak. Wiedziałem. Ale co ja mogłem?!

– Skoro pan wiedział, to chyba rozmawialiście ze sobą?

Wiktor podnosi głowę. Patrzy na psychologa długo w milczeniu, waży słowa, jak nie on. W końcu mówi suchym głosem:

– Tak.

– I powiedziała panu, że chce usunąć?

Milczenie. Wiktor już nie płacze. Jest zły.

– Czy ona na pewno tę decyzję podjęła SAMA? To był na pewno JEJ wybór?

– No, kurwa, nie wiem, nie pamiętam! Może to było inaczej, ja przesłem horror. Nie dopilnowała mi dziecka, przez nią dziecko mi zmarło, a drugie zabiła. Ja pierdołę, myślicie, że teraz pamiętam takie bzdury?!

o o o

Na protest pojechały do Suwałk. Chciały pobyc w większej wspólnocie, spojrzeć w oczy innym kobietom, które, tak jak Maryśka, dojrzały do swojego NIE.

W całej Polsce rozpostarły się parasolki. Maria zerkała na relacje z Gdańska i Warszawy w swojej komórce, widziała przemoknięte kobiety, pełne energii i buntu. Ich skrywany dotąd gniew rozbłysnął w oczach, te poukładane przez lata schematy zawały się i runęły. Patrzyła ze zdumieniem na kobiety z dziećmi na ulicach, z wózkami, na kobiety starsze,

na babcie, matki, siostry. I mimo tego deszczu, chłodu, widziała jakąś jasność, coś w rodzaju nadziei, że oto gniew prowadzi je do wolności. Oto one, stare, młode, wierzące i niewierzące, lekarki, nauczycielki i położne, sprzątaczk, studentki, gospodynie domowe – są dziś razem na dobre i na złe. Razem. Jak nigdy.

Ten parasol, kobiecy atrybut, niezbędny element wyposażenia torebki, mały czarny składany, schowany niczym liszka w kokonie, rozpostarł dziś motyle skrzydła, piękne, czarne, lśniące i okazał światu swoją obecność.

Transparenty. Na szybko zmontowane z kawałka kartonu, z napisanymi flamastrami hasłami. Moje ciało. Moje ciało należy do mnie. Jezu, pomyślała Maria, Jezu, moje ciało należy do mnie. Pomyślała o tamtym dniu, kiedy Wiktor prowadził ją przez gołdapską plażę. Cała zanurzona w deszczu, jak dzisiaj, czuła w jego dłoni swoje ciało. I teraz je czuła. Powtarzała w duchu: to ja, moje serce, moje nerki, moja macica. Nie zgadzam się, żeby je oddać. Tak jak nie zgadzam się oddać serca, wątroby, płuc, tak nie zgadzam się oddać macicy. Nie zgadzam się oddać dlatego, że ktoś tak chce. Żąda! Teraz. Zaraz. To przymusowy przeszczep mnie, dawczyni organów. Urodzonej i wyhodowanej, żeby dawać, oddawać siebie, oddawać swoją macicę, oddawać swoje życie.

NIE.

To nie jej. To nie ona. To wymyślili „obrońcy życia”, mężczyźni w sukienkach, ci, którzy dyktują warunki tego kraju. Którzy nie wydają na świat dzieci i nie przekazują życia. Stoją ponad prawem natury i dyktują prawo moralne. Którzy w każdym innym gatunku zostaliby wyrzuceni poza społeczność. Bo żaden gatunek nie inwestuje w celibat. Żaden nie składa ofiar istotom, których nikt nie widział. Nikomu to się nie opłaca. Tylko ludziom?

Maria stoi i patrzy na ten tłum, czuje, słyszy bicie serc,

widzi piękne kobiece twarze, włosy na wietrze, wyciągnięte szyje. Ile w nich mocy, ile życia! Chciałoby się to zatrzymać, uwiecznić gdzieś, w zaklętej materii, w skondensowanym proteście, ciele doskonale czarnym. To my, kobiety, matki. Pochłaniamy całą energię wszechświata, przetwarzamy ją dla potomnych. To przez nas płynie rzeka życia. To my jesteśmy wodą, rzeką, jeziorem. To my jesteśmy deszczem. Życiem.

Przecież jesteśmy, z krwi i kości, prawdziwe, mocne, ważne. To od nas zależy. To my decydujemy. To my znaczymy. To my jesteśmy Bogiem.

– *Jestem Bogiem* – zaśpiewała pod nosem Maria. – *Wyobraź to sobie. To ja jestem Bogiem.*

Poczuła jakąś niepojętą siłę. Przypomniała sobie opowieść Wiktora o indiańskich duchach. O boskim znaczeniu matki Ziemi. Zaciśnęła dłonie. Czemu ktoś jej kiedyś wmówił, że jest słaba? Czemu w to uwierzyła? Czemu uznała iluzję ponad rzeczywistość?

I nagle, wyrwana z zamyślenia, potrącana przez inne skandujące dziewczyny, zamrugała oczami z niedowierzaniem. Zmarszczyła czoło i wyostrzyła wzrok. W oddali, w tłumie zobaczyła znajomą twarz. Milczącą, ale pozbawioną codziennego gniewu. Jakby ta cała furia wokół zniosła bunt w tym wiecznie napiętym ciele. Jakby to, co dziś z siebie wyrzucił, przestało tak kłuć, drapać od wewnątrz i dało wreszcie oddychać. Tak, to był on.

Wiktor.

o o o

Podbiegła do niego, w ogóle nie myśląc. Potem, gdy analizowała tę chwilę, nie udało jej się znaleźć absolutnie żadnego logicznego wyjaśnienia, po co podbiegła. Czemu?

Czemu tak się stało? Co chciała? Czemu nawet przez chwilę się nad tym nie zastanawiała?

Nie zastanawiała się. W jej głowie ucichło skandowanie, energia tłumu wezbrała w niej w coś na kształt potrzeby ostateczności, zbliżenia się do krawędzi, wyskoczenia z siebie. I faktycznie indiański duch z opowieści Witka zawładnął jej ciałem i umysłem. Gdy znalazła się obok niego, czuła już tylko tętent, zsynchronizowany puls ich zetkniętych nagłym uściskiem dłoni nadgarstków. Oboje, jakby wiedzeni swoim własnym GPS-em, przeciskali się w pośpiechu przez tłum. Mijali kobiety z transparentami, młode i stare połączone jednym buntem, jedną siłą, jedną wolą życia własnym życiem – i Maria też poczuła, jak pulsuje w niej własne życie i ta sama wielka wola życia własnym życiem. Przez jej umysł przelatywały wspomnienia, jak klatki filmu o dziewczynie, lalce szmacianej rzucanej w dziwne miejsca, o Pinokiu w spódnicy, któremu po przebrnięciu przez najróżniejsze stany manipulacji pozwolono wreszcie zamienić się w człowieka.

Cały bunt niewyrażony zamienił się w życie.

Oswobodzeni z tłumu biegli dziurawą drogą wzdłuż niewielkich kamienic, gdy nagle spadł deszcz i zmoczył ich twarze. Zaczęli się śmiać, nic nie mówiąc, tak po prostu śmiali się serdecznie, ściskając swoje dłonie, biegnąc, nie myśląc. Autobus, który stał na przedmieściach z powodu niemożliwości włączenia się do ruchu, teraz ruszył i zatrzymał się przy nich. Wskoczyli do niego i pojechali przez las, wciąż trzymając się za ręce i śmiejąc się jedno przez drugie.

Wiktor, tak jak ona, dał się ponieść. Potem jednak przypomniał sobie tę jedną z nielicznych myśli, które mu wtedy przyszły do głowy. Pomyślał przez moment, że ktoś może wziąć go za protestującego, za jakiegoś feministycznego pedała. Ale całe szczęście spotkał tę Marię.

A przecież o to mu chodziło.

BRUD

Przez cztery ostatnie lata żaden lubelski szpital wojewódzki nie przeprowadził choćby jednej legalnej aborcji. Za to w ciągu kilku miesięcy znaleziono jedenaścioro noworodków na śmietniku.

o o o

– Ja też to zrobiłam – wyznała nagle Maria.

To się stało nagle, tak szybko, jak się połyka gorzką pigułkę, aby mieć to za sobą. Maria właśnie przełknęła gorzką pigułkę i obudziła się poza matriksem. Wokół zrobiło się czarnoszaro, psycholog jakoś zmętniał, wszystko pogrążyło się w jakiejś obrzydliwej brudnej poświacie. To było już po marszu, po burzliwych wyznaniach, po tych wszystkich dyskusjach, w których przecież ona też brała udział. To było PO WSZYSTKIM, jakby temat się już zamknął, a ona teraz wypala z taką brudną nowiną, jakby to kogokolwiek jeszcze obchodziło.

Ale jakoś musiała. Czuła, że musi, bo inaczej kompletnie zwariuje, bo się utopi w tym zimnym jeziorze, bo sny ją uduszą. Dlatego, nie patrząc na nich, na ich szare miny,

mówiła dalej, szybko, robiąc błędy językowe, jak nie ona, nie zważając na dobór zdań i ładnych słów, mówiła tak, że jej wypowiedź wtapiała się w szare tło tego parszywego życia.

– Zrobiłam to, bo nie miałam innego wyjścia. Bo tego chciał mój chłopak, a ja robiłam wszystko, czego chciał mój chłopak. Bo go okłamałam i wciąż miotałam się w poczuciu winy. Bo czułam się jak szmata. Bo rzygać mi się chciało na samą siebie. Bo nie było nikogo, kto by mnie wysłuchał. Bo byłam przeraźliwie sama. Bo nie miałam pieniędzy, domu, szkoły, nic. Bo matka by mnie wywaliła na ulicę. Bo, kurwa, wszystko... nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Dlaczego, kurwa, ja się w ogóle tłumaczę?!

– Nie wiem, pani Mario. Ja tego wcale od pani nie oczekuję. I coś mi mówi, że prawdziwej przyczyny jeszcze nie usłyszałem...

Maria zamilkła na moment. Znowu poczuła to, co kiedyś na terapii, gdy Teresa sztorcowała Zosię. „On wie”. – Usłyszała swój głęboki, niski, spokojny głos w głowie. „Nie musisz się kryć”.

Odchrząknęła.

– Wiedziałam, że to jedyne, co mogę zrobić, żeby ocalić życie. Moje życie. To była moja decyzja, jedyna intuicyjna decyzja, którą podjęłam od razu, w wielkim akcie obrony, bez cienia choćby jakiegokolwiek szansy na inne rozwiązanie. W czym pomógł mi mój przyjaciel, który chciał, najzwyczajniej w świecie chciał mi pomóc i potem nawet został moim mężem, ale nie byliśmy sobie pisani, bo mnie w ogóle nie była pisana miłość, bo ja byłam potwornie pogubiona, tak zmięta, tak...

Zawiesiła głos, szukając odpowiedniego słowa, bo to, które przyszło na myśl, jakoś nie chciało przejść przez jej gardło.

– Tak...? – spytał psycholog.

– Tak... skrzywdzona.

- A kto cię skrzywdził? Chłopak?
- On... też... on ode mnie wymagał niemożliwego.
- To znaczy?
- Chciał być dla mnie pierwszy. Podkreślał to wiele razy...

Ale nie był. Dlatego – jak twierdził – musiał odejść.

I odszedł. Odchodził wiele razy, wiele, wiele, nie wyobraża pan sobie nawet, ile.

- A mówiła mu pani, że nie będzie pierwszy?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo sama nie chciałam w to wierzyć.
- Aha...
- Wypierałam to.
- Czy... ja dobrze rozumiem?
- Chyba tak.
- To był gwałt?
- Tak.
- A kto... kto był pierwszy?

Maria nie podnosiła głowy już od paru minut. Wtopiona w swoje ramiona, wciskała sobie do oczu oberwany z rolki papier kuchenny. Gdy pierwszy raz weszła do gabinetu pana Adama, zwróciła uwagę na ten papier i przeraziła się go. Wiedziała, że kiedyś przyjdzie ten moment i będzie musiała go użyć. A teraz była w zwinięty gałgan, cała pokurczona, przywalona tamtymi wspomnieniami tak mocno, że zdawało jej się, jakby się czołgała po podłodze i już nigdy, nigdy w życiu nie mogła stanąć na nogi. Czas się zatrzymał, świat się zatrzymał, a pytanie psychologa wisiało nad nią jak topór kata i czekało na sygnał. To pytanie wtrąciło ją do lochu, w czarny labirynt przeszłości, gdzie przewalały się zwłoki jej samej, poodcinane fragmenty ciała, szczątki jej duszy, krew dziewczica.

Ale wypowiedzenie tych słów było jak poderżnięcie sobie samej gardła, bez udziału kata. Największa tortura na

świecie. Prawda.

Mała Marysia wyrzuciła ją w zasmarkany gałgan, tak niewyraźnie, tak dudniąco, że zdawało jej się niemożliwe, aby zrozumieć. Aby usłyszeć. Ale usłyszała.

– Mój ojciec.

ŻELEK HARIBO

Rodzice byli ładnymi ludźmi, wszyscy zawsze mówili, że piękna z nich para, ojciec miał czarne włosy i piwne oczy. Te oczy. Kiedy je sobie przypomnę, automatycznie boli mnie brzuch. Zawsze miał coś dziwnego w tym spojrzeniu, to były oczy... Fuj. To były oczy...

– Kogo?

– Ciężko mi to wymówić. Sam pan rozumie. Bardzo ciężko jest źle mówić o ojcu.

– A więc co z tymi oczami? To były oczy...?

– Psychopaty..., zboczeńca. To były oczy skurwysyna zboczeńca!

Ten krzyk i płacz był inny. W nim się zawarły te wszystkie wściekłości, te rzucanie krzesłem i nienawiść do faceta spod drzwi. To była pierwotna niechęć do Wiktora, to była rozpacz niemocy wobec Mariusza. To był paniczny lęk przed księdzem Szklane Oko, to był gniew po każdym nieudanym związku. To była jej furia i choroba.

– Pamięta pani, powiedziałem, że jest pani wściekła na jedną osobę... To jest ta osoba? Ojciec? – spytał psycholog.

– Nie – odparła bez namysłu, pozwalając odpowiadać intuicji. – Matka.

- *Dlaczego matka?*
- *Bo mnie nie ochroniła.*

o o o

Do lekarza miał ją zawieźć Andrzej. Inaczej lekarz nie zgodził się. Powiedział, że facet ma przyjść, zameldować się i poczekać aż wszystko będzie załatwione do samego końca. A potem ją odebrać. Taki warunek. Zgodziła się, Andrzej też. Nigdy nie podziękowała mu za to, co dla niej zrobił. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

Drugi warunek to pełnoletniość. Maria jest pełnoletnia teoretycznie, ale gdy widzi, jak lekarz przegania jakąś młodą dziewczynę i każe matkę przyprowadzić, postanawia skłamać, że ma dwadzieścia.

Nie sprawdzał.

Bardzo jej zależało, żeby wszystko poszło bez żadnego problemu. Następnego dnia pisemna z polskiego. Słońce świeciło pięknie, kwitły kasztany, żyło się tak jak we śnie. Można założyć spódniczkę. Policzyła, że od zabiegu minie dwanaście godzin, więc ma szansę się ogarnąć i nie spóźnić. Od tej pory chciała mieć wszystko poukładane, obłożone zeszyty i maturę na pięć. Od tej pory jej życie miało mieć ramy, tło i treść. Treść nie tylko „dla dorosłych”.

Z domu wyszła wcześniej, żeby jeszcze ze sobą pobyć, żeby sobie coś tam w głowie poukładać, zanim to się stanie. Była głodna, lekarz nie pozwolił jej jeść tego dnia ze względu na znieczulenie. Minęła więc bez słowa kuchnię, gdzie stała matka, i już w progu, w butach, krzyknęła: „Idę się uczyć do Ewki!”.

Ojca nie było od roku. Zostawił matkę i prysnął w cholerę, jak to określiła, gdy zapytał ją Mariusz.

– Pewnie wróci. To mu się niestety zdarza. Ale musi się wyszumieć – poinformowała go tonem, jakby zapowiadała pogodę. Zero emocji. Zero smutku czy poczucia straty. Nie ma ojca. Niestety będzie.

– Ale mnie wtedy już nie będzie – dodała, myśląc, że wyjedzie na studia albo po prostu wezmą ślub z Mariuszem i do widzenia.

Ale nie wzięli. Dziś jest w zupełnie innej bajce, w swojej własnej, gdzie grała rolę walecznej królowej, którą podstępnie otruto. Tak, to właśnie to określenie, myślała. Zostałam otruta przez matkę, przez ojca i chłopaka. To jest trucizna, która odbiera mi życie. Muszę się ratować, muszę walczyć. Wrzuciła test ciążowy z pozytywnym wynikiem do skórzanej torebki w góralskie motywy i wybiegła na autobus.

o o o

W gabinecie ginekologa były opuszczone rolety i panowała zupełna cisza. Żadna pacjentka nie okupowała poczekalni, nikt się nie kręcił po mieszkaniu. Doktor występował w lekarskim kitlu i Maria poczuła, że teraz jest poważnie. Dziś ten lekarz nie będzie jej podrywał ani zapraszał na kawę. Maria tego nie znosiła, ale nie miała wyjścia. Całe szczęście dziś się nie czepiał. Tajemnica się rozwiła po chwili, gdy z głębi mieszkania wyłoniła się jego żona.

– To moja żona – wyjaśnił lodowato. – Zajmie się znieczuleniem.

Zwróciła uwagę, że żona nie jest zbyt urodziwa. To była jedna z ostatnich „normalnych” rzeczy, które zapamiętała z tego dnia. Potem wypadki pogalopowały, słyszała jakieś słowa, jakieś komendy o narzędzia, mechanicznie wypowiedane hasła, lekki zawrót głowy. Ile to trwało? Może dziesięć minut, może dwadzieścia, a może trzydzieści

sekund? Trzydzieści sekund. Tyle trwała nadzieja na miłość. Od tamtej pory wszystko tylko bolało. Od tamtej pory życie stało się jakby kwadratowe, bez szans na miękkość, bez złudzeń. Może to jej wina? Może to ojciec ją tak skrzywdził? Może to przez ojca nie potrafiła się otworzyć, zmięknąć? Może. Ale też nikt się o to nie starał. Ona sama się nie starała. Stała się dla siebie obca, cała w kolcach. Stała się dla siebie wrogiem, który wbija kolejne dzidy w jej ciało. Mariusz... Facet pełen lęku, który z bezradnego serwilizmu wobec oprawcy czerpał siłę do znęcania się nad nią. A nad kim ona ma się znęcać? Mój Boże, jej ojciec też jest oprawcą, na kim ona ma się znęcać, żeby przeżyć?

Nikt nie uczy kobiet obrony. Żadna dziewczynka nie wie, co robić, gdy spotka ją krzywda. Krzywda... Co to za słowo! Czy w języku kobiet jest takie słowo? Spotkała mnie krzywda. O, tak! Tak mówi Zosia. Spotkała mnie krzywda, dawajcie kamienie, kochani. Nawalajcie w Zosię, bo spotkała ją krzywda! Dobrze, że już nie ma zwyczaju kamienowania kamieniami. Teraz kamienuje się słowami. Odtrąceniem. Pogardą.

Kiedy się ocknęła, było już po. Lekarz pozwolił jej wstać i się ubrać, a potem pokazał, co miał w stalowym naczyniu po zabiegu.

– Tu jest płód – oznajmił jak nauczyciel na wykładzie. – Tu ma głowę, tułów, widać już ręce i nogi.

Faktycznie, jak się przyjrzeć, widać jakieś odnóża. I głowę. Trochę to wygląda jak żelek Haribo. Ten misiek gumowy. O smaku pomarańczy. Bo taki miało kolor. Ale było dużo mniejsze od żelka. Tak, wyglądało jak pomniejszony żelek Haribo. Zanurzony we krwi.

Maria poczuła, jak osuwa się na podłogę. Złapał ją Andrzej, który nie wiadomo skąd się nagle pojawił. Jednak ten lekarz miał rację. Nie dałaby rady pójść sama do domu. I choć nie czuła bólu, coś ją sieknęło, jakiś niewidzialny

potwór powalił ją z nóg. A potem już było tylko gorzej. W samochodzie zachciało jej się wymiotować i rozboleła ją głowa. Jakoś jednak się z niego wygramoliła pod swoją klatką, weszła do domu i cichaczem przemknęła do swojego pokoju. Tam skuliła się na tapczanie i zasnęła.

o o o

Obudził ją potworny ból w podbrzuszu. Było trochę po północy, matka spała. Przeczłgała się do łazienki, usiadła na klozecie i zaczęła bezgłośnie wyć. Coś przez nią przechodziło, coś co miało właśnie takie kolce, o których myślała niedawno. To coś było jednym wielkim cierpieniem, potworną śmiercią w męczarniach. Mała Marysia. Jej mała Marysia umiera. Nie było komu się nią zająć, nie było komu przytulić.

Ta śmierć wywołała w niej panikę. Panikę, że umrze tu, na podłodze w łazience, a rano znajdzie ją matka, rozpozna, co się stało i zrobi się skandal. Wyobraziła sobie, co jej matka na to, że ona była w ciąży, a jeszcze w dodatku, co na to, że miała aborcję. Znow widziała własny pogrzeb i znow w tej samej hańbie. Jak ona mogła to zrobić? Ciotka, babka, wszyscy sąsiedzi patrzą i widzą ten żelek Haribo w toalecie. Od rana do wieczora to samo, jak nie gówno, to te babskie strzępy.

Wyobraziła sobie to, ale nie miała siły dalej o tym myśleć, bo ból znow ją zdjął kolejnym atakiem i poczuła, jakby przez jej podbrzusze przebił się sztylet. Skurczyła się i wydała z siebie niekontrolowany jęk. Do klozetu wpadł zakrwawiony gałgan, który wyglądał jak postać z obrazu Beksińskiego. Jestem w piekle, pomyślała. Jestem w horrorze, to się nie dzieje naprawdę! To niemożliwe, żeby taki ból istniał! To niemożliwe, że ja nadal żyję!

Pomyślała w panice o Andrzeju, że może powinna do niego pojechać, ale nie może postawić kroku, nie ma telefonu, nie ma nic, nie da rady. Szczególnie tu, w tym kiblu, z obcym w trzewiach, w imadle rozdzierającego bólu. Nie da rady. Nie może. Ile już tu jest? Pół godziny? Godzinę? Może ten lekarz nie wyjął wszystkiego? Może jej aborcja trwa w najlepsze? Może nigdy się nie skończy? Tylko teraz będzie to aborcja samej siebie. Abortujmy Marysię. To taka wpadka. Taki słaby pomysł.

Ojciec jej mówił, że jej nie planowali. Że nikt jej nie chciał. Że nie ma nic do powiedzenia. Że musi się na wszystko zgadzać. Że to jej rola w życiu. To ona się zgadza, proszę bardzo. Nikt jej nie chciał, to się usunęła razem z płodem. Razem z żelkiem Haribo. I teraz właśnie trwa jej agonía. Proszę bardzo: tu są ręce, tu nogi, tułów, głowa. Całkiem wykształcone, niemałe i nie takie pomarańczowe. Ma nie tylko odnóża, ale ma też układ nerwowy, ma emocje – choć zamrożone, jednak się odzywają. Ma jutro maturę z polskiego, ma też krótką spódniczkę, w której na maturę ma iść. Nie idzie iść, powiedziała kiedyś jej kuzynka z Kaszub, gdy jako dzieci spotkały się w wakacje nad morzem, ale na plażę „nie szło iść”, taki był wiatr. Maria się wtedy z tego śmiała. Nie idzie iść...

Chciałoby się umieć śmiać. Chciałoby się być dzieckiem. Zabiłaby ojca, zanim się to wszystko zaczęło. Zabiłaby, bo dzieci nie mogą iść do więzienia. Zabiłaby i potem już miałyby zawsze obłożone zeszyty.

Tymczasem to ona umierała. Jej śmierć jak kamienowanie, krzyżowanie, palenie na stosie. Ostateczne rozwiązanie kwestii kobiecej. Co robimy z kobietami? Musimy to ostatecznie rozwiązać. Kobieta. Ma cipę, dupę i cycki, ma okres, macicę i płodność. Mało? Mało, żeby wreszcie to ukrócić? Żeby dać nauczkę, że takich rzeczy SIĘ NIE MA?

Cała jej wina leżała w kobiecości. Zanim stała się kobietą, wszystko było w miarę normalnie. W miarę dobrze. Owszem, były awantury i dzikie hece, był alkohol i zdrady małżeńskie, przemoc domowa też była. Ale przynajmniej jej nikt nie ruszał. Nikt od niej nie chciał rozłożonych nóg, Marysia, weź te nogi nieco rozszerz! Kurwa!!! Krzyczała niemo, gryząc własną dłoń, kurwa!!! Nie było tych pierdolonych nocy, w których ze strachu się pociła, nie było dotyku, nie było zapachu spermy, zapachu tych krzaków na drodze do szkoły, tych kwiatów, których tak nienawidziła! Nie było nic, co się klei, moczy, ciapka, kłaska. Nikt nie miał przyspieszonego oddechu, nikt nie bawił się niczym na dole, nikt nie pytał, czy jest dziewicą.

Kurwa!!!

Nienawidzi tego pytania, nienawidzi Mariusza za to, że tak mu zależało na jej zasranym fałdzie błonowym w pieprzonej cipie, która, jakoś tak się składa, przestała dawno do niej należeć. Trzydzieści sekund, kurwa, trzydzieści sekund, ani się obejrzała, a siedzi na klozecie i wyrzuca z siebie krwawe postacie z Beksińskiego. Trzydzieści sekund obalania mitów i wiary, że kobieta coś MOŻE. Gównno, nic nie może, nic jej się nie należy, tylko pokora, strata, ból i poniżenie.

Matka śpi. Matka śpi, ojciec przychodzi do jej pokoju, matka śpi. Matka śpi, ojciec każe jej rozewrzeć nogi, matka śpi. Matka śpi, ona wymyka się przez okno, szukając w świecie choćby namiastki uczucia, trzydziestu sekund pseudomiłości, matka śpi. Matka śpi, jej po udach cieknie sperma, matka śpi. Matka śpi, ona po cichu robi test ciążowy, matka śpi. Matka śpi, ona wraca ze skrobanki, matka śpi. Matka śpi, ona umiera, gryzie palce, wyje z bólu, matka śpi.

Koniec.

A gdzieżby, żaden koniec! Matura z polskiego! Maria wstaje z łóżka po nieprzespanej nocy, patrzy w lustro, jest blada jak papier. Do koloru zakłada białą bluzkę i granatową spódniczkę, po czym wychodzi bez śniadania, a idąc na przystanek, podtrzymuje się murów kamienicy. Skulona, skręcona, wchodzi do autobusu i pada na krzesło przy oknie. Żeby tylko nikogo nie spotkać, powtarza w duchu. Żeby tylko nie gadać z nikim. Żeby tylko dojechać do szkoły, tam przy szkole jest aparat telefoniczny, ona zadzwoni do tego lekarza, powie, że umiera, panie doktorze, umieram, czy to normalne?

Z autobusu wypada wprost w ramiona Andrzeja. Skąd wiedział? O Boże, jaka ona głupia, przecież codziennie przyjeżdża o tej porze. Nic nie myśli, nic nie może myśleć, bo ból ją od myśli znieczula.

– Marysia, jesteś zielona – zauważa Andrzej, a ona kiwa głową, tak, jest zielona.

– ET phone home – próbuje żartować.

– Nie home, tylko do lekarza jak najprędzej, bo właśnie ET nie żyje – mówi Andrzej. Straszna scena, rozdzierająca, prawda, tylko że tu Ziemia, nie ma zmiłuj, żadnego zmartwychwstania, matura na pięć. Lekarz nie odbiera, może za wcześnie, może pojechał do szpitala? Mała Marysia idzie pisać egzamin dojrzałości, wchodzi jak zombie na salę, wszystko rozmazane, ona siada przy ławce, nauczyciel ją mijają, patrzy lekko nieprzytomnie, aha, ty tu sobie poradzisz. Owszem, ona sobie poradzi, ciągle sobie przecież radzi, właśnie ma aborcję, nieustający zabieg, którego koniec wyznacza śmierć. Ile jeszcze? Cztery godziny? Luz, co to dla niej? Jaki temat? Negatywna postać kobiety w literaturze? Wymarzony. Mała Marysia pisze o sobie, udając Ewę

z Żeromskiego. *Dzieje grzechu*. Piękna historia. Cztery plus.

o o o

Trudno powiedzieć, jak to było. Jak było dalej. Bo Maria nie pamięta, jak wyszła z gabinetu psychologa. Pamięta za to, jak oberwało się niebo i runęła z niego ściana czarnego deszczu.

CZEŚĆ V. CZARNY DESZCZ

Oberwało się niebo i runęła z niego ściana czarnego deszczu. Miriam, której szaty podarły się na strzępy od niemożliwego do wytrzymania wiatru na szczycie góry, podniosła głowę resztką sił i spostrzegła w tym deszczu pędzącego ku niej kawalerzystę z wycelowaną w nią dzidą. A potem usłyszała nagle potężny głos hegemonia:

– Stój! Nie zabijaj!

Kawalerzysta zahamował konia, a jego oburzenie i niezgoda aż zadrżały ulewą.

– Jak to?! Hegemon sam rozkazał!

– Nie jestem hegemonem, głupcze. Mów do mnie prokuratorze. Miłościwy prokuratorze!

– A co to za nowa moda, panie?!

– *Tempora mutantur!*

– Że niby co?

– Idź się przebierz lepiej, bo ciebie też ukrzyżują.

Obrońca Życia w pełnym osłupieniu zawrócił konia i pognał co sił się przebrać. Dwóch żołnierzy wspinało się na krzyż po wielkich drabinach.

– Co za idiotyzm – przeklinali, ścierając z siebie strugi wody. – Co jeden to ma lepszy pomysł! Najpierw każą krzyżować, a potem zdejmować, co za robota syzyfowa!

– Z Kościołem się nie dyskutuje. – Rozkłada ręce prokurator, a w strugach deszczu ukradkiem łowi spojrzenie Miriam.

Zmęczona, obolała, ale żywa. Zaraz mu pomoże! A Miriam

zdjęta z krzyża, słańia się na nogach, opiera ręką o drewno, ociera się z krwi.

– Tak, pomogę ci, panie, ale w pośpiechu, bo nie mam czasu, muszę lecieć na stos.

– Jakoś się uwiniesz, Miriam. Kto jak kto, ale ty dasz radę.

– Oczywiście, nie zawiodę ciebie, panie. Panie Miłościwy Prokuratorze.

– Bo mnie się wydaje, że sam pokój nie wystarczy. Potrzebny mi jeszcze masaż. I jakaś strawa. No i wiesz... Jesteś w końcu kobietą...

– Co takiego, panie?

– Chodź, wykąpiesz się w mleku i potem pozwolę ci się mną zająć.

Idą razem, on na przedzie, ona z tyłu, kuśtyka z dziurami w stopach, krwawi z dłoni, brnie przez błoto, podczas gdy prokurator kroczy dumnie, radosny z powodu chwili, tej krótkiej chwili, dopóki Miriam znów go nie opuści, nie pójdzie sobie umierać i nie zostawi go samego biednego, zbolełego od wydawania ciężkich wyroków śmierci, z przerażającą pustką i migreną.

Ale jeszcze nie teraz, jeszcze moment, choć Kajfasz stoi już pod pergolami, czeka na swoją zdobycz, już jego ludzie rozpalają stos. Za chwilę pokrwawioną od krzyża, obitą od kamieni kobietę przywiążą do pali. Pod stosem wzniecą ogień, dorzucą słomy, drew i potężne płomienie będą parzyć Miriam od pokaleczonych stóp, przez jej grzeszne nogi, plugawe łono, rozhisteryzowaną macicę, pełen diabelskich tajemnic brzuch, pełne trującej substancji piersi, chude i zdradzieckie ramiona, włosy zbyt śmiałe, czarne, pokręcone jak szatański pomiot, oczy z nadprzyrodzoną mocą, która chroniła ją przed słońcem, ale przed świętym ogniem już nie ochroni, wreszcie jej pogardliwie umniejszany, a tak przecież przerażający umysł.

Ona się spieszy, biegnie rannymi stopami do chłodnego przedsionka zamku, tam sprawnie dobiera olejki, dźwiga warzywa, mięsiwo, pół wołu na rosół, sprzęta przy okazji zakurzone kąty, stawia na stół pieczyście, robi przepierkę prokuratorskich szat, po czym układa go do snu, wmasowuje oliwę (tylko nie różany olejek, na Boga!), po czym znów obolałymi stopami pokonuje korytarz, wybiega na taras i wskakuje w kajdany, by biec za powozem wiozącym kapłana, wprost na Łysą Górę, na przyobiecany stos. Oczywiście nie ma mowy o kąpieli w kozim mleku, nie ma czasu nawet na chwilę wytchnienia, tego jest tyle, że się nie da obrobić, a jeszcze słyhać ten głos.

– Miriam! Kobieto! – woła ją z zamku niedopieczony Piłat. – Nie zaparzyłaś herbaty!

I Miriam, która przecież mogłaby spokojnie sobie umrzeć bez wyrzutów sumienia, bez poczucia winy, teraz gnie się pod ciężarem tych słów, słów potworniejszych niż śmierć, słów nigdy nieuciszonych:

Nie zaparzyłaś herbaty. Kobieto.

SEN

W Polsce mieszka pięć milionów kobiet, które dokonały aborcji. Według raportu CBOS z 2013 r. *Doświadczenia aborcyjne Polek* w ciągu całego życia ciążę przerwała, z dużym prawdopodobieństwem, nie mniej niż co czwarta, ale też nie więcej niż co trzecia dorosła Polka. W skali całego społeczeństwa daje to od 4,1 do 5,8 mln kobiet.

o o o

Śmierć Marii trwała tydzień. Leżała w łóżku bez ruchu i patrzyła w ścianę. Nie wstawiała na posiłki. Teresa przynosiła jej śniadania i obiady, a te często zostawały nietknięte na parapecie. Nawet sękacz domowej roboty, który jej lokatorka załatwiła od jakiejś kobieciny z pobliskiej wsi, leżał i sechł na sanatoryjnym oknie. Deszcz padał na zmianę z ostatnimi w tym roku promieniami słonecznymi, czas płynął, a ona leżała w swojej katatonii zanurzona, bezradna, pusta jak trumna.

Po tygodniu jej zamrożenia, gdy przyszedł weekend i Teresa wyjechała na wycieczkę do Wilna, poczuła, że coś się stanie. Poczuła to najpierw na skórze, potem gdzieś

głęboko w brzuchu, aż wreszcie zadrżało na jej ustach. Poruszając nimi, bezgłośnie wypowiedziała, co w niej było, co musiało się wypowiedzieć:

– Wiktor.

o o o

Najpierw latałam. Latałam właściwie przez większość swojego dzieciństwa, dopóki nie zaczął mnie gonić zboczeniec. Moje latanie nie było zwykłym lataniem – jak ptak. Nauczyłam się latać w taki sposób, jak się pływa. Stylem żabki. Wystarczy się nieco wysilić, zwłaszcza na początku, gdy człowiek musi pokonać barierę grawitacji. Zazwyczaj ten moment jest dość trudny, pojawia się lęk i chwilowy brak wiary w siebie, ale to mija. Mocny, zdecydowany ruch ramion, miarowe odepchnięcie nogami mas powietrznych daje imponujący efekt. A potem już się zapomina o strachu, o zasadach fizyki, o wszystkim. Potem się ogląda świat, potem się podziwia widoki.

Z początku latałam na małych przestrzeniach, na przykład w pokoju. W szkole. Na strychu. Kuciałam na sprzętach, lądowałam na piecach kaflowych i szczytach szaf. Szybko mi się to jednak znudziło, zaczęłam więc skakać z okien ku suchemu przestworowi oceanu. Tam była odpowiedź na pytania o sens życia. Tam była cała radość i zachwyty, jakiego tak trudno dopatrzeć się na jawie. Tam była prawda, którą potem każdy człowiek próbuje odkryć po siódmym kieliszku. Nie odkrywa. Nie odkryje. Po alkoholu źle się śpi, po alkoholu się nie lata.

Ja spałam trzeźwa jak anioł i wciąż latałam. Ludzie dreptali po chodnikach miast, jeździły tramwaje, autobusy, ciężarówki. Tam i ówdzie przejechał jakiś rower i wszystko toczyło się swoim rytmem. A ja latałam. A ja patrzyłam na

przestrzenie między dachami, ja widziałam iglice kościołów. Drzewa i gołębie wśród liści, jeziora, lasy i rzeki. Tak sobie latałam beztrąsko, aż przyszedł ten cholerny zboczeniec. Facet w prochowcu, twarz zakryta, idzie za mną, a ja nagle nie latam. Biegnę jak szczur do klatki schodowej zdyszana, przerażona, niema. Nie umiem już latać, już jestem za ciężka, za słaba, za głupia. Już jestem kobietą, której życiową misją nie są widoki, radość i zachwyt, ale ucieczka. Ukrywanie siebie, umykanie do klatki przed facetem w prochowcu. Facet w prochowcu jest wielki i groźny, facet w prochowcu jest mocny i straszny. Ja słaba. Ja żadna. Ja marna.

Zboczeniec wracał tak uparcie, że wyparł całkowicie latanie. Wbił mnie w ziemię kłutwą nielota, zabrał mi moc moich ramion. Jak w tej baśni o czarownicy Diabolinie, której zazdrosny kochanek odciął skrzydła, gdy spała. Która bez skrzydeł straciła moc. Ja też straciłam moc. Bałam się zasnąć każdej nocy, wiedząc, że znów będę uciekać, że będę się bać, że strasznie będę się wstydzić. Bo trzeba wiedzieć, że gdy uciekałam, zawsze te drzwi do klatki były zamknięte, wtedy biegłam do następnej klatki i tam też było zamknięte, a gdy szukałam schronienia w trzeciej – dziwnym zrzędzeniem sił robiłam się goła. I ludzie, których kiedyś oglądałam z góry – teraz patrzyli na moje nagie ciało, patrzyli z naganą, z odrazą i gniewem. A ja skurczona, wpół zgięta, pokracznie osłaniałam swoje wstydlive miejsca i kluczyłam w kierunku jakiegokolwiek schronienia.

I tak dorostałam. Ale dorosta nie stałam się silna. Skrzydła mi nie odrosły, ubrania mnie nie zakryły. Tylko ten lęk w prochowcu ciągle za mną podążał. A panorama świata, panorama uczuć – wciąż niedostępna. Aż przyszła kolejna noc. Dziwna i straszna, lecz trochę też miła. Jak film, jak teatr, w którym niby gram rolę, a jednak to się dzieje naprawdę.

Tej nocy urodziłam dziecko. Dziecko, którego się nie spodziewałam. O którym, być może, zapomniałam? Którego

nie znałam, o którym nie wiedziałam wiele, prócz tego, że oto – bach i jest. Jest i rób coś z tym. Matko Polko, zajmuj się i martw. Dźwigaj, karm i kochaj. A ja nie kochałam. Ja patrzyłam z boku i oceniałam. Jak wygląda? Ile waży? Normalnie? Kto wie, skoro nie mam wagi? Trzeba iść do innych kobiet, do matek Polek, przeciętnych normalnych, które rodzą normalne dzieci i NORMALNIE się nimi zajmują. Patrząc za parawan, jest tam jakaś matka, ona też ma dziecko, ale jej dziecko jest jakieś mniejsze. Dużo mniejsze. Wszystkie są mniejsze. Tylko moje wielkie. Ogromne. Niezwykłe.

Nienormalne. I nie wiem, co z tym dzieciakiem teraz. Co teraz? Chowam się zakłopotana, boję się, co powiem rodzinie. Co powie lekarz? Ale, ale. Tylko patrzcie! To dopiero początek! Wielkie dziecko wychodzi z becika, otrząsa się, skacze na poręcz i przybiera postać zwierzęcia. Kota! Dzikiego, wielkiego i w prążki. Kawał drapieżnika. Jaki to gatunek? Myślę gorączkowo, że muszę sprawdzić w Googlach, ale teraz nie mam czasu, co ludzie powiedzą, po porodówce skacze kot?! Druga rzecz, że dzieciak mi za chwilę całkiem ucieknie, więc łapię go na ręce i ciągnę z całej siły z powrotem do łóżeczka. Ale nie mogę, bo kocisko – gepard to, tygrys czy lew? – jest większe ode mnie, w dodatku drapie i gryzie! Fukam na niego, bądź grzeczny, ale on na mnie gwizdże i wcale grzeczny nie będzie. Nie będzie! On ma pazury i zęby, on ma mięśnie ze stali. On ma złotą sierść.

Kobieta za parawanem głową kręci, ale jakoś bez nagany, raczej z podziwem. To ci dopiero! – mówi. Ty miałaś taką moc?!

Ja miałam taką moc. Zawsze, od dziecka miałam moc. Ktoś mi po drodze wmówił, że facet w prochowcu miał większą. A weźcie faceta w prochowcu postawcie przed tygrysem? Dajcie go do lwa. I siadam rozbawiona i zupełnie goła obok kota na poręczu. Już nie boję się faceta w prochowcu, nie boję się niczego. Nie wstydzę się ani trochę. Mam dzikość w sercu,

mam pazury i zęby. Przytulam się do miękkiego futra swojego „dziecka”, mojego „zwierza”. On jest mój, on jest częścią mnie, on mi nie grozi, on mnie obroni.

Wczoraj znów latałam. Wyskoczyłam przez okno połaciowe, co jest największym wyczynem. Coś jak bungee, tylko bez lin. Najpierw się wdrapałam na dach, odbiłam się od framugi okna, a potem: hop! – pofrunęłam. Widziałam ludzi w wiosennych ciuchach i kwiaty wśród traw. Widziałam świat wzdłuż i wszerz, to, co widzialne i to, co nie. Widziałam moje sny. Widziałam moje życie.

o o o

Wszedł do jej pokoju po cichu, bez słowa, jak nie on. To znaczy, może i coś mówił, ale żadne z nich tego nie pamięta. Żadne z nich nie zapamiętało słowa z tego dnia. Ale oboje wiedzieli wszystko. Właściwie od pierwszego stuknięcia w drzwi wiedziała, że to on. Wiedziała, bo przecież kilka minut wcześniej, pod kołdrą, bezgłośnie ruszając ustami, wypowiedziała jego imię. A powiedziała je tak, jak sama słyszała nieraz w swojej głowie, tak właśnie jak słyszała te swoje: „Maryśka!”.

Gdziekolwiek był, cokolwiek robił, musiał ją usłyszeć. Wiedziała to z całą pewnością, właśnie taką, z jaką ludzie wiedzą, gdy ich myśli są wreszcie jasne. Ta właśnie jasna myśl przemknęła jej przez schowaną pod kołdrą głowę, jedyna jasna myśl od tygodnia, miesiąca, może od początku życia?

Nic więcej. Tylko jego imię. Tylko jedna myśl.
– Wiktor!

Pukanie. Milczenie. Odgłos zamykania zamka na klucz. Kroki. Jego dłoń na jej ramieniu. Skrzypnięcie łóżka. Odsunięcie kołdry. On obok niej. Zimne krople deszczu na

jego ustach. Pada deszcz. Czarny deszcz. Przyniosłem ci trochę kropel, żebyś nie zmarła z pragnienia. Nie umrę. Bo już jesteś.

Jego dłoń na jej zimnym od śmierci czole. Jego oddech na jej zmartwiałych od milczenia ustach. Ich myśli splątane od nagłego przyspieszonego dialogu bez wypowiedzania słów.

Czekałem, aż mnie zawołasz.

Nie byłem gotowa.

Wiem.

Jej koszula jak bandaż na zmumifikowanych zwłokach, jego bluza z orłem jak gałąn papierowego ręcznika na biurku psychologa. Płacz, kochana, wszystko wsiąknie, wszystko wypiję jak gąbka. On jest taki mały jak chłopiec, ona jest taka mała jak dziewczynka, oboje skuleni, wtuleni w siebie, drżący od życia-nieżycia. Ona wsuwa się pod tę jego bluzę, gdzieś po drodze gubiąc koszulę. Wklejają swoje ciała w siebie, łącząc tętno, żyły, mięśnie. Ona otwiera łapczywie usta i gryzie jego skórę, jakby chciała zabrać dla siebie trochę życia z tych resztek, co w nim zostały. Z minuty na minutę wypełnia ją nurt jego krwi, tlen z jego płuc, ciepło z jego żył. Teraz ożywa, budzi się z przyspieszonym oddechem niczym ogłuszone narodzinami szczenię, skulone od ogromu świata. Palce wdziera między jego palce, przyciska się do niego gwałtownie, obejmuje ramionami, jakby jej rozpoczęte przed chwilą życie miało za moment zgasnąć. Ale jej nowe życie jest żarłoczne, jej nowe życie jest zachłanne, jej nowe życie chce żyć. Chcę żyć! – krzyczy do niego w myślach, a on jej odpowiada głębokim oddechem, gorącym tak, że rozpala jej szyję, kark, twarz, usta. Szuka więc po omacku tego parzącego oddechu, pod tą kołdrą jest ciemno, za oknem jest ciemno, przecież pada czarny deszcz, z nieba leje się żałoba, opłakuje wszystkie ich małe śmierci, ich niespełnione pragnienia, ich tęsknoty, pustki, odrzucenia, nienawiści. A u nich pożar. Cały ból

splątany teraz w jedność płonie, płonie piekło, płonie przekleństwo woli życia. On ją unosi, dziwi się, jaka ona jest mała, jaka lekka, jakby jej nie było nigdy, jakby jej nie spotkał wtedy na korytarzu, gdy z impetem wpadła na niego, cała taka mocna, silna od swojej furii spojrziała z nienawiścią, jakby chciała wbić go w ziemię, jakby nie był wbity w ziemię.

A przecież był. Od dawna, od lat nie mógł się spod tej ziemi wygrzebać, nie mógł wyjść z własnego truchła. Wszystko potem to były tylko kolejne grudki ziemi, kamienie bezlitośnie rzucone w jego drobne ciało. Ona też miała być kamieniem, uderzyła go z taką mocą gniewu, że aż się skulił, przystanął, obejrzał.

Patrzył na nią, jak znika w drzwiach głównego wyjścia, jak biegnie jej cień po alei, jak jej stopy rozbryzgują kałuże pierwszego od wielu tygodni deszczu. Wtedy poczuł lęk, że jej więcej nie zobaczy. I zaraz potem zdumiał się, skąd to uczucie?

Teraz pomyślał o tych jej stopach w kałużach, że wtedy nawet chyba się zmartwił, że je zmoczy. I nagle zawładnęła nim ciekawość, taka wielka, dziecięca ciekawość jej stóp. Sunął więc dłonią po jej łydce, kostce, aż znalazł stopy, które badał chciwie, palec po palcu, wcięcie, potem piętę, znów wrócił do palców, dotykając ich gładkich paznokci i nagle zatęsknił całym sobą do każdego kawałka jej. Odrzucił kołdrę i przyzwyczajony już do mroku spojrział na jej nagie, błyszczące ciało, jakby oślepiiony wielością doznań, jakby zdumiony, że nie tylko stopy, że tego jest tyle, że kiedy, jak, czy zdąży, czy nie zabraknie mu czasu?! Jednym ruchem zdjął bluzę z orłem, rozpiął spodnie i rzucił się w pośpiechu na jej piersi, brzuch, uda, zatopił się w zakamarkach jej ciała, w tej nagle odkrytej przez ich oboje kobiecości, jakby faktycznie przez całe życie umierali spragnieni i oto pojawiła się rzeka, woda życia.

Deszcz.

A potem znów się podniósł, znów spojrział na nią z tym swoim niedowierzaniem, chcąc sobie przypomnieć, uświadomić, że to się dzieje, że to jest naprawdę, że ona nie zniknęła, nie zmarła, nie odeszła. JEST. Jesteś, pomyślał, a ona pomyślała: JESTEM.

Pochylił się całym ciałem nad nią, patrząc prosto w jej oczy. Jesteś, powtórzył, jestem, powtórzyła, patrząc tak samo zachłannie, tak samo zuchwale, z takim samym zdumieniem. Tak jak wtedy, gdy wpadła na niego na korytarzu z impetem, tak teraz z całą mocą przywarła do niego, objęła go udami, oplótła stopami. Oprócz tych ich spojrzeń nie było już nic na świecie, nic, tylko jeden puls, jeden rytm, jedno życie.

TO NIE TAKIE PROSTE

22 października 2016 roku w Wysokich Obcasach ukazał się wywiad z młodą artystką. Piosenkarka przyznaje się w nim do aborcji. Nie tłumaczy się specjalnie, dlaczego to zrobiła. Nie miała warunków, za małe mieszkanie, za mało czasu. Nie chciała dziecka.

Jej wyznanie zatrzęsło krajem. Kobiety uczestniczące w Czarnym Proteście odcinają się od artystki. Na popularnych feministycznych stronach pojawiają się komunikaty o dystansowaniu się do takich argumentów, jakie padły w wywiadzie. Czołowe feministki w swoich felietonach apelują o rozum. „Nie o taki wybór nam chodziło” – piszą kobiety pod wyznaniem artystki.

o o o

– Chciałyście wyboru czy co? Jak to – nie o to walczyłyście? A o co? Co było na tych transparentach? To ja ślepy byłem?! Ty, bo zobacz. Ja jestem prosty facet. Pomyślałem, przemyślałem i ze mną jak z dzieckiem. Proszę bardzo. Feminizm? Ze mną nie ma problemu, wiesz, o co chodzi. Mówisz i masz. Mnie nie trzeba długo przekonywać.

Ja jestem otwarty. Tylko, proszę ja ciebie, powiedz mi, o co wam właściwie chodzi? Wyszło! Wyszło. Za małe mieszkanie, kurwa! Za mało kasy! To, tamto! Weźcie te swoje transparenty i dalej protestujcie! Albo walnijcie się w łeb! – perorował Wiktor.

Kobiety z grupy „psycho” słuchały pełnej nagany wypowiedzi Wiktora i nawet nie próbowały mu przerwać. Siedzieli wszyscy w stołówce na obiedzie i pękali od emocji.

– Usunęła, bo za małe mieszkanie? Sześćdziesiąt metrów to małe?! – oburzała się Krysia, zwracając się do Zosi, której stanowisko wędrowało od całkowitego potępienia do jakichś niejasnych dywagacji, że kiedyś były inne czasy:

– Kiedyś się miało pięcioro i jeden pokój z kuchnią, i jakoś się żyło. A teraz sześćdziesiąt metrów i raptem dwoje dzieci!

– Co to jest dwoje dzieci? Ja wychowałam czwórkę ze starym, co dzień w dzień chlał – wyznała Krysia.

– Teraz to młode życia nie znają – zauważyła Ewa, nakładając sobie porcję krupniku.

– Jeszcze im wszystko nie pasuje, za mało wygodnie, do czterdziestki karierę robią, a potem co. In vitro! – Krysia.

– Ja rodziłam na żywca bez żadnych znieczuleń, a teraz znieczulenia, wanny, masaże... – Zosia.

– I tak za mało – Ewa.

Maria wiedziała, że w całym kraju jest podobnie. Że te same kobiety, które pisały na transparentach flamastrami WOLNY WYBÓR, dziś szukają winnych właśnie tego wolnego wyboru. Ofiara zawsze wywołuje złość, pomyślała. Tak właśnie było z Zosią. Im więcej odsłaniała swoich słabości, tym większą wzbudzała niechęć. Im większa szczerłość, tym mocniejszy cios.

Ofiara jest bardzo potrzebna. Każdy chce mieć ofiarę. Najlepiej, gdy ofiara jest wspólna dla większej grupy. Skupia się wtedy na niej wszystkie niepowodzenia, własne winy,

własne niepokoje, to co boli, czego nie mamy, co nam się nie udało, a nie udało się właśnie przez takich jak ona – ofiara. Najczęściej kobieta. Jeszcze lepiej: matka. Ta, która karmi piersią dziecko w jakiejś oddalonej od nas dziesiątce kilometrów knajpie. Ta, którą zgwałcili na wyjeździe integracyjnym. Ta, która przewija niemowlaka w miejscu publicznym, w którym wcale nas nie ma i nigdy nie było. Ta, która zostawiła dziecko z powodu depresji poporodowej, której nie widzieliśmy, nie znamy i nie mielibyśmy pojęcia, gdyby nie TVN. Ta, która usunęła ciążę, jak pięć milionów innych kobiet, właśnie dziś oburzonych.

Nie chcą jej znać, nie chcą się z nią zaprzyjaźnić, nie chcą się zbliżyć. Czują ulgę, gdy obrzucają ją wyzwiskami. Mają chwilową satysfakcję, gdy obarczają ją własnymi wyrzutami sumienia. Trzymają się od niej na dystans. Chcą, żeby była OBCA.

Maria też nie chciała odstawać. Nie chciała wyjść na podłą zimną sukę, która popiera aborcję z wygody.

– Trzeba było pomyśleć wcześniej...

Usłyszała własne słowa, a musiały być one dość głośne, bo wypowiedziane na stołówce, gdzie rumor i trzask zwykle zagłuszał rozmowy, teraz zabrzmiały zdumiewająco donośnie. I choć denerwowała ją ta cała nagonka, nie miała w sobie siły ani odwagi nie potępić. Wiedziała, jakie nastroje są w całej Polsce, widziała, że nawet czołowe feministki odcinają się od TEGO wolnego wyboru.

„Trzeba było pomyśleć” – to nie były jej słowa, ale właśnie publicystki o znanym nazwisku. Powtarzając je, dawała sobie jakiś kawałek bezpieczeństwa, jakiś wybieg.

– Nie wierzę własnym uszom – warknęła nagle Teresa, która do tej pory nic nie mówiła. – Nie wierzę, że główna feministka psychoturnusu mówi takie głupoty.

– Głupoty? – powtórzyła niepewnie Maria.

– A co? Nie nauczyli cię w szkołach, co to znaczy WOLNY

WYBÓR? Że jak czegoś NIE CHCESZ, to decydujesz, że NIE MUSISZ?

Maria zaniemówiła. Gdzieś w środku poczuła niezgodę, sprzeczność, uwieranie, którego nie sposób przeoczyć. Coś tam w niej krzyczało bezgłośnie, coś się nie zgadzało, coś znów miało się wydarzyć.

o o o

Jest taki moment w życiu kobiety, kiedy zaczyna wychodzić z jakiejś skóry. Kiedy zaczyna zdejmować maskę. Kiedy ma już dość i to nie tak dość, żeby wyjść na manifestację, żeby dźwigać transparent. Ale jej DOŚĆ jest wielkim protestem, protestem, który nie tylko każe wyjść na ulicę. To protest, który każe wyjść z ROLI.

Maria, gdy mówiła na stołówce te słowa, nie wiedziała jeszcze, że tkwi w roli od wielu, wielu lat. Ale jej uwieranie było znakiem. Wskazówką, kategorięczną diagnozą. Bez diagnozy trudno o leczenie. Bez wskazówki ciężko wyjść. Wyjść z labiryntu stereotypów, przyzwyczajzeń, własnej autoagresji.

Nad ranem, gdy się obudziła, a Wiktora obok niej nie było, poczuła dotkliwą, znajomą emocję. Zlekceważyła ją, bo przecież nic się nie stało, WSZYSTKO W PORZĄDKU, tu jest sanatorium, każdy idzie do siebie. Nie! Nie! To wcale nie jest typowy, sanatoryjny romans, to spotkanie dwóch zagubionych dusz, dwóch pokaleczonych ludzi, którzy sobie dają życie. Przecież bez jego oddechu mogła się udusić, on bez jej ramion by szczył. To coś więcej, choć może za wcześnie mówić co, ale przecież COŚ WIĘCEJ.

Zbiegła na stołówkę cała wystosowana, jak Teresa, która nie wyszłaby na śniadanie bez makijażu. Maria też zrobiła makijaż. I założyła niebieską bluzkę, w której wyglądała

młodo i świeżo. Aha, i paznokcie pomalowała, a co. Ale gdy wchodziła do jadalni, jego nie było. Pewnie spał. Pewnie go Krzychu nie obudził. Albo się spóźni. Czemu się w ogóle dziwić, ona wiele razy nie schodziła, gdy leżała skulona. A może leży skulony? Może jest w dołku? Niemożliwe. Po czymś takim nie można być w dołku. Uspokoila się więc i poszła na swoje miejsce.

Ale ciągle się obracała.

I sprawdzała, czy już jest.

I wciąż go nie było.

Ze śniadania wracała już zła. Zawiedziona i rozczarowana. Przez moment pomyślała, by do niego zajść, ale coś jej nie pozwalało. Strach. Strach, że będzie głupio. Wstyd! Wstyd, że za nim łązi. Do cholery! Maria miała już cztery dychy na karku i ciągle wstyd? To kiedy, u diabła, ten wstyd minie?!

Nie zaszła. Poszła, a właściwie pobiegła do pokoju i bardzo szybko, trzęsącymi się z pośpiechu dłońmi, wygrzebała z dna szuflady maleńką foliową torebkę oraz lufkę do palenia. I korzystając z nieobecności Teresy, czym prędzej – tak prędko, żeby żadna myśl jej nie zahamowała – podpaliła zgniecioną w kulkę u wylotu lufki działkę marihuany. Nieźle, pomyślała od razu po porządnym zaciągnięciu się, gdy zaczęła kaszleć. Nieźle mnie walnęło. O czym my tu...? Był jakiś problem?

I od razu uświadomiła sobie, że oto właśnie zostały jej tylko trzy dni. Trzy dni do końca kuracji. A u niej po staremu.

o o o

Kiedy zapukał, nie usłyszała. Miała na uszach słuchawki i zamknięty świat w głowie. Pruća przestrzenie wyobraźni,

którą układały takty jakiejś piosenki, nie wiadomo jakiej, bo wszystko, co się działo, ulegało zatraceniu już po dwóch sekundach. Żyj chwilą, to stan prawdziwej ekstazy. Nie ma problemów, nie ma planów. Jest ten jeden, jedyny moment lotu w przestworzach i jeden jedyny moment doświadczenia. Chwilę później nie ma już o nim wspomnienia, bo oto pojawia się kolejny moment, tak samo wspaniały. I w takim właśnie wspaniałym momencie, oddalona o lata świetlne od porannej porażki, Maria analizowała z wielką dokładnością frędzle przy swoim latającym dywanie.

A on pukał.

o o o

Gdy się ocknęła, wróciła stara emocja i to wróciła ze zdwojoną siłą. Nie przyszedł, nie odwiedził, nie zadzwonił, dudniło w jej głowie, jak w głowie nastolatki. Nie przyszedł, nie odwiedził, nie zadzwonił. UNIKA! I choć bardzo się starała myśleć o czymś innym, za diabła nie umiała. Żadnych nowych myśli. Tylko to stare wystukiwanie znajomego rytmu własnego marszu pogrzebowego:

Nie przyszedł.

Nie zadzwonił.

UNIKA.

Skąd my to, kurwa, znamy? Nie wiadomo. Oczywiście, że nie wiadomo. Ta wiedza tajemna jest w tym momencie absolutnie niedostępna, liczy się tu i teraz, jak na haju, jak po maryśce, tu i teraz latam na dywanie, tu i teraz z dywanu spadłam, tu i teraz leżę na dnie studni, opuszczona, odrzucona, wzgardzona.

Jezu, Boże, jaki wstyd! Jaki upadek! Pani intelektualistka! Pani feministka! Taka mądra pani z banku, niezależna, wszechwiedząca, zagubiona, ofiara własnego

dzieciństwa, dokładnie tak samo jak Teresa. Czemu do cholery trafiłaś do banku? Taka dobra z biologii, że mimo aborcji zaliczyłaś ją na sześć? Mogłaś iść na medycynę, chciałaś iść na medycynę, ale miałaś za mało wiary w siebie, więc się mizdrzysz w biurze obsługi klienta, tak się mizdrzysz, aż trafiasz na oddział i leczysz świra. I tak, droga pani mądra, złożona z pozorów i masek – oto zrobił cię w balona dresiarz, biała siła z orłem na piersiach, narodowa krew z narodowej krwi, narodowa kość z polskiej kości. Bóg, Honor, Ojczyzna i na twarzy ani śladu choćby raz w życiu przeczytanej książki! Żołnierze, w pizdu wyklęci! Słaba jesteś z liczenia, słabo liczysz, kochana, gównem się do banku nadajesz, nic dziwnego, że cię wylali.

O Maryjo, Królowo Polski, jaka ona jest głupia! Co jej do łba strzeliło?! Trzymajcie ją ludzie, trzymajcie kobiety! A tak się irytowała na Teresę, Krysie, Zosie, srosie. Sing-Sing, nie jestem lepsza niż cała reszta pań, cały babski wyż. A nawet niż. Intelktualny.

No ale coś ją niesie, nie daje spokoju, i tak jeszcze na oparach z lufki, zakłada buty, poprawia makijaż i idzie na dół, do kawiarni sanatoryjnej i tam siada przy stoliku i zamawia piwo, i czeka, aż on przyjdzie, bo przecież przyjdzie, nie ma mowy, żeby tu nie przyszedł, codziennie przychodzi i tak, faktycznie, pstryk, czary-mary, oto jest!

Już siedemnasta, nie widzieli się tyle godzin, a on nie podbiega do niej, nie całuje w policzek, tylko trzyma jakiś karton, rozkłada jakieś talerze, coś tam kręci się wokół i chyba jej nie widzi. Teraz ona faktycznie kona, rozpada się w środku, ale udaje, rzecz jasna, że czyta, okrutnie czyta jakąś gazetę, co jej – szczęście wielkie – wpadła przed chwilą w ręce. Jakieś przesadnie interesujące wieści gminne, porażające w swej intensywności kalendarze imprez, koncertów lokalnych gwiazd, doniesienia z budowy, inwestycje na wschodzie, jakaś kolej, jakieś obwodnice. Oho,

patrzcie państwo, jakie to wszystko ciekawe! On się kręci z tymi talerzami, ona ma burzę w mózgu, bo oto, między wściekle zajmującymi frazami, buduje się w jej głowie obraz jakiejś imprezy, na którą nie jest zaproszona, a która się właśnie szykuje w najlepsze, przy udziale jej kochanka z wczoraj, kawalerzysty narodowowyzwoleńczej gwardii, kibica Jagiellonii, Wiktora.

Oczywiście, nie ma to dla niej znaczenia, ona pierdoli kibica Jagiellonii, ona ma tu słupki wydatków samorządowych w Gołdapi, ona ma tabelę.

A w środku łomot, walenie, drapanie, paniczny ryk wołający o pomoc, ratunek, ratunku, ratunku, Mario, ratunku! CO TY ODPIERDALASZ?!

Żeby to było takie łatwe!

Żeby to było takie proste!

To nie takie proste, to nie takie proste, skąd my znamy te słowa, skąd ta fraza się bierze? Można ją wytatuować sobie na czole, ale i tak za każdym razem będzie NOWA, za każdym razem świeża, jakby dopiero teraz, za tym razem aktualna, jakby nigdy wcześniej nie była powtarzana, jakby nigdy wcześniej nie zaprowadziła w ślełą uliczkę. To nie takie proste odejść od Mariusza, to nie takie proste nie dać mu pamiątek, to nie takie proste...

I czterdzieści lat na karku, i to samo wiecznie, czarodziejski kołowrotek.

Maria odrywa się od biuletynu, patrzy prowokacyjnie w kierunku Wiktora, ten odrywa się od talerzy, patrzy na nią i mówi:

– Byłem u ciebie, pukałem, gdzie byłaś?

I nagle wszystko staje się proste.

W ostatni weekend przed wyjazdem nie było zajęć. Żadnych terapii ani relaksów. Zostawieni już tylko sami sobie, podtrzymywali się nawzajem jak inwalidzi wojenni. Na korytarzach zapanował smutek, cisza i jakiś nieokreślony brak. Maria czuła się trochę jak dziecko, które musi opuścić rodzinny dom i zacząć żyć po dorosłemu. Nie wiedziała, czy już umie. Ale wiedziała, że wie więcej niż wcześniej, wtedy, gdy tu przyjechała.

– Poka, poka! – zawołał nagle Wiktor i spojrzał jej badawczo w oczy. Ujął jej twarz w dłonie, zatrzymał przez moment. – Ty wiesz, jakie ty masz niebieskie oczy?!

Maria znieruchomiała zdumiona na tapczanie, patrząc żarłocznie w szare oczy Wiktora. Pomyślała przez moment, że on ma oczy jak wilk i to jej się bardzo podobało. Nie ruszała się. Jego słowa ją wbiły w kamienną nieruchomość i jakby jego spojrzenie mogło utrwalić błękit jej oczu w fotografii, mogła tak siedzieć z twarzą w jego dłoni do końca świata. Przypomniła sobie te wszystkie myśli, które darły ją od środka, to przekleństwo przynależności do rodziców, podobieństwo do matki i to, że zawsze myślała, że nie ma nic swojego.

– Wracam stąd z dwiema zdobyczami – powiedziała wreszcie. – Głos i kolor oczu.

– A ja?! – oburzył się Wiktor.

– Ty nie jesteś zdobyczą.

– A czym jestem?

– Zagadką.

– O. A jak brzmię?

– Brzmisz tak: czy to możliwe, żeby facet, który jest tak dobry w łóżku z kobietą, mógł być kryptogejem?

Gdy roześmiał się szeroko, pomyślała, że kolejną zagadką jest to, że gdy się pozna człowieka, gdy się od niego usłyszy coś miłego – można w nim polubić nawet ułamany ząb. I, co gorsza, przebaczyć wszystko.

Uśmiechnęła się do tej złowrogiej myśli i pomyślała: dam radę. Zawsze daję radę. I wystawiła twarz do słońca, którego teraz było tak mało i które tak naprawdę wyszło po raz pierwszy od dwóch tygodni. Odwróciła się w jego kierunku. Pierwsze promienie lizały stopy Marii.

UŁASKAWIENIE

Pierwsze płomienie lizały stopy Miriam, która kurczyła się z bólu i przerażenia, próbując cofnąć się przed ogniem piekielnie niemiłosiernym. W opętańczym bólu stwierdziła, że czuje swąd spalenizny, zwęglenia i to jej własnych tkanek. Smród ten jest niemożliwy, potworny, o czym przekonają się kiedyś pracownicy obozu w Auschwitz. Ale do tego czasu jeszcze kilka wieków, tymczasem Miriam już dziś miała sposobność uświadczania zarówno smrodu, jak i osobistego doznania ognia. Nie miała wiele tłuszczu, paliła się więc opornie, wciąż zachowując przytomność, wciąż odczuwając męczarnie z powodu poczucia winy wynikającej z niezaparzenia Poncjuszowi herbaty.

Tak długo to trwało, że Watykan zdążył się rozmyślić co do sposobu zgładzenia czarownic, ba – rozmyślić się co do samej istoty czarownic i doszedł do wniosku, że to jednak pomyłka. No, błąd. Ledwo przytomną Miriam zanesiono więc do prokuratora, a ten od razu wymyślił, że zjadłby flaki wołowe.

Na wpół spalona Miriam pichciła cały dzień, nie jest bowiem powszechnie znane, ale oczywiste, że flaki należy długo płukać i gotować, by pozbawić je przykrego zapachu.

Po całodniowym gotowaniu ze zmienianiem wody, przyprawiła należycie mięso i zaniósła Poncjuszowi przed nos. Trochę sarkała, że gorące, ale zjadł. Nie zapomniała tym razem o zaparzeniu herbaty, choć przez krótki moment przeszło jej przez myśl, że, do cholery, on sobie leży, a ona dyga, choć ledwo żyje, a właściwie tak na wpół nie-żyje. Rzecz jasna nic nie pisnęła, zacisnęła zęby, zaparzyła herbaty i spytała, czy już może się oddalić, bo zbliża się czas na ścięcie.

Zaciągnięto ją powrozami pod gilotynę, która już, już spadała na jej nadwęglony kark, już go nawet trochę urąbała, gdy się okazało, że ścinanie głów wyszło z mody. Z nadciętą szyją powróciła do domu, akurat na porę kolacji, którą szykowała na jednej nodze (wszak druga była zwęglona), poprawiając co chwila głowę, której utrzymanie było nieco trudne. Gdy wymiotła kurze i zrobiła przepierkę, Kajfasz stawiał się z nakazem wykonania wyroku, tym razem przez powieszenie i to publicznie na placu.

Zirytowany do imentu prokurator, że mu wiecznie klecha wchodzi z butami w życie rodzinne, skorzystał z krótkiej chwili odseparowania Państwa od Kościoła i załatwił ułaskawienie. Jedyne warunki to pisemna zgoda Miriam na własne ułaskawienie, coś na kształt szpitalnych pisemnych zgód na ratowanie własnego życia. Proszę podpisać, prosi personel półprzytomnego człowieka, którego może wskrzesić tylko trepanacja czaszki. Ledwo żyw stawia niezrozumiałe znaki w dwudziestu kolejnych tabelkach. A teraz proszę podpisać zgodę na znieczulenie...

Zdjęta więc z powroza dostała dokument zapisany drobnym makiem, mówiący o tym, że Państwo łaskawie uwalnia ją z win, które bardzo trudno ustalić, nikt bowiem nie pamięta, o co właściwie chodziło, tym bardziej, że według ostatnich rozporządzeń można było zajadać się rutą do woli, a nawet gorsze rzeczy czynić w tym temacie. Miriam

długo patrzyła w papier, w końcu pokręciła głową i powiedziała, że ona kiedyś nawet całkiem mądra była, ale od wieków tylko sprząta, gotuje i umiera, więc po prostu najzwyczajniej w świecie jest obecnie za głupia na takie decyzje. Druga rzecz, od patrzenia w słońce już nieco oślepla, a pismo jest tak drobne, że chyba sobie kpią.

Wtedy prawnik, Poncjusz Piłat, wyjaśnił jej, w czym rzecz. Nawet się nie ucieszyła. Co gorsza: zmartwiła się przepotwornie, bo zupełnie nie wiedziała, co teraz?!

– Jak to, jestem wolna? Jak to, mogę robić, co chcę!?

– Możesz po prostu sobie pójść na spacer, nad morze, pooddychać jodem, zjeść ciastko w kawiarni czy namalować obraz. Co chcesz.

– Ale ja nie wiem, co chcę!

– Miriam, później się zastanowisz, po prostu podpisz dokument.

– Nigdy!

– Dlaczego!?

– Bo bym musiała się przyznać, że moje dotychczasowe życie było bez sensu.

– No, trochę było bez sensu...

– Poncjuszu! Jesteś okrutny!

– Miriam, przecież ja ci chcę ocalić życie!

– Tak się tylko mówi. Ja tam nikomu nie ufam!

– A więc podpisz dokument i idź w swoją stronę. Jesteś wolna.

– Świetnie, teraz chcesz się mnie pozbyć!

– Ależ skąd!

– A poświęcenie?! Myślałeś o tym?! Co z moim poświęceniem!? Co z moją śmiercią za miliony?! Co z wybawieniem ludzkości?!

– Ależ ludzkość ma się dobrze bez twojego poświęcenia! Po co jej twoje poświęcenie? Co ludzkości z twojej śmierci?! Po co mi twoje umieranie?

– Poncjuszu, nie doceniasz mnie. To jest wyraz najwyższej miłości.

– Do kogo?

– Do ludzi. Do ciebie.

– Że co? Że musisz w kółko umierać?

– Tak.

– Czemu?

– Żeby was zbawić.

– Ale co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Ale tak trzeba.

– Kto tak powiedział?

– Kajfasz!

– Oszalałaś do reszty. Kajfasz to podły kłamca. Podpisz ten dokument, do cholery. I bądź wolna.

– To nie takie proste.

– Ależ proste! Wystarczy twój podpis. Podpisz i koniec.

– Wykluczone.

– Chcesz dalej cierpieć?

– Tak!

– Dlaczego?

– Bo wtedy jestem lepsza.

– Od kogo?

– Od każdego z was. Od ciebie. Od feministek. Od wszystkich kobiet, które nie cierpią, mają orgazmy, biorą znieczulenie podczas porodu, rozwodzą się z mężami pijakami i nie szorują podłóg do białości. Które sobie ułatwiają życie. Każdy głupi może sobie ułatwić. Tymczasem ja cierpię. Ja. Najlepsza. Miriam. Wieczna męczennica.

Kajfasz, tym razem w karmazynach (awans!), wyleciał ze swojego BMW jak z procy, prychnął z niezadowoleniem, że brak w tym związku Bożego porządku, że nawet sakramenty nieopłacone WYSTARCZAJĄCO sownie. A potem, prowokacyjnie stukając się w czoło i patrząc prawnikowi

prosto w oczy (i kto jest teraz górą?!), z całą siłą porwał Miriam na wieczne potępienie.

Tak było, jest i będzie, W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

30 SEKUND

Polski Sejm przyjął projekt ustawy o ograniczeniu dostępności antykoncepcji awaryjnej. Pigułka, która działa na podwzgórze, hamując wydzielanie progesteronu, wstrzymuje owulację, nie dopuszczając przez to do zapłodnienia. Minister Zdrowia zapytany o to, czy jako lekarz przepisałby tę pigułkę kobiecie zgwałconej, odpowiada, że ze względu na sumienie by odmówił.

Znów wraca projekt zaostżenia ustawy antyaborcyjnej z 1993 roku – wykluczenia warunków o dopuszczalności przerywania ciąży dla kobiet zgwałconych i tych, których ciąża wykazuje cechy letalne. Mimo wyraźnego sprzeciwu społecznego aborcja w Polsce jest praktycznie całkowicie zakazana i funkcjonuje nadal w podziemiu.

o o o

Dzień przed wyjazdem – chociaż Wiktor zdecydował, że mają go spędzić razem, razem CAŁY dzień – spędzili osobno.

Z wielu przyczyn. Pierwsza przyczyna była taka, że Wiktor jednak znów nie przyszedł. Tym razem Maria siedziała jak zaklęta i wsłuchiwała się w ciszę. Nikt nie zapukał. Potem

dowiedziała się, że gdzieś wyjechał z grupą przyjaciół, znajomych, z kimś tam, pewnie z Krzychem. To ją tak zszokowało, że się znów upaliła. A gdy wreszcie pojawił się na kolacji, zażądał wspólnego spaceru i wtedy w Marii rozpoczęły się pierwsze procesy prawdziwego odkrycia tego uwierającego JA. Bo to, że oczywiście zgodziła się bez szemrania na wspólny spacer, nieco ją wkurzyło, wywołało małe bunt i taką oto nieśmiałą refleksję – jak to: zażądał!? Ale kobiety sobie to pięknie tłumaczą, zażądał, więc mu zależy, tak bardzo chce. Nie wiadomo, jak było naprawdę, bo nie to jest problemem. Problem okazał się dużo bardziej prozaiczny i dużo bardziej kategorycznie wyłapany przez nowe wewnętrzne jestestwo Marii, jestestwo, które z minuty na minutę dojrzewało, stawało się silniejsze i, choć z trudem, rosło bezwzględnie. Bo gdy się umówili na ten spacer, on przyszedł po nią i czekał, aż się ubierze. A ona się trochę guzdrała, a on się coraz bardziej wkurzał. I choć ona wcześniej czekała, czas był przecież tylko przez niego utracony, on się potwornie teraz spieszył, jego emocje czerniały, jego kolce się ostrzyły, jego zawsze zabawna osobowość stała się jakaś taka kanciasta, niemiła.

I gdy – wyczuwając nastrój – pospieszyła się jednak, zarzuciła kurtkę i szalik, by wyjść w tę jesień, on ją gwałtownie zatrzymał i ciężkim od gniewu głosem, ostro, okrutnie poważnie i bezkompromisowo rozkazał:

– Czapka.

Już wiedziała. Już wiedziała, skąd to zna. Jaki szmat czasu minął, jak zawinął się w pętlę i dopadł ją znów z tym samym. Z JEJ słabością, z jej miękkością, z jej ufnością, z jej pragnieniem usłyszenia jednego zdania o niebieskich oczach, z pragnieniem uważności. Zdjęła kurtkę i rzuciła nią w kierunku szafy, gdzie z impetem zburzyła cały pedantyczny porządek, zrzuciła poukładane na kant bluzeczki, spodnie. Porządek, którym nasiąkła przez matkę,

którego nienawidziła, a wciąż była jego zakładnikiem. Wszystko runęło przez tę kurtkę. I wtedy stała się rzecz niesłychana. Los dał jej taką jasną, przepięknie przejrzystą wskazówkę, jakiej – zdawało jej się teraz (zdawało się!) – nie dostała nigdy.

Wiktor spojrzał na jej otwartą szafę, zobaczył ten świeży bałagan i powiedział z mieszaniną żartu i nagany w głosie:

– Ja bym cię nauczył porządku w szafie!

Co można z tym zrobić? Można udawać, że się nie słyszało słów tak dobrze znanych, można puścić mimo uszu i pójść na ten spacer, całować się pod modrzewiem i czekać na dotyk, który jest tak namiętny, że w oczach czarno. Można być małym króliczkiem, którego tak sobie upodobano do gonienia. Można też być króliczkiem już złapanym, siedzącym w klatce i czekającym na łaskę. Taka modna metafora. Króliczek. Zabawne uszy i pomponik na tyłku. Ha, ha, ha.

Ale można też nie być króliczkiem. Wyjść z odwiecznej roli ofiary, na którą ktoś poluje, a poluje, bo tak mu powiedziano, tak nauczono, tak napisano w kolorowych pismach. Gonić króliczka. Upolować i trzymać w garści. Zdjęcie sobie zrobić i na Facebooka wrzucić.

Króliczek. Myśliwy.

Maria. Wiktor.

Maria. Mariusz.

Maria. Tata.

Ofiara – kat.

Tylko po co ten kat? Żeby poczuć lęk. A tymczasem Maria nagle przestała czuć lęk. Coś się w niej przestawiło, coś zbuntowało. Ale tak naprawdę. Od środka, ze szpiku kości.

Nikt tu nie jest ofiarą, pomyślała Maria. Nikt tu nie jest katem. Przecież ten niewysoki facet z ADHD nie jest złym człowiekiem. On tylko korzysta z braku granic. Które to ona

musi postawić! I nagle zrozumiała, że to, teraz, tu, to wszystko zależy od niej. To ona zdecyduje, czy Wiktor nauczy ją porządku w szafie. To ona zdecyduje, czy zechce z nim iść na spacer. To ona zdecyduje, czy będzie na niego czekać, gdy się umówi i nie przyjdzie. To ona wreszcie zdecyduje, czy wybór ma być wolny, czy nie do końca. Tak, ten projekt zakazu aborcji to także lęk! Lęk przed wolnym wyborem kobiet. Boże, jak jej się zachciało teraz zadzwonić do Teresy i powiedzieć, że miała rację. Wolny wybór! To wszystko, co mamy! Wszystko, co MUSIMY mieć. Ile to trwało? Od tego pierwszego słowa „czapka” do drugiego zdania o porządku w szafie? Trzydzieści sekund. W trzydzieści sekund zrozumiała wszystko. Wszystko to, czego nie mogła zrozumieć przez czterdzieści lat.

Spojrzała z rozbawieniem na Wiktora i z udawaną powagą odpowiedziała:

– Aha.

o o o

Kroki zdawały się coraz bliższe, coraz bardziej stanowcze, coraz bardziej mordercze. Jeszcze przez chwilę łudziłam się, że to może zwykły przechodzień, albo – daj Panie Boże! – kobieta. Ale nie. To był facet. Słyszałam już jego oddech, słyszałam jego myśli, czułam na plecach jego władzę. Zaczęłam biec. On też.

Ten moment, kiedy zdajesz sobie sprawę, że to się dzieje. Twój koszmar o zboczeńcu w prochowcu właśnie się spełnia. Opowieści ze szpalt gazet dopadają cię w realu. Nie, to nie pomyłka, to nie jest żaden sen. Jesteś na wojnie, uciekasz przed śmiercią i właściwie nie masz już szans.

Wbiegłam do klatki schodowej. Gdy byłam na półpiętrze, coś kazało mi się zatrzymać. Nie wiem, może jakiś cień intuicji

przerobił lęk na siłę? Czemu się zatrzymałam? Chciałam ocenić wroga? Pomyślałam, że go pokonam? Czy w stanie najwyższego stresu kobieta właśnie to czuje? Stałam, wyprostowałam się i spojrzałam w dół na niego. To go zatrzymało. Podniósł głowę, spojrzał mi w oczy i powiedział, o co mu chodzi. Wydarłam z całej siły do góry, na trzecie piętro. Gdy rozdygotana wpadłam do domu, jeszcze nie wiedziałam, że wygrałam. A przecież wygrałam.

Przeżyłam.

Gdańsk, 11 marca 2017 r.

SPIS TREŚCI

Część I. Maria

Pierwszy raz

Zeszyty

Kwiaty

Agnieszka

Tatuś

Pamiętniki

Grzechy

Sztafeta

Kolor oczu

Miriam

Część II. Wiktor

Bóg, Honor, Ojczyzna

Ciszej mów!

Błękitna chustka

Na krawędzi

Pogrzeb

Kajfasz

Część III. Szpital

Różowa cela

Atłasowe puenty

Obdukcja

[Jedna osoba](#)
[Szyba](#)
[Pierwsze samobójstwo](#)
[Zwierzęca reakcja](#)
[Ukrzyżowanie](#)

[Część IV. Czarny Protest](#)

[Dziecko](#)
[Dywan](#)
[Rak kobiet](#)
[Zuzia](#)
[Wybór](#)
[Brud](#)
[Żelek Haribo](#)

[Część V. Czarny Deszcz](#)

[Sen](#)
[To nie takie proste](#)
[Ułaskawienie](#)
[30 sekund](#)